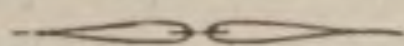
MATEUSZ Z KRAKOWA,

kartka jubileuszowa,

w pięćsetną rocznicę Uniwersytetu Krakowskiego.



Gdyby nas pytano o dowody i świadectwa przynależności duchowej do cywilizacyi powszechnej, szkoła, której pięćsetną rocznicę w tym miesiącu obchodzimy, najwymowniejszą byłaby odpowiedzią.

Drogą jest dla nas jej pamięć i przez sędziwy wiek, jakim góruje nad innemi szkołami Europy, i przez szerokość jej wpływów: „Komu Akademia Krakowska nie jest matką, temu pewnie jest babką," odparł niegdyś kanonik Dobrocieski na synodzie piotrkowskim jezuicie Arkturowi. Drogą jest dla nas jej pamięć przez ilość uczonych i literatów, jakich wydała lub przysposobiła, począwszy od Kopernika i Kochanowskiego; dalej przez znaczenie, przekraczające granice etniczne i polityczne, a ogarniające Szląsk i Węgry; przez światło, jakie biło niegdyś od niej na całą północ, przez ilość mistrzów i studentów, przez mrówczą pracę i poświęcenie jednych, a krewkość drugich (trzebaby to studentom powiedzieć: grożą jeszcze w XVII-ym wieku, gdy chcą karcić lub usuwać zgorszenia, a o tragedyi z r. 1549 nie zapomniano nigdy). Lecz nie tylko tą wiekową gorliwą i rzetelną służbą w podniesieniu wiedzy, oświa-

ty i moralności drogą nam jest pamięć Akademii Krakowskiej: cenimy ją, chociaż zawsze jeszcze niedostatecznie, i dla własnych, domowych jej dziejów, ciekawszych i ważniejszych, niżby się to napozór wydawało.

Usuńmyż dziś choćby jedno ze złudzeń optycznych, nie dozwalających nam dotąd ogarnąć w całej pełni znaczenia i roli uniwersytetu, odświeżmyż jedną ze zbutwiałych kart jego dziejów, zapomnianych tak doszczętnie, jak niezasłużenie.

Jeśli od dziejów jego nowszych, po-Kołłątajowskich, poreformowych, rzucimy okiem wstecz, to mimowoli przedstawi nam się przeciąg ich niemal czterowiekowy (1400—1780), jakby linia, wygięta z początku ku górze, a zniżająca się rychło i pozostająca przez trzy wieki na równym poziomie. Rozróżniamy więc w dziejach jego tylko dobę rozwojową do 1450 lub 1500 i dobę powolnego, a stałego upadku — aż do zejścia świecznika północnej Europy na zakład, wyłącznie prowincyonalny i mieszczański zarazem. I zdaje się nam mimowoli, że dzieje uniwersytetu wypełnia tylko walka z nędzą materyalną o samo istnienie, z niesfornością studencką o ład, z jezuitami o monopol naukowy, z Rzymem o kanonizacyę św. Jana Kantego, że znamionuje je fanatyczna gorliwość o niepokalaną prawowierność i kompletny zastój naukowy, a gorliwość ową i ten zastój rozszerzamy mimowoli na całą przeszłość uniwersytetu. I wydaje się nam ona jakimś posągiem średniowiecznym, sztywnym, bez wyrazu i ruchu, z rękami, kornie ku modlitwie złożonemi, jakby dla innych gestów i myśli już miejsca nie było.

Dopiero po dokładnem badaniu spostrzegamy zdziwieni, że pod martwą maską kryje się życie, że oblicze posągu nie jest banalne, że bije z niego myśl mądra, energia i hart duszy, poczucie spełnionego obowiązku.

Znał przecież ten uniwersytet czasy, kiedy i zastój umysłowy, i gorliwość fanatyczna były mu obce; w zaraniu jego dziejów zanosiło się przecież na rozwój odmienny. Jeśli np. uniwersytet paryski (Sorbona) pomógł kościołowi gallikańskiemu do wywalczenia przywilejów i swobód, to nie było winą uniwersytetu krakowskiego, nie podtrzymywanego przez królów i duchowieństwo, że kościół polski czegoś podobnego nie uzyskał, że np. kościół i szkoła zasklepiły się niebawem w ultramontanizmie najszczerszym. W zaraniu uniwersytetu krakowskiego widzimy coś innego: widzimy ducha opozycyi przeciw ultramontanizmowi wygórowanemu, widzimy jednostki, skrojone na miarę Piotra z Alliaku i Gersona albo Kuzana i Eneasza Sylwiusza (przed ich apostazyą); i tylko powoli ulatnia się płodny

pierwiastek, usychają te obiecujące latorośle i zatraca się nawet lub fałszuje wszelka o nich tradycya.

Z zaraniem tem związana jest nierozerwalnie osobistość, której imię położyliśmy u góry: nie dlatego, że się walnie przyczyniła do ponownego wzniesienia szkoły, teraz jagiellońskiej, niegdyś piastowskiej, na nowych podwalinach, — lecz dlatego, że pierwsze dwie generacye mistrzów krakowskich, owiane tym samym duchem, prowadzą dalej dzieło, rozpoczęte przez Mateusza z Krakowa, a słynne na całą Europę; że na najświetniejszych kartach uniwersytetu krakowskiego wycisnęła się pieczęć tego reformatora przed reformacyą; że wygładzono później pamięć i tego człowieka, i tego ducha zarazem.

„Albowiem, ktokolwiek ma, będzie mu dano i obfitować będzie, a kto nie ma, i co ma, wzięte będzie od niego".

Mimowoli nasuwają się nam te słowa ewangelisty, gdy o Mateuszu Krakowczyku wspominamy. Niewielkim musi pozostać wkład nasz w życie umysłowe średniowiecznego zachodu, i nic w tem dziwnego, skoro o tyle później od innych, choćby od Czechów, i wśród bardzo niesprzyjających warunków staliśmy się jego spółuczestnikami; lecz nawet i tego, co nam się słusznie przynależy, chcą nas bogatsi pozbawić, sobie przywłaszczając, co naszem było bezsprzecznie.

Nie mogło się bowiem Niemcom w głowie pomieścić, aby spowiednik ich króla Ruprechta, ich biskup wormacki, światło uniwersytetu heidelberskiego, aby autor łaciński nadzwyczaj ceniony, jednem słowem, aby najszlachetniejsza postać dogasającego średniowiecza — wywodziła się z barbarzyńskiej, w ich oczach, Polski. Więc mimo najwyraźniejszych świadectw rękopisów albo uczonego opata niemieckiego z końca XV wieku, traktującego o pisarzach teologicznych i poświadczającego polskie pochodzenia mistrza Mateusza, wymyślano dla niego rodowód niemiecki, przypisano go jakiejś frankońskiej rodzinie Vickerodów, wyszukano jakąś jej pomorską odnogę, nazywającą się od swego Krochowa, i wmówiono w świat zbyt łatwowierny, że ów mieszczanin krakowski to Pomorczyk von Krochow. I jeszcze najznakomitsi znawcy średniowieczczyzny, taki np. profesor Lorenz w dziele o źródłach dziejowych niemieckich, a za nim ks. Hübl w pysznym katalogu rękopisów Szotów wiedeńskich z r. 1899 nie wahają się powtarzać, że nazwa „Mathaeus de Cra-

covia", tak sławna w XV wieku i jasna, niczego nie dowodzi, na Kraków bynajmniej nie wskazuje; więc słońca ze świeczką szukają, aby nas pokrzywdzić.

Ale cóż się Niemcom dziwić! I nasza wina niemała. Hozyuszem i Kromerem szczycimy się zawsze i wszędzie, a o Mateuszu z Krakowa i Jakóbie Paradyżaninie, którzy im co najmniej dorównali, jakoś głucho u nas. W encyklopedyi naszej Jakóba, ani Mateusza nie wymieniono osobno, chociaż się tam i dla najpodlejszych gryzipiórków miejsce znalazło; a Wiszniewski, rozpychający byle czem swą historyę literatury, Mateusza, jako Niemca — na wiarę Bandtkiego — pominął. Główną jednak winę ponosi Długosz; ile wiem, nie wspomniał on nigdzie o Mateuszu z Krakowa, choć musiał go znać niechybnie; a uczynił to dla tych samych przyczyn, dla których np. o husytyzmie w Polsce i o innych ortodoksyi urzędowej niemiłych zjawiskach przemilczał. Paradyżanina przynajmniej na jednem miejscu wymienił!

A mogliby nam Niemcy rzucić jeszcze i tem w oczy: „Nie wasz ten Mateusz; jeśli co o nim wiedzieć chcecie, musicie do naszych źródeł i dzieł się udawać, począwszy od Trithemiusa i Walcha, aż do Ullmanna, Eichhorna, Losertha i Sommerlada; wyście się do niego nie przyznawali, prócz jednego Starowolskiego, nie godniście więc jego.

Lecz, prędzej czy później, słoneczko prawdy i przed naszemi wrotami zaświecić musi. Pora nam się ująć za mężem, sławnym mistrzem praskim, rektorem heidelberskim, biskupem wormackim, kardynałem rzymskim (pierwszym z Polaków), autorem dzieł, przepisywanych niezliczone razy, tłómaczonych na obce języki i rozpowszechnionych jeszcze przed wynalezieniem druku; za mężem, który o ojczyźnie swej i na dalekiej obczyźnie wierną pamięć zachował, który jej walną usługę oddał, którego duch i praca w uniwersytecie krakowskim, w Maurycym z Pragi, Jakóbie z Interboku i Janie z Kęt (Kantym) świetnie owocowały; którym, jednem słowem, Kraków szczycić się winien, jako pierwszą ozdobą swego mieszczaństwa; o którym w Europie zawsze rozprawiano, u nas zawsze milczano.

Nigdyby bajeczka o pomorskim Krochowie nie powstała, gdyby nie zwyczaj średniowieczny starannego zatajania przezwisk i zacierania wszelkich śladów indywidualności.

Nasz wiek reklamy osobistej i wszelakich Barnumów — dewizy Tomasza Kempijskiego „ama nesciri" (pragnij pozostać niezna-

nym) nigdy nie zrozumie; on nie pojmie, że osobistość, wysuwana od czasów renesansu zawsze na pierwszy plan, nie istniała wcale dla średniowiecznej pracy duchowej; dla niej istniały tylko płody, dzieło czy traktat, lecz nawet i one obywały się np. bez tytułu osobnego; cytowano je, jak my dziś jeszcze bulle papieskie cytujemy, tylko od pierwszych słów; o autorze nie wspominano nigdy, a jeśli go nawet wymieniano, to jak najkrócej: „Mateusz z Krakowa", albo, jeśli miejscowość wielką nie była, nazywano go poprostu samą miejscowością, np.: „Gerson" zamiast Jan z Gersonu, „Wesalia" zamiast Jan z Wesel i t. p.; wyjątkowo godność jakąś wymieniano, np. „kanclerz paryski" (ten sam „Gerson"). Nazwisk familijnych nie cytowano prawie nigdy, i trzeba dopiero szukać, nieraz całkiem bezskutecznie, kto to się ukrywa pod owymi Mateuszami z Krakowa, Henrykami z Frimaru, Ojty lub Hassyi, Janami z Gersonu, Jakóbami z Interboku i t. d. Stokroć gorzej jednak było, że zadawalają się samemi dziełami, autorów ich nie wymieniając wcale, z czego później najrozmaitsze nieporozumienia wynikały; tradycya myliła się nieraz grubo; tak np. dzieło, z tysięcy wydań całemu światu znane „O Naśladowaniu Chrystusa" zamiast Tomasza Kempijskiego jakiegoś Gersena nosiło imię czy Gersona.

Dla wieków średnich autor więc nie istniał; gdy np. Jagiełło i Jadwiga ofiarowali katedrze wileńskiej św. Stanisława i Władysława r. 1398 dla zbawienia dusznego „legendę złotą" czyli „historyę lombardzką" (Jakóba de Voragine), oznaczyli rękopis wedle słów wstępu, pierwszego i ostatniego rożdziału — o wymienieniu tytułu i autora mowy nie było. Czem poczytniejszem było dzieło, tem pewniej ginęła wszelka pamięć o jego autorze!! Któż był np. kompilatorem „Historyi rzymskich" (Gesta Romanorum), przepisywanych setki i tysiące razy? nigdy tego wiedzieć nie będziemy. I takich przykładów mamy wiele. W piętnastym wieku lubiono bardzo zbiór bajek t. zw. Gwidryna — w autorze jego odgadywano później to Polaka, to Neapolitańczyka jakiegoś, to apostoła Słowian Cyryla!

Skoro więc zatajanie, zagładzanie wszelkiej osobistości i jej śladów należy do cech średniowiecznej pracy umysłowej, więc nie dziw, że można było i mieszczanina krakowskiego przerobić z czasem na szlachcica pomorskiego. W dokumentach, gdzie osoba dokładniej oznaczoną być musiała, występuje zato nasz Mateusz z przydomkiem „dictus Notarii" — zwany (synem) Stadtschreibera. Należał więc Mateusz do rodziny Stadtschreiberów, odznaczającej się,

jak i inne rodziny pochodzenia niemieckiego, Wigandowie, Hessowie lub Iznerowie, zdolnościami i pracami umysłowemi. Samo imię Mateusza dało jednak powód do innych jeszcze bałamuctw: mieszano je z Matyaszem (i polskie Maciej przecież jedno i drugie oznacza) i przypisywano np. dzieła szwedzkiego Matyasza naszemu Mateuszowi, albo odwrotnie.

Pomieszano nareszcie naszego Mateusza (Stadtschreibera) z Krakowa z innym Mateuszem (Najman) z Krakowa, teologiem XV wieku. Rodzina Najmanowiców, kwitnąca w Krakowie jeszcze w XVII wieku, między antenatami swymi wymieniała stale biskupa wormackiego — mistrz krakowski Cynerski-Rachtamowic np. w *Atlas academicus in funere doctoris Jacobi Najmanovicii* (zmarłego r. 1641) nazywa kilka razy *Matthaeum Nevmannium de Cracovia, celeberrinum Vormaciensem praesulem*, przodkiem Najmanowiców krakowskich [1]).

Lecz dosyć tych bałamuctw. Urodził się *Mateusz Stadtschreiber* w Krakowie jakoś niebawem po 1330 r.; nauki początkowe pobierał chyba w szkole maryackiej, ale żądza wiedzy pchała go dalej — jednak nie na zwykłą drogę scholarów polskich, zdążających do Włoch dla studyum kanonów, niezbędnego dla szybszego posuwania się w karyerze duchownej, lecz dla studyum teologii, jednak nie do Paryża, niedawno jedynej europejskiej szkoły teologicznej, tylko do Pragi poblizkiej, gdzie po odbyciu kursów filozoficznych można było teologię studyować, głód duchowy zaspakajać, na co w domu środków jeszcze nie było.

Musimy się oprzeć pokusie kreślenia wizerunku tej szkoły w czasach, gdy do niej należał Mateusz, jeden z pierwszych jej członków, skoro już r. 1355 cesarz Karol tego bakałarza sztuk wyzwolonych uwzględnieniu papieskiemu (przy rozdawnictwie beneficyów) polecał. A szkoła to była nielada: wyłonięta z paryskiej, jak się z niej samej heidelberska i krakowska później wyłoniły, pielęgnowana i wspierana przez cesarza i arcybiskupa, jak żadna inna, a już najmniej, niestety, krakowska, położona znakomicie, bez rywalów w środkowej i wschodniej Europie — podniosła się ona odrazu i dosięgła wnet niesłychanej wysokości. Kilkuset mistrzów na samym fakultecie *artium* (filozofii), kilka tysięcy studentów i dro-

---

[1]) Wiadomość tę zawdzięczamy uprzejmości Dr. Władysława Wisłockiego.

żyzna czasowa w mieście z powodu takiego napływu — oto liczby i fakta wymowne; kwiat uczoności niemieckiej skupiał się tutaj; mistrzami i kolegami niebawem Mateusza byli taki Henryk Oyta, Konrad Soltau, Jan z Kwidzynia (Marienwerder), a każde z tych nazwisk w dziejach kanonistów i teologów złotemi świeci głoskami. Lecz w bujnym tym kwiecie zalągł się wcześnie robak: rodowici Czesi mniej chętnie na tych obcych spoglądali, i gorliwy Czech, a niegdyś rektor paryski, Wojciech z Ericinia, wystąpił ze sławnem oskarżeniem przeciw Henrykowi z Oyty o artykuły kacerskie, może nie z samych pobudek rzeczowych [1]); dwuletni proces, toczony przed papieżem w Awinionie, na który uniwersytet olbrzymią sumę dla swego luminarza poświęcił, głęboko i naszego Mateusza wzruszał, który ukochanego mistrza i kolegę najpierw zaczepionym i zbeszczeszczonym, a później świetnie rehabilitowanym mógł oglądać. Nie przypuszczał on wtedy, że proces ten to niby pierwszy ptak, zrywający się przed burzą, która i jego, Mateusza, z Pragi wymieść miała.

Tymczasem w Pradze tej uczył się Mateusz, a uzyskawszy stopień pierwszy, bakałarski, uczył i drugich; nie wiemy, dlaczego następny stopień, magistrowski, uzyskał po nadzwyczajnej przerwie, bo aż po latach dwunastu dopiero (r. 1367); potem udał się, jak norma wymagała, do studyum teologii i przechodził zwykłą kolej, bakałarza „kursora" i „formowanego", licencyata, a wreszcie mistrza „*sacre pagine*". Tak więc w lektoryach spędził Krakowianin najliczniejsze i najlepsze lata, i zdawałoby się, że zrósł się już z Pragą na zawsze; tymczasem porzucił ją w końcu, zmuszony okolicznościami, już jako sześćdziesięcioletni starzec.

W uniwersytecie należał on do nacyi „polskiej", ale nazwa słowiańska kryła grupę niemiecką, bo do nacyi „polskiej" zaliczano i Inflantczyków, Prusaków, Pomorzan, Szlązaków, przybyszów z Myszni, Turyngii i Marchii; jako „Polak", stał on, naturalnie, wraz z „Bawarami" i „Sasami" przeciw „Czechom"; gdy więc rozpoczęły się frykcye i walki między nacyami w uniwersytecie — a zaszło to wnet po śmierci założyciela i ojca narodu — musiał się Ma-

---

[1]) Przysłowie znane, np. u Rysińskiego: „poszleszli do Paryża osiełka głupiego, jeśli tu był osłem, tam nie będzie koń z niego" (później dla rymu zmieniane na „owies i ryż" lub „głupi i rozumu nie kupi"), przetłómaczono z łacińskiego, którego już arcybiskup praski, Jenzenstein (Czech) przeciwko Wojciechowi w polemice zażył: *Parisius isti pecus hinc, pecus inde redisti.* (Do Paryża stąd bydlęciem poszedłeś, bydlęciem stamtąd wróciłeś).

teusz znaleźć w obozie antyczeskim, antynarodowym, stanął w szeregu obcych, broniących cech kosmopolitycznych szkoły praskiej. Wybuchła walka najpierw (r. 1384) o kolegia, o prezenty na opróżnione miejsca i beneficya. Czesi żądali od króla Wacława i od arcybiskupa, aby wyłącznie Czechów rodowitych niemi obdzielano; uniwersytet oponował, chcąc, by nie urodzenie, lecz zacność i zdolności tu rozstrzygały. Zamknął nawet rektor, Konrad Soltau, uniwersytet, lecz przed groźbą klątwy arcybiskupiej ustąpił; trzy nacye apelowały wprawdzie od wyroku arcybiskupiego do papieża, lecz musiały niebawem apelacyę cofnąć (r. 1385) i przyjąć niekorzystny wyrok rzymski, zastrzegający Czechom po pięć z każdych sześciu kolegiatur. I zaczynają powoli Niemcy, właśnie najzaufańsi przyjaciele Mateusza, opuszczać Pragę; Jan z Kwidzynia rezygnuje r. 1387 z kanonikatu praskiego i przenosi się do Prus, gdzie mistrz wielki myślał o założeniu w Chełmnie szkoły na wzór paryskiej i praskiej, a Mateusz towarzyszył Janowi w tej podróży, chociaż tym razem jeszcze do Pragi powrócił; Konrad Soltau i jurysta Noet przenoszą się do najświeższej wszechnicy, do Heidelberga, dokąd niebawem i Mateusza przeciągną. Henryk Oyta już dawno był Pragę opuścił. Pierwsza to, a dotkliwa klęska obcych nacyi; zachwiał się widocznie grunt pod ich nogami; niebawem przeciwieństwa zaostrzały się coraz bardziej, a porywczy i gwałtowny temperament królewski łagodząco nie wpływał; widziano przecież, jak daleko on się unosił w konflikcie z samym arcybiskupem i jego wikaryuszami generalnymi; wolał więc Mateusz uchodzić zawczasu. W r. 1391 widzimy go w Krakowie; nie wiemy, czy jeszcze do Pragi powrócił, ale o dawnym kilkakrotnym dziekanie filozofów odtąd w Pradze głucho zupełnie; 1394 r. wypływa on już w Heidelbergu, zaszczytnie przez uniwersytet przyjęty, obierają go profesorem św. teologii, i palatyn zobowiązał go sobie na całe życie, wyznaczając mu wysoki jurgielt 150 złotych (r. 1395).

Z Pragą rzucał Mateusz nie tylko profesurę, lecz i beneficya duchowne — krakowskie i wrocławskie (kanonikat św. Idziego) — i urząd kaznodziei praskiego w kościele parafialnym i przed zebranym na synodzie duchowieństwem; kazania jego synodalne z lat osiemdziesiątych o poprawie obyczajów kleru i ludu dotąd się przechowały; uchodził on za świetnego kaznodzieję. Jako taki, byłby się konfliktu z królem tem łatwiej i pewniej dopytał. W każdym razie, rozbrat jego z Pragą był stanowczy i zupełny; niema o niej później żadnej wzmianki u niego.

Cóż wyniósł Mateusz z tej zawołanej Pragi, o której przypuszczano, że się całe „studyum" Paryskie do niej przeniesie?

Pobyt w Pradze wyrył niestarte ślady na jego fizyognomii duchowej; czem był, zawdzięczał szkole Karolowej i duchowemu życiu, bijącemu w Pradze nierównie żywiej, niż gdziekolwiek indziej.

Nie myślimy rozprawiać o Mateuszu-filozofie, skoro cały kierunek praski w dziejach filozofii scholastycznej zbyt nie zaważył; wspomnimy tylko o teologu-reformatorze.

Były to straszne dla katolicyzmu czasy, najcięższe, jakie kiedykolwiek przechodził. Zeświecczenie i zmateryalizowanie duchowieństwa dosięgały szczytu; gonienie za groszem i używaniem, brak moralności i nauki, zewnętrzne praktyki, zaciekania scholastyczne, obce religii, symonia, praktykowana najbezczelniej, wdzieranie się w sprawy świeckie, rozprzężenie karności zakonnej wobec coraz mnożącej się liczby zakonów i klasztorów — przygniatały albo raczej zaduszały wszelkie życie duchowne, religijne, moralne. Zachwiał się sam autorytet kościelny; papiestwo, nie zwyciężone przez cesarzy, a nadwerężone przez króla francuskiego, wymierzało w długoletniej schizmie samo przeciw sobie najsroższe ciosy. Głuchy niegdyś szmer niezadowolenia wzbierał potężnie; odzywały się sarkania coraz groźniejsze, choćby owe dotkliwe wyrzuty Dantego; podrażnione tłumy wybuchały nieraz srogą nienawiścią i *„schlagt die Pfaffen todt"* rozlegało się po miastach niemieckich w wieku czternastym.

Na straży zagrożonej wiary i moralności stawały jednostki, grupujące się szczególniej po uniwersytetach — w Paryżu, Oksfordzie i Pradze; wymowa ich, wiedza, świątobliwość żywota wywierały głębokie wrażenie w prostym gminie, u kleru niższego, w urzędzie świeckim; nawoływania ich do poprawy obyczajów i reformy kościoła odzywały się coraz donośniej. Pomijamy żywioły inne, idące od dołu, demokratyczne i narodowościowe, albo prądy serdecznej, głębokiej, skruszonej wiary, przez mistyków szerzone.

Wyłaniały się najpierw poszczególne kwestye, w których już nie sami „sentencyaryusze" i „summiści" — teologowie z fachu, od przedmiotów swych tak nazywani — głos zabierali, które budziły interes szerokich tłumów, aż do ich roznamiętnienia. I tak rozstrząsała Praga z gorączkowem zajęciem pytanie, czy i laikom nie należy jak najczęściej, choćby tygodniowo albo i codziennie, przyj-

mować sakrament ołtarza? Zabierał w tej kwestyi i Mateusz głos, i znajdujemy go — nie jedyny raz — w obozie, głównie z Czechów złożonym. Rozstrząsał on to pytanie pod postacią rozmowy między rozumem, zalecającym najgoręcej jak najczęstsze posilanie się zbawienną świętością, a sumieniem, wzdrygającem się przed nią w poczuciu własnej niedoskonałości i niegodności; wola, powołana na rozjemcę walki, głosu wcale nie zabiera. Rozszedł się ten traktat Mateusza niebawem po całej Europie w niezliczonych odpisach; posiadamy wczesne jego tłómaczenia na czeskie, na niemieckie (np. już w r. 1389 przez Wrocławianina Morungera, przepisane pod tytułem: „*Buch von der Vernunft und dem Gewissen, das gemacht hat Meister Mathaeus von Krakau, wie der Mensch soll geschickt sein zu die Empfahunge göttlichen Leichnams*"; rękopis we Wrocławiu); sam Gutenberg (r. 1459?) traktat ten wydrukował, a za nim wytłaczali go Zell r. 1466 i inni.

I w innej kwestyi stanął mistrz Mateusz po stronie czeskiej, dzieląc zapatrywania Macieja z Janowa, do których później pod wpływem Doroty z Montowy („Aldony" Mickiewiczowskiego, nie pruskiego, Wallenroda, zmarłej r. 1394) i przyjaciel jego, Jan Kwidzyński, się skłonił. Płeć męska wyrodziła się zupełnie; oślepła ona w ubóstwianiu samej siebie, w górnej o sobie myśli, że odwróciła się od niej łaska Boża widocznie; dziś nawiedza ta łaska maluczkich, pokornych, głównie niewiasty. Niewiasta, jako wybrane naczynie łaski Bożej, zaczyna w XIV wieku odgrywać rolę ważną; święte objawienia stają się jej udziałem, Hildegard, a przedewszystkiem szwedzka Brygita, natchnione prorokinie, znajdują gorących, przekonanych wielbicieli; jednym z najgorętszych był właśnie nasz Mateusz, i do dziś przechowały się mowy jego, przed papieżem miane, sławiące świętą, dopominające się jej kanonizacyi. Chłodniejsi, Niemcy, jak Oyta i inni, przestrzegali, nie kazali wierzyć wszystkiemu, powątpiewali; Mateusz jednak wytrwał do końca życia w kulcie świętej i dowody tego złożył jeszcze i w fundacyi testamentowej.

A mieściły się w wizyach Brygity nieraz piorunujące wycieczki przeciw duchowieństwu i papieżowi. Ale do tych nawykał kaznodzieja praski, i po za lekturą tych wizyi i objawień obijały się one zewsząd o jego uszy od namiętnych kaznodziei, Waldhausena Niemca i Milicza Czecha; i sam on im nieraz folgował, np. w kazaniach synodalnych, miewanych (po łacinie) przed duchowieństwem, gdzie już wybór tematu, t. j. motto, charakteryzuje całość, ale niewinnym się wydaje wobec tekstu samego i jego strasznych inwek-

tyw na duchowieństwo, na tchórzliwość tegoż wobec tyrana i rozwiązłość życia jego, na łatwość absolucyi i t. d.; kler i lud psują się nawzajem; i przed papieżem w Rzymie, dokąd go uniwersytet, jako zastępcę wysyłał, poruszał Mateusz tęż sprawę drażliwą. Niepokoiły go bogactwa, w których kler tonął, straszyła go pamięć ubogich i maluczkich, których Pan do apostolstwa powołał; przerażały go drogi, po których chciwi zysku duchowni z kuryą na czele kroczyli; wzdrygał się na praktyki zewnętrzne, którym życie nie odpowiadało bynajmniej, obawiał się herezyi, wszczynających się między wiernymi; podejrzywał niepowołanych, narzucających się tłumowi za wodzów sumienia; nie godził się na scholastykę, której przędza cieniuchna wszelkie artykuły wiary umotała. W takich to przekonaniach opuszczał on Pragę.

Podczas długoletniego pobytu w Pradze nie zrywał mistrz Mateusz stosunków z krajem rodzinnym; nawiązywał je już ciągły przypływ Polaków do kolegiów praskich, związki rodzinne i przyjacielskie podtrzymywały je stale, i wracał nieraz doktór św. teologii, którego imię i znaczenie coraz rosło, na czas krótki do kraju. Teraz, gdy się z Pragą na zawsze rozstawał, pomyślał jednak nie o Krakowie, lecz o nowej katedrze uniwersyteckiej i znalazł ją w Heidelbergu u palatyna Ruprechta, dokąd go koledzy prascy wyprzedzili.

Pod koniec XIV wieku wyrastały uniwersytety, jak grzyby po deszczu. Składały się na to rozmaite okoliczności. Przywileju na na fundacyę udzielał tylko papież; tylko za jego przywilejem nabierały patenty nowej szkoły uznania w całej Europie, ale teraz, wobec schizmy papieskiej, nic łatwiejszego, jak uzyskanie przywileju takiego, niegdyś niedostępnego: należało się tylko wyrzec raz na zawsze strony Bartłomieja z Perignano, dawniejszego arcybiskupa barskiego (t. j. Urbana VI), aby natychmiast otrzymać przywilej od antipapy, Klemensa VII; tak np. zrobił Erfurt, zwykła, acz bogatsza mieścina. Z drugiej strony opuszczało coraz więcej mistrzów, szczególniej Niemców, Paryż, wobec niesłychanego nacisku, jaki rząd na wszechnicę w sprawie uznania Klemensa VII ze skutkiem wywierał; uniwersytet rzucił w końcu Urbana VI, lecz wzamian za to tracił znakomite siły, z których się rekrutowały nowe kolegia niemieckie. Tak powstał i świeży uniwersytet heidelberski z inicyatywy sędziwego palatyna, ze współudziałem eksmistrzów paryskich. Dobrze położone, bogato wyposażone w ludzi i środki

zwabiło nowe „studium" właśnie w pierwszych latach istnienia liczne szeregi młodzi i ludzi dojrzałych; zwabiło ono i Mateusza, przyjętego, jako luminarza, a niebawem, w grudniu 1396 r., rektorem obranego. Ale Heidelberg gotował Mateuszowi jeszcze inne niespodzianki. Uzyskał tu Mateusz pełne zaufanie młodego palatyna, został jego spowiednikiem, a gdy wystawiono palatyna przeciw Wacławowi czeskiemu królem niemieckim, znalazł się i Mateusz niebawem wysuniętym na czoło spółczesnych walk i zabiegów, kościelnych i politycznych.

Nim to jednak nastąpiło, zadokumentował Mateusz niedwuznacznie pamięć i przywiązanie do ojczyzny. Rektor heidelberski opuszcza r. 1397 szkołę, miasto i Niemcy i zjawia się w Krakowie; bawi tu czas dłuższy, przyjmowany z największymi zaszczytami przez mieszczaństwo, obcujący i z królem, pracujący nad wprowadzeniem w życie fundacyi i zamiarów zmarłej królowej. W rachunkach miejskich posiadamy dotąd świadectwa pobytów Mateusza w Krakowie; znajdujemy pozycye na ugoszczenie mistrza, na wynagrodzenie jego towarzysza drogi, wszelkie dowody starania aby Mateusza na zawsze do miasta przywiązać: rajcy obowiązują się w takim razie wypłacać mu rocznie sumę czterdziestu grzywien dożywotnio. U obcych dobrze poinformowanych kronikarzy znajdujemy znowu wyraźne świadectwo, jak to się król Władysław w celach fundacyi nowego studyum krakowskiego posługiwał mistrzem Mateuszem, który, jako rodowity krakowianin, chętnie pośrednictwo swe (u kuryi rzymskiej, w wyborze sił naukowych, w układaniu i zabezpieczaniu statutu i funduszów) ofiarowywał. Sam jednak mistrz Mateusz ani do uniwersytetu nie wstąpił, ani w Krakowie pozostał; widocznie związały go już nadto liczne i ścisłe stosunki z Heidelbergiem, do którego po dłuższej nieobecności powrócił. Tu czekała go jeszcze nadzwyczajna promocya; profesora św. teologii wyniesiono jednogłośnie r. 1405 na opróżnione właśnie biskupstwo wormackie, jedno z najświetniejszych w całych Niemczech.

Rozpoczyna się ostatni, najznamienitszy okres w życiu sławnego krakowianina, chociaż ani do Tamerlana poselstw nie odbywał, ani w Paryżu rektorował, jak później bajano.

Jako biskup wormacki, mógł Mateusz z Krakowa tem energiczniej zaznaczyć stanowisko, do którego już w Pradze i Heidelbergu się zbliżył.

Rozdwojenie i znieprawienie życia kościelnego wymagało na gwałt reformy; podjąć jej nie mógł jednak ten, który, jako głowa kościoła, był do niej powołany; wzajemne wyklinanie się i zwalczanie dwu papieży wykluczało wszelką jej możliwość. Ratować mogła tylko jedna jeszcze instancya, zaniedbana od wieku, — sobór powszechny, i rozpoczyna się niebawem coraz natarczywsze żądanie jego zwołania. Na zwołanie takie nie trzeba czekać, jak musiano wobec schizmy twierdzić, inicyatywy papieskiej; kościół, kardynałowie i biskupi, a przedewszystkiem władza świecka, cesarz, jako obrońca i opiekun kościoła, mają prawo zwołania soboru i winni je wykonać, choćby przeciw papieżowi. Sam fakt schizmy pobudzał teraz do rozstrząsania tytułów prawnych papieskich; jeźli w XIV w. z powodu walki między papieżami a Ludwikiem Bawarskim rozstrząsano kwestyę odgraniczenia obu władz, pytano teraz o podstawę stosunku papiestwa do kościoła. I obudziły się w kołach wielkiej hierarchii i w kołach uniwersyteckich wątpliwości co do uprawnienia wszelkich uroszczeń władzy papieskiej. Odebrała np. kurya rzymska biskupom i kapitułom prawo wyboru i rozdawnictwa niższych beneficyów, obsadzała sama wszystkie posady, nadając ekspektatywy na nie jeszcze za życia beneficyaryuszów — i cóż był za skutek? Najstraszniejsza symonia, wymagająca stałej opłaty od każdej posady, od najmniejszej do największej, od dukata za jakąś wikaryjkę aż do trzydziestu tysięcy złotych za biskupstwo, np. niemieckie. Obywała się kurya bez soborów — a skutek? Rozdwojenie w kościele, niemożliwe, gdyby instytucya soborowa funkcyonowała prawidłowo. Papież przecież — nie kościół, ani nawet głowa jego; głową tylko Chrystus; nazywanie papieża głową to tylko sposób mówienia; on jest tylko organem i sługą kościoła, i kościół stoi nad nim; nie byłoby przecież bez kościoła papieża; kościół go obiera, kościół go sądzi i zsadza. Na ten temat pojawiają się coraz liczniejsze głosy; w przeciwstawieniu do tych, którzy, jak Wiklef, zwątpiwszy o hierarchii, zakładaliby nowe podwaliny pod kościół przyszłości, zbudowany wyłącznie wedle normy ewangelicznej, bez przymieszki świeckiej, — wysuwają hierarchia i uniwersytety, paryski, a później i krakowski, zasadę soborową, wyższości soboru nad papieżem, urządzenie kościoła nie monarchiczne, jak dotychczas, lecz reprezentacyjne, jako jedyny środek reformy skutecznej; episkopaliści i koncyliaryusze stają do walki z kuryalistami.

W liczbie mnożących się coraz pism i traktatów, Piotra z Alliaku, Gersona i innych, zjawia się i nadzwyczaj energiczne, niemal rewolucyjne pismo najmłodszego z biskupów niemieckich.

Nie wspominaliśmy obszerniej o pismach Mateusza z Krakowa prócz kilku uwag przygodnych i nie zamierzamy wcale ich na tem miejscu wymieniać. Jest ich wiele i w nadzwyczaj licznych odpisach; najwięcej — po kilkadziesiąt — posiadają ich biblioteka krakowska (co bardzo znamienne) i wrocławska — niemal komplet tych pism różnorakich. Są między niemi wykłady na części pisma św.; kazania na rok kościelny i kazania okolicznościowe; traktaty teologiczne o łasce i przeznaczeniu w formie rozmowy między ojcem a synem, poświęcone biskupowi warmijskiemu, o spowiedzi i o umowach; rozmaite pouczania, np. o pocieszeniu teologii (*de consolatione*), temat, który i Gerson opracował, jakby w kontr pocieszenia filozofii, niegdyś przez Boecyusza napisanego; nie wszystko jednak, co po rękopisach imieniem Mateusza z Krakowa oznaczano, z pod jego pióra wyszło; średnie wieki brzydkim zwyczajem nazywania byle jakiego autora wprowadzają w błąd nowszych badaczów; nawet dzieło Mikołaja Błońskiego „*Medice cura te ipsum*" można w rękopisach z autorstwem Mateusza napotykać, albo „Złote zwierciadło" (*Speculum aureum*), dyalog między Piotrem a Pawłem o wadach kuryi rzymskiej. Podobnież i dzieło *De consolatione theologiae* mylnie zostało przypisane Mateuszowi: napisał je Jan z Dambachu (Tambaku), Alzatczyk, dominikanin, profesor teologii w Pradze.

Brak jednak w bibliotece krakowskiej i wrocławskiej najsłynniejszego traktatu Mateusza, częstego po innych bibliotekach — berlińska np. posiada dwa odpisy; inne są w Getyndze, Wolfenbüttel, Erfurcie, u Szotów wiedeńskich, w Wiedniu, Francyi i t. d. — a brak ten bynajmniej nie jest przypadkowym.

Już sam tytuł, jaki traktatowi ktoś nadał, brzmi wojowniczo i wyzywająco: *de squaloribus curiae Romanae*, t. j. o b r u d a c h kuryi rzymskiej; i najnowszy autor katolicki, wspominający o tym traktacie, zowie go „*häszlich*" i wyraża nadzieję, że lepsze zbadanie tradycyi rękopiśmiennej okaże bezpodstawność przypisywania traktatu tego świątobliwemu biskupowi wormackiemu — nadzieja najmylniejsza, skoro z ust własnych Mateusza przyznanie się do traktatu we wszelkiej formie posiadamy.

Pełny tytuł — późniejszy zresztą — traktatu brzmi: „*Portugal antiquus* (nie wytłómaczono tego; czy nie oznacza to „starego portugała", t. j. monety złotej — albo raczej medalu — ważnej i prawdziwej?) o brudach kuryi rzymskiej, która, jeśli się nie poprawi, znajduje się w n i e b e z p i e c z e ń s t w i e potępienia wiecznego" (w nieco późniejszych rękopisach: „znajduje się w s t a n i e potępienia wiecznego"). Sam tytuł wystarczał, aby, gdy kurya wreszcie

zwyciężyła, w Krakowie, Pradze lub Wrocławiu kodeks z podobnym traktatem ulegał częściowemu lub całkowitemu zniszczeniu; w jednym kodeksie niemieckim jeszcze ręka XV wieku wycięła największą część traktatu. Niegdyś bowiem znajdował się z wszelką pewnością traktat ten w Krakowie; zanadto ściśle podtrzymywał biskup wormacki stosunki z miastem rodzinnem, aby mógł nie przesłać tam odpisu najnowszego dzieła, okrzyku zgrozy i przestrachu, budzącego sumienia, śpiące w najlepsze. Lecz w Krakowie właśnie dopytał biskup biedy, największej, jaka tylko świątobliwego, nadewszystko prawowiernego i kornie wyrokowi kościelnemu się poddającego autora spotkać mogła.

Jan z Falkenbergu bowiem, lektor teologii u Dominikanów krakowskich, zaczepił ten traktat, jako heretycki. Ujął się biskup wormacki za swem dziełem i przesłał z Wormacyi list do Krakowa (dwa jego odpisy posiada dotąd biblioteka krakowska) z dnia 5 grudnia 1405 r., w którym surowo karci swego przeciwnika; początek tego listu wydrukował (haniebnie) Wiszniewski w historyi literatury t. III, str. 134; listu tego dotąd nie wyzyskano należycie.

Jan Falkenberg, znana dobrze w dziejach politycznych i literackich polskich osobistość, duch niespokojny, pamfleciarz, wróg Polaków, zagorzały służka „Krzyżowników" (Krzyżaków), wywołał później antypolskimi pamfletami, Satyrą na Władysława i traktatem, zwróconym przeciw konkluzyom Pawła Włodkowica, straszną burzę na soborze konstanckim; wzywał on ni mniej, ni więcej, tylko całe chrześcijaństwo do mordowania Polaków i Władysława, pod karą utraty zbawienia. Odszczekał wprawdzie, jak pies, niecne napaści, lecz Polacy żądali więcej, napiętnowania zdań jego, jako heretyckich, i spalenia go na stosie, jako kacerza, chociaż później sami za jego wypuszczeniem z wiecznego więzienia przemawiali. Owa Satyra Falkenberga zajmuje i w piśmiennictwie polskiem wybitne miejsce: pierwszy to bowiem pamflet polityczny, o którym wiemy, że go z łaciny wytłómaczono na polskie: w polskiem brzmieniu bowiem kazał go odczytać król Władysław przed zgromadzonem rycerstwem.

Takiego to autoramentu był człowiek, który ujął się za kuryą w Krakowie przeciw biskupowi wormackiemu. Cóż twierdził Mateusz?

Ostrze jego traktatu zwrócone jest tylko przeciw najbardziej krzyczącemu bezprawiu, przeciw symonii rzymskiej; w oczach jego wypływały widocznie z tej herezyi wszystkie inne błędy i zamieszania w kościele. Oryginalnem jest założenie traktatu „*Moyses*

sanctus" — bo tak, od pierwszych słów, nazywał go sam Mateusz. Jeśli Mojżesz w pustyni podziwiał krzak gorejący, który wbrew przyrodzeniu nie zgorzał, ileż więcej nam się dziwić wypada, nam, którzy widzimy, w jakim to ogniu zepsucia goreje stan duchowny, a przecież, wbrew sprawiedliwości Bożej, nie dogorywa. Wizya tego strasznego ognia przedstawiła mi się tak dokładnie, że zbudzony chwytam za pióro, by wyrwać innych ze snu i osłupienia.

Ogień, w którym kościół goreje, jest oczywiście ogniem symonii. Od kuryi rzymskiej winnaby iść naprawa; zamiast tego spostrzegamy zupełnie co innego; tam nie dbają o tępienie herezyi lub poprawę obyczajów, tam myślą tylko o obsadzaniu posad duchownych. Skądżeż jej prawo do tego? Czy zyskuje co na tem kościół? przeciwnie, w Rzymie niepodobna przecież dla braku znajomości stosunków miejscowych ocenić kandydata; tam rozstrzyga tylko pieniądz. Ludzie zasłużeni, godni, uczeni przestają się ubiegać o beneficya, które grosz rozdaje; motłoch bez sumienia zajmie ich miejsce. Na miejsce rozdawnictwa rzymskiego musi powrócić stan dawny, prawo biskupie i kapitulne; jeśli zarzucą, że wtedy biskupi swych krewnych i służebników uwzględniać będą — to i co? czy sprawiedliwiej, żeby się beneficya woźnicom kardynałów dostawały? nigdy nie pobłądzi tak władza miejscowa, jak owa daleka, praktykująca stale i wyłącznie jawną symonię, a więc jawne kacerstwo. Rozbija dalej autor argumentacyę każdą kuryalistów, starających się ubarwić i pokryć ową symonię. Niemożliwa rzecz, aby papież popełniał symonię — jak to? sprzedał przecież apostoł Chrystusa, więc i następcy apostołów toż samo zdarzyć się może. Albo: papieżowi należy się za trud opłata — ależ to jakaś chłopska rachuba, niegodna władcy, a choćby i tak, wtedy złoty od każdej posady powinienby wystarczyć. Papież, jako władca powszechny, zabiera tylko, co jego, — ależ cóż to znaczy, że papież, sługa sług bożych, ma być panem panów świeckich? Widoczne to kłamstwo; władza papieża rozumie się tylko w obrębie praw namiestnika Chrystusowego, ewangelii i soborów powszechnych — a te milczą kompletnie o tem, żeby papież z obcych beneficyów dla własnej kieszeni korzystał. Potrzeba mu tego dla odpowiedniego życia — niechżeż zgromadzi prałatów, żeby mu owe środki obmyślili, a jego to wina, wina zaniedbywania soborów, jeśli się oni na zawołanie jego nie stawią; zaniedbanie soborów pociągnęło za sobą wszystko obecne złe. Lecz, powiedzą w końcu, nie wolno nam sądzić, cóż dopiero karać prałatów i papieża bez uszczerbku ich władzy i znaczenia, bo oni głową naszą! przeciw temu wnioskowi wystawia Mateusz bardzo

drastyczny przykład. Jest opat w klasztorze, niezawisły od nikogo, wyjęty nawet z pod juryzdykcyi papieskiej. On błądzi, rządzi wszetecznie, a od niego niemasz apelacyi do żadnej instancyi. Cóż wypadnie uczynić mnichom? znosić jego błędy i folgować im? bynajmniej, wolno im zebrać się i niegodnego zrzucić z opactwa. Takąż władzę przypisuje Mateusz kościołowi uniwersalnemu, oblubienicy Chrystusowej, i nad papieżem.

Rozumiemy teraz, dlaczego Długosz o Mateuszu przemilczał, i dlaczego traktatu tego niema po naszych bibliotekach, ubogich stosunkowo w rzeczy antyultramontańskie; w Krakowie jest przynajmniej owo „*Speculum aureum*", tchnące tym samym duchem. Tem częściej znachodzimy go po bibliotekach niemieckich; późniejsi kopiści dodawali wzmianki o husytach, soborach i t. d., i na podstawie tych wzmianek odsądzano Mateusza od autorstwa, lecz odpisy najstarsze wtrętów tych nie znają. Protestanci wiedzieli o traktacie i autorze; katolicki opat Tritheim milczy o traktacie, wyliczając inne prace autora; luteranin — Słowianin (Kroat) Flacius wymienia go w „Katalogu świadków prawdziwych". Drukowano go nieraz z pismami Piotra z Alliaku i t. d. r. 1551; w dodatku także do książki, o którą się Piotr Kmita u spadkobierców Krzyckiego upominał (w późniejszem jej wydaniu i t. d.), wraz z traktatami Jakóba Paradyżanina i „*Speculum aureum*"; wydał go i Walch w zeszłym wieku, lecz nie całkiem poprawnie: dawne myłki zaczynają się zaraz od słów pierwszych, *Moyses factus* zamiast *sanctus* i t. d.

Charakterystycznem jest dla Mateusza, jak i dla wszelkich innych pisarzów, dzielących jego zasady, staranne odgraniczanie się, wykluczanie „heretyków"; taki Gerson np., godzący jak najostrzej w autorytet papieski, nie wzdrygający się przed wyrażeniami, których ani u Wiklefa, cóż dopiero u Husa, nie znajdziemy, potępiający scholastykę i jej mataninę, nie zawahał się przecież Husa na stos skazać. Reformatorskie dążenia na gruncie hierarchii kościelnej, jeśli nie miały dążyć do rozbicia starego, istniejącego kościoła, musiały zachowywać jak najskrupulatniej granice prawowierności, odwoływały się ciągle do aprobaty kościelnej, poddawały się wyrokowi jego i soborów.

I również znamienną dla Mateusza jest myśl o ubóstwie kościoła: tylko ubogi kościół, kościół Chrystusów, podoła swemu zadaniu, od którego opływanie w dobra doczesne tylko go odwodzi. Nie trudno odgadnąć tu dążenia cesarza Karola i arcybiskupa praskiego, którzy przemyślali nad konfiskatą dóbr kościelnych, aby odświec-

czyć znarowione dostatkami duchowieństwo. Dalej zwrot przeciw nadmiarowi praktyk zewnętrznych, oziębiającemu żar wewnętrzny.

Wykład traktatu nadzwyczaj jasny, przystępny, przekonywający; argumentacya prosta, doraźna; przykłady czerpane z życia potocznego; niema tu argucyi scholastycznych, chociaż z bystrością prawniczą rozbija się wszelakie argumentowanie kuryalistów. Jako epilog formalny traktatu tego, służy kursująca całkiem osobno, gorąca modlitwa do głowy kościoła, Chrystusa, o zbawienie oblubienicy jego, o zbudzenie pogrążonych w śnie głębokim, o usunięcie nieprawych — napisana z siłą przejmującą, wzruszający pomnik wymowy duchownej, chociaż średniowiecznem wyliczaniem i szeregowaniem atrybutów przeładowana; słowom jej nie brak i ostrza, przeciw Żydom zwróconego; jak wszyscy spółcześni reformatorowie, był i Mateusz antysemitą.

Mateusz, jako biskup jednej z najstarszych i najzawołańszych katedr niemieckich, istniejącej może już w czwartym wieku, znanej w szóstym, a od czasów Karola Wielkiego w nieprzerwanym ciągu obsadzanej, znalazł się wobec trudnych i zawiłych zadań. Należało walczyć z niesfornymi dyecezyanami, którzy, broniąc interesów mieszczańskich, poprzednikowi jego posłuszeństwo wypowiedzieli; na sercu ciążyły sprawy uniwersyteckie; biskup przesiadywał najchętniej w Heidelbergu, godził powaśnionych przy wystąpieniu Hieronima Praskiego, książąt i rycerstwo z profesorami, a gdy przed powietrzem morowem na jesieni 1407 r. wszyscy miasto rzucali, wytrwał on na posterunku i dopełniał obowiązków pasterskich; uniwersytetowi zapisał też całą bibliotekę; posiadamy jej spis, — same dzieła ciężko uczone, sumy i sentencye i wykłady pisma św., rewelacye św. Brygity i t. d., ledwie że jakieś dzieło poety chrześcijańskiego, np. Alana, lub kronika Marcina Opawczyka między nie się zaplątały. Obok obowiązków biskupich i kanclerskich (uniwersyteckich) należało jednak pilnować spraw politycznych, własnego króla i pana, wysyłającego Mateusza z obedyencyą do Rzymu, a dalej spraw kościelnych; zjawił się przecież Mateusz i na soborze pizańskim, jako delegat Ruprechta, a gorliwy obrońca praw Grzegorza XII.

Podróże rzymskie nie były dla niego nowością; jeszcze, jako profesor praski, podejmował je i stawał, jako mówca, przed papieżem; stąd znał on też tak dokładnie stosunki kuryalne, które w traktacie *De Squaloribus* bez ogródki wystawił. Teraz sędziwy prałat do-

czekał się od Grzegorza XII najwyższej odznaki,—kapelusza kardynalskiego, lecz go nie przyjął, może dla trwającej schizmy, chociaż niebawem legatem papieskiem dla Niemiec został i gorąco sprawę Grzegorza XII popierał.

Lecz dni Krakowianina były już policzone; umarł w południe dnia 5 marca 1410 r. Pomnik w kościele wormackim nosił skromny tytuł (dziś go już niema), uniwersytet heidelberski obchodził rocznicę zgonu dobrodzieja swego jeszcze w XVI wieku.

Ostatnim latom Mateusza, może nawet osobistym jego wrażeniom, odniesionym w czasie owego powietrza morowego w Heidelbergu r. 1407, przypisują skreślenie książeczki, która się najwięcej po świecie rozeszła.

I to znowu specyalność średniowieczna, nam zupełnie już obca. Nas zajęłaby chyba „sztuka n i e umierania"; średnie wieki jednak myślały tylko o „sztuce umierania", *ars moriendi*. Mianowicie wiek XV, wstrząsający sumieniem ludzkości europejskiej, ukołysanem do snu dawniejszemi praktykami, wystawił całą literaturę o „sztuce dobrego, pobożnego umierania", która nawet w naszych, tak nielicznych zresztą, pomnikach w narodowym języku, żywo się odbiła; przecież najdawniejszy większy nieco druk polski, tak zwana „Powieść o papieżu Urbanie" nie jest w gruncie rzeczy niczem innem, tylko też odmianką takiej *Ars moriendi*, i rzeczywiście powtarza się nieco podobny epizod w *Ars moriendi* Kapraniki; lecz i słynny Dyalog mistrza Polikarpa ze Śmiercią, najlepszy utwór poezyi średniowiecznej polskiej, wyłącznie około „sztuki umierania" się obraca.

Należące tu dzieła spisywali po łacinie najcelniejsi mężowie XV wieku. Na czele ich stoi sławny kanclerz paryski, Gerson, który w trójdzielnej książeczce ostatni dział „sztuce umierania" poświęcił; napisał ją po łacinie i po francusku, w pytaniach, uwagach i modlitwach; odpisy zawieszano po kościołach, szpitalach i szkołach; wydawano drukiem i tłómaczono na obce języki.

Na drugiem miejscu kładą *Ars moriendi* Mateusza z Krakowa, napisaną niemal natychmiast po dziełku Gersonowem, na które się we wstępie powołuje. *Ars moriendi* Mateusza, nieznana, zdaje się, po rękopisach, doczekała się zaszczytu kilku druków „ksylograficznych" około r. 1450, a więc przed wynalezieniem czcionek ruchomych, kiedy to dla największego szerzenia małej książeczki karty jej całkowite, jakby drzeworyty, odbijano, pozostawiając odwroty stronic czystymi, później i na nich te drzeworyty wybijając. Naj-

dawniejsze jej wydanie liczy kart ćwiartkowych 24 (odwroty białe) — jedyny znany egzemplarz tego odbicia nabyło Brytyjskie Muzeum na licytacyi lipskiej z r. 1872 za sumę — 25,000 marek!! Egzemplarz innego odbicia, kart 13 (bo i na odwrocie stronic tekst odbijano), posiada biblioteka Kórnicka. Zrozumienie tekstu i maluczkim — bo tylko dla nich i dla ubóstwa przeznaczano takie rzeczy — ułatwiały ryciny. Treść dziełka zapełniają rozmyślania w chwili zgonu, szturmy, jakie dyabeł do umierającego przypuszcza, by zachwiać w nim wiarę, poruszyć go do rozpaczy, pozbawić go cierpliwości, pobudzić go do pychy, wzniecić w nim po raz ostatni zachłanność rzeczy świeckich i odpór, jaki anioł im przeciwstawia; przez to nabiera traktat życia dramatycznego niemal, staje się jakby dyalogowaną walką dyabła i anioła o duszę umierającego. Nie dziw więc, że dla tej żywej formy i nadzwyczajnej przystępności, prostoty całego układu tudzież dla rycin dziełko to cieszyło się nadzwyczajną wziętością; po wydaniach ksylograficznych nastąpiły w wieku XV i XVI druki jego, których egzemplarze i po naszych bibliotekach się znachodzą: r. 1533 wydał je i Maciej Ostrogórski (Scharffenberg) w Krakowie.

Trzecią *Ars moriendi*, niby zlepek z dwu poprzednich, Gersonowskiej i „Mateuszowej", przypisują kardynałowi Dominikowi Kapranice (um. r. 1458) w roku 1452, co mylne, gdyż np. po bibliotekach niemieckich znachodziłem odpisy jej, datowane z r. 1439 i 1448. Drukowano ją i przepisywano często, lecz za autora jej podawano zazwyczaj Mateusza z Krakowa, np. najdawniejszy jej druk, około r. 1470 w Kolonii u Ulryka Zella, zatytułowany: *incipit prologus in librum de arte moriendi, magistri Matthei de Cracovia, sacre theologie professoris*, lecz to *Ars* Kapraniki; ten sam błąd popełniają i rękopisy.

Idę jednak dalej i twierdzę wbrew najnowszym badaniom, że Mateusz z Krakowa ani owej drugiej *Ars moriendi*, że więc żadnej „sztuki umierania" nie napisał. Odbicia pierwotne, ksylograficzne, nie wymieniają żadnego autora, rękopisy i druki mylą się widocznie, dodając jego nazwisko do rozmaitych utworów podobnej treści. Mojem zdaniem, jakiś żak napisał ów traktacik; później, gdy płód ochrzcić wypadało, przyczepiono mu nazwisko Mateusza z Krakowa, jak np. przyczepiano Gersonów i Gersenów do Naśladowania Chrystusa, chociaż je nie Francuz lub Włoch, lecz Niemiec, Tomasz Kempijski, napisał; tradycya bibliograficzna niewiele dowodzi. Opat uczony Tritheim, piszący r. 1492 o pisarzach kościelnych, między dziełami Mateusza żadnej *Ars moriendi* nie wymienia. Do

odmawiania traktaciku Mateuszowi skłoniły mnie jeszcze inne szczegóły, nie ubliżające przeciętnemu pismakowi średniowiecznemu, niezwykłe zato, rażące u duchownego tej miary, co Mateusz. Anioł np., podtrzymując wiarę umierającego, wskazuje na niezachwianą wiarę apostołów i świętych, wymienia między nimi Aleksandra (Macedończyka!!), na którego modły wierne (!!) góry Kaspijskie się zawarły (nad potwornymi ludami, które Macedończyk do skończenia świata tam zamknął). Otóż taki szczegół apokryficzny godzien jakiegokolwiek żaka, lecz w ustach Gersona lub Mateusza trudno go sobie nawet wyobrazić.

Temat był nadzwyczaj ulubiony; i Jakób Paradyżanin przecież napisał „*Ars bene moriendi*", częstą po rękopisach, rzadką w druku. Napisał taką, jak widzieliśmy, Gerson; napisał — wedle twierdzenia Włochów przynajmniej — i Kapranika, lecz jego *Ars* to nie, jak twierdzą bibliografowie, zlepek z *Ars* Gersonowej i ksylograficznej (niby Mateuszowej), lecz odwrotnie, ksylograficzna *ars* jest, mojem zdaniem, tylko rozszerzeniem pierwszego ustępu czy rozdziału Kapraniki, odrzuca przedmowę i wprowadza anioła, argumentującego przeciw szatanowi, przez co cały pomysł dopiero należytego zaokrąglenia nabrał.

Lecz nie chcemy się w dalsze szczegóły owej bogatej i zawiłej rubryki *Ars Moriendi* zapuszczać: chodziło nam głównie o stwierdzenie, że nie mamy żadnej przyczyny na podstawie świadectwa późnej i niedokładnej tradycyi, wbrew milczeniu starych rękopisów, nie znających wcale traktaciku tego, wbrew kilku innym wskazówkom, usuwającym autorstwo Mateusza, i nadal mu „Sztukę Umierania" przypisywać.

Jak żywotnym był duch Mateusza w sferach polskich, uniwersyteckich i hierarchicznych, na to dowodów długo szukać nie trzeba; świadczy o tem najwyraźniej samo wystąpienie Polaków na soborze konstanckim, ich biskupów i mistrzów zarazem; rektor Paweł Włodkowic i elekt poznański, Andrzej Łaskarz (nie wiemy, dlaczego nasi pisarze poczciwego Mazura Łaskarza na jakiegoś pseudogreka Laskarysa zapamiętale przerabiają) byli godnymi następcami Mateusza. Przypomnijmy tylko kilka szczegółów: gdy sławne uchwały soboru konstanckiego o wyższości soboru nad papieżem, o posłuszeństwie, które i papież soborowi winien, powzięte na czwartej i piątej sesyi, podcinające wszechwładzę papieską, — na publicznem posiedzeniu dnia 6 kwietnia kardynałowie wzbraniali się ogłosić,

powstał Łaskarz i odczytał je sam. On należy wraz ze sławnym biskupem Robertem z Salisbury do najgorętszych zwolenników reformy; więc zażądali kardynałowie, gdy o ich liczbie i t. d. traktowano, aby z obrad usunięto tych, którzy byli „notorycznymi wrogami kościoła i kuryi rzymskiej", t. j. Anglika, biskupa salisburskiego, i „Niemca", elekta poznańskiego. Lecz ten sam Łaskarz ogłaszał również w imię soboru dekret, potępiający Wiklefa i Husa, strzegł więc, jak Mateusz, prawowierności przeciw wszelkim zakusom heretyckim.

Cóż dopiero mówić o rektorze krakowskim, Pawle Włodkowicu, który wraz z resztą poselstwa polskiego nie zawahał się udaremnić całego efektu widowiska, namaszczonego i uroczystego, jakiem Marcin V spełznienie i zniweczenie dzieła soborowego chciał zamaskować, 22 kwietnia 1418 r., w katedrze konstanckiej, wobec papieża, cesarza i ojców soborowych, znużonych kilkuletnią pracą! Gdy po mszy św. i po uroczystem wezwaniu: w imię Chrystusa pójdźmy w pokoju, biskup-dominikanin wchodził na kazalnicę dla wygłoszenia mowy pożegnalnej, przerwali sami Polacy uroczystość. Ich prokurator najpierw, a po nim rektor krakowski, zakładają protestacyę, wymagając soborowego osądzenia Falkenbergowskich pism, jako heretyckich, i grożą w przeciwnym razie apelacyą do przyszłego soboru, jak niegdyś Mateusz z Krakowa od uchwał pizańskich do Chrystusa apelował. Sam papież zabiera głos i nakazuje rektorowi krakowskiemu milczenie, lecz nieustraszony Włodkowic, Boga, nie ludzi, słuchając, odczytuje protestacyę. Broni tego papież pod karą klątwy i każe odczytać dekret, znoszący apelacyę od papieża do soboru, wywracający więc uchwały konstanckie, a dawno w tym celu przygotowany. Mimo to doręcza Włodkowic w imieniu króla apelacyę do przyszłego soboru notaryuszom papieskim. Wzburzenie było ogromne. Polacy nie ustąpili; biskupi i świeccy, profesorowie prascy, wiedeńscy, paryscy (z Gersonem na czele) stali po ich stronie i w kilka dni później, wyłamując niemal gwałtem bramy pałacowe, doręczyli Polacy samemu papieżowi apelacyę, a napisał Gerson rozprawę w ich duchu, czy wolno w rzeczach wiary od wyroku papieża apelować.

Energiczne to i niezawisłe postępowanie nie było ani przypadkowem, ani chwilowem; podzielał je przedewszystkiem uniwersytet, zajmujący niebawem, pod sobór bazylejski, stanowisko wyższości soborowej i wtedy jeszcze, gdy już cała Europa ojców bazylejskich i ich papieża porzuciła i Eugeniusza uznała. Uniwersytet krakowski opuścił ostatni, po ciężkiej walce sumienia, sta-

nowisko niezawisłe, którego pismem i słowem wytrwale bronił przeciw papistom. Że o epizodzie tym w Krakowie później całkiem zapomniano, że z przerażeniem, przeglądając rękopisy Jana Kantego, jego antyultramontańskie tendencye dostrzeżono, rzeczy nie zmienia; uniwersytet, wojujący ustami najuczeńszych członków przeciw husytyzmowi, nie znoszący w gronie swojem żadnej zarażonej owieczki, bronił mimo to powagi soborowej przeciw autorytetowi papieskiemu. Właśnie podczas soboru bazylejskiego traktat Mateusza odżył niby nanowo: wszystkie niemal odpisy jego pochodzą z tego okresu. A odżywał on nie tylko w odpisach. Wymieńmyż męża, słynniejszego nawet, niż Mateusz z Krakowa, jednego z najzawołańszych pisarzy duchownych XV wieku, męża wielkiej nauki i cnoty, Jakóba z Interboku (od miejsca urodzenia) lub Paradyżu, albo Mogiły (od klasztorów cysterskich, profesyi jego), też Polakiem lub Kartuzyanimem nazywanego. Całkiem w duchu Mateusza z Krakowa zwalcza on i potępia wraz z innymi kolegami na zamku krakowskim w owej słynnej, kilkudniowej dyspucie, prowadzonej głównie w języku narodowym (polskim i czeskim?), dostępującym po raz pierwszy takiego zaszczytu, deputacyę husycką, ale z jeszcze większym ogniem i poświęceniem pracuje on przez całe długie i czynne życie nad reformą kościelną i obyczajową, nad podniesieniem życia zakonnego, a gdy mu w końcu śluby cysterskie nie wystarczają, poddaje się on ostrzejszej Kartuzów regule i w eremie kartuskim pod Erfurtem życie kończy. Wszystkie, nadzwyczaj liczne, w setkach odpisów kursujące pisma jego nawołują do reformy, i wpływ ich widoczny w uniwersytecie erfurckim, któremu też przymawiano: Erfordia — Praga, chociaż w końcu nie Erfurt, lecz Witenberg nową „Pragę" z siebie wyłonił; uczniem zaś uniwersytetu erfurckiego, gdy wpływ Jakóba w nim był największym, był właśnie Jan Ostroróg, autor pisma, które wobec Rzymu bardzo niezawiśle stawało. I inne odgłosy wywoływały pisma Jakóba w kraju: wiersze np., które czytamy we wspomnianym już Dyalogu o śmierci:

Gdy mnich pocznie dziwy stroić,
Nikt go nie może ukoić;
Kto chce czynić co na świecie,
Zły mnich we wszytko się miecie —

wydają się nam niemal tłómaczeniem owego ustępu z pisma Jakóba „o niedbalstwie przełożonych", gdzie, charakteryzując złego mnicha, kończy przysłowiem: „co sam dyabeł zacięty czynić się wzdryga,

bez bojaźni czyni przewrotny i uparty mnich. „Otóż ten to Jakób prowadzi tylko dalej dzieło, zaczęte przez Mateusza, kroczy wobec rosnącego zgorszenia w jego kierunku, rozpaczając niemal nad przyszłością kościoła. I tak, co on przeciw symonii napisał, jest dalszym ciągiem pracy Mateuszowej, a i tu nie stoi Jakób bynajmniej samotnie. Starszy jego kolega krakowski, Maurycy z Pragi, odczytał jeszcze na soborze konstanckim dziesięć konkluzyi przeciw symonii, o których znowu twierdzić możemy, że natchnął je Mateusz; konkluzye te przepisał własnoręcznie Włodkowic, a Jakób wciągnął je do swego dzieła, przyklaskując im szczerze. Inaczej Włosi-kuryaliści: gdy Maurycy konkluzye swoje odczytywał, zawołał wódz ich duchowy, kardynał Franciszek de Zabarellis: śmierć wolę, niż reformę od tych osłów (t. j. Niemców, dodaje Jakób [1]); żałując wybuchu swego, przeprosił później kardynał włoski mistrza krakowskiego, lecz Bóg mu tego płazem nie puścił: przypłacił to niebawem życiem.

W poważnym, a sympatyczuym wizerunku książęcia kościoła niemieckiego raziłaby może nowoczesnego widza cecha kosmopolityczna. Dziś, gdy, jakby na śmiech i urągowisko naszym olbrzymim środkom komunikacyjnym, narodowości bardziej się coraz odgraniczają, wywołują i prześladują nawzajem, kosmopolityzm niemal zbrodnią lub choćby defektem moralnym trącić się zdaje. Odwrotnie wieki średnie, przy zupełnym niemal braku komunikacyi, odznaczały się wybitnym kosmopolityzmem. Mogły być silne przeciwieństwa polityczne, stanowe, społeczne, lecz uniwersalny kościół, uniwersalny język, jednolity tryb nauki na polu duchowem baryer i szrank nie dopuszczały żadnych; Mateusz, pisząc po łacinie (mamy jego tylko jedną formułkę spowiedzi powszechnej niemiecką — czy właśnie jego pióra?), ucząc w Pradze i Heidelbergu, pasąc — niesforne co prawda — stadko wormackie, pracował dla całego kościoła, dla całej nauki, a więc i dla Polski. Z ojczyzną przez to nie zrywał.

---

[1] Na synodzie konstanckim wobec groźnej przewagi liczebnej Włochów-kuryalistów przeforsowała reszta ojców soborowych, że za wpływem i przykładem uniwersytetów soborowano nacyami, czterema, jak w Paryskiem lub Praskiem studyum. Do nacyi niemieckiej należeli prócz Węgrów i Polacy, z Trąbą, Łaskarzem, Włodkowicem i Maurycym, znaczącą odgrywając rolę, szczególniej też w sprawie pojednania obu kościołów, myśli, piastowanej gorliwie właśnie na uniwersytetach.

Przypomina on nam — jeśli pominiemy mistrzów czeskich, pracujących w Polsce, lub Paradyżanina i innych — mistrza spółczesnego, Tomasza z Krakowa, który, jak Mateusz, Pragę przeszedł, aby w końcu ugrząźć w Paryżu i tu lat kilkadziesiąt na uniwersytecie mistrzować. Myślałby kto, że choć ten na stare lata — na stara kolana, jak mawiano wtedy — o rodzinie zapomni. Gdzie tam! posiadamy od niego list, do króla Włodzisława Jagiełły pisany, gdzie niemal natchnionym językiem, przynajmniej osypując go retorycznymi kwiatkami, tęsknocie swej za ojczyzną i Krakowem, którego wdzięki wysławia, rzewny nadał wyraz.

Właśnie wiek czternasty był szczytem takiego kosmopolityzmu, gdzie, służąc powszechnej sprawie na jakimkolwiek posterunku, nie wyrzekano się przez to właściwej ojczyzny. Jeszcze na soborze konstanckim Polacy z Niemcami, chociaż sprawą krzyżacką tak rozdwojeni, w jednej nacyi pomieścić się mogli. Dopiero później zaostrzają się przeciwieństwa i mimo wygładzającego, wyrównywającego wpływu humanizmu, reformacyi i oświaty zwalczają się dziś narodowości, jak nigdy przedtem. Postęp nielada!

Wracamy jednak do Mateusza i Uniwersytetu.

Nakreśliliśmy pobieżny wizerunek, sylwetkę tylko mistrza, pisarza i biskupa; pominęliśmy liczne szczegóły żywota i pracy literackiej; zamierzaliśmy tylko przypomnieć zapomnianego.

Zapomniał o nim przedewszystkiem uniwersytet, wyparł się niebawem ducha, który z pism Mateusza do nas przemawia, poszedł innemi ścieżkami. W sprawie unii kościelnej np. zajmuje już Jan z Oświęcimia inne stanowisko, jak dawny uniwersytet, jak Maurycy i Gerson; w sprawie soborowej uznano niebawem wszechwładzę kuryi; zamiast do reformy kościelnej przykładał się uniwersytet chyba do kalendarzowej. Odtąd już tylko jednostki, Jakób z Iłży czy Stankar, uchylą się od rzymskiej prawowierności; uniwersytet, jako całość, pielęgnuje ją jak najgorliwiej i najwyłączniej i truchleje, żeby mu tylko jezuici jakichś śladów myśli wolniejszej czy kacerskiej nie wytknęli. Zwrotu tego jednak nie wywołał uniwersytet sam; poszedł on za społeczeństwem własnem — nieraz, jak w sprawie bazylejskiej, przeciw swej woli. Krakowski uniwersytet zresztą nie był jedyny; zdań pierwotnych odstępują i najwybitniejsze jednostki (Eneasz Sylwiusz, Kuzanus i in.) i całe szkoły; wreszcie tracą widocznie od połowy wieku wszystkie uniwersytety na znaczeniu i powadze, ich siły szczupleją i rozdrabniają się; nowa wiedza rzuca dawne lektorya, kroczy własnymi torami.

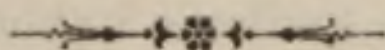
Ze szczegółów, które przytoczyliśmy, od imion i konkluzyi Mateusza, Maurycego, Włodkowica i Jakóba, wywodzimy stanowisko uniwersytetu w pierwszych dziesiątkach lat istnienia. Stał on wtedy w teologii — a w teologii kulminowała przecież zawsze jeszcze mimo zaczepek humanistycznych cała nauka ówczesna — na wyżynach wiedzy; z mistrzami paryskimi i wiedeńskimi szli ręka w rękę krakowscy; samo ich postępowanie w Konstancyi obalało niecne kalumnie, szerzone przez zawistnego i zaprzedanego Falkenberga; ci mistrze krakowscy sprawili odrazu, że nazwa Krakowa w świecie naukowym zajaśniała i zaważyła, że wyłoniła się odrazu nauka polska, godna polskiej potęgi państwowej. Więc należy się cześć i wdzięczna pamięć tym mężom, a dziś, niemal po pięciuset latach, możemy szkole starożytnej najszczytniejszym dla niej hołdem wyrazić nadzieję i życzenia, aby i nadal trwała na stanowisku, jakie niegdyś przed wiekami zajmowała, choć się już czasy zmieniły, choć już nie w samej teologii kulminują wszystkie nauki.

A. Brückner.



Na Huculszczyźnie.

(Garść wrażeń).



Noc leżała na szczytach wschodnich Beskidów.

— Jaremcze! — rozległ się głos konduktora.

Gęsta, szara masa letników przepełniała peron, gwarząc, witając znajomych, gapiąc się bezmyślnie.

Hucuł porwał moją walizę.

Szliśmy gościńcem dobrze bitym, szerokim, obstawionym po obu bokach zgrabnemi willami i domkami. Gdzieniegdzie migotało światełko lub czerwienił się żar wśród ciemni, płynący od ognisk pastuszych. Melancholia nie rozjaśnionej księżycowem światłem nocy rozsiadła się na górach.

Płomyk świecy rzucił blask na izdebkę. Wyglądała, jak kwadratowa paka, zbita z długich sosnowych tarcic, nakropionych wygładzonemi plamami sęków.

— Jak się zwiecie? — zagadnąłem Hucuła.

— Dmytro Petraszczuk.

Miał lat czterdzieści pięć. Nosił kożuszek, zwany keptarem, zgrzebne, szerokie szarawary i mocno przyniszczone „kresanie”

ozdobione sznurem białych muszelek. Na brązowo-oliwkową twarz Dmytra spływały hebanowo-czarne, bardzo długie włosy, prześlizgując się kokieteryjnie na spadki ramion. Para ślicznych, czarnych źrenic patrzała na świat bezgranicznie smutno.

— Usiądźcie, Dmytro, na chwilę.

— Dziękuję wam — odparł — będę stał, ja prosty Rusnak, a wy pan.

— Czem się trudnicie, Dmytro?

— A czem? Wożę drzewo z kamery [1]) na kolej, — a jak nie, siedzę w domu.

Zblizka zalatywał ogromny huk, podobny do echa tysiąca strzałów karabinowych lub armatnich. Echo wyło, jakby strącone z ostrych granitów, szarpało się i rozbijało i jęczało, grały w niem wszystkie wichury beskidowe i wszystkie szumy leśne, idące od Czarnohory.. Przepełniło ono spokój nocy—zamieniając go w wielką, gwałtowną, porywającą — pieśń przyrody.

— Dmytro, — a co to tak jęczy?

— Znajcie, to Prut... On taki zawsze.

Wtem zamigotały w powietrzu krwawo — czerwone ślepie, skry posypały się rzęsiście wszerz i wzdłuż, rozległo się ciężkie ziajanie i syczenie, jakby wyrzucenie z piersi ostatniego oddechu, — potem szło po mroku słabe kwilenie i skonało.

Na górze, po słynnym moście jaremczańskim, popędził pociąg ku węgierskiej granicy.

Podniósł się Dmytro i wymienił swój adres.

— A daj wam, Boże, panowanie dobre i waszej całej familii! rzekł na pożegnanie.

— Bóg zapłać, Dmytro, do widzenia!

* * *

Bawiłem już dwa tygodnie w ojczyźnie słynnego zbójnika Ołeksy Dowbosza.

Dowboszczyzną nazwać można Jaremcze, z sąsiednią wsią Jamną i z przysiołkiem Bachrowcem, — bo całe to smereczane gniazdo górskie żyje pamięcią bohatera-zbója.

Hucuł w keptarze na połoninie, Hucuł na „dołenie" zna historyę „wielikiego rycera" Ołeksy, chlubi się nią, rozkoszuje, z dumą

---

[1]) las rządowy.

wspomina tę kartę gazdowskich dziejów u stóp Czarnohory. I każdy z nich powtarza sentymentalną, rozwiewną, smutną pieśń Dowbosza na pożegnanie swoim druhom:

„Oj, wy chłopci mołodcy,
Bĕrit mene na topory
I nesit na Czarnohoru“.

Aż żal serdeczny ogarnia duszę, że tej dowboszczyzny nie utrzymano w ramach pierwotnej tradycyi, że wszystko, co pod rękę, chrzci się nazwiskiem „wielkiego rycerza” i w ten sposób ściera się pokost staroświecczyzny z bajek i klechd ludowych, wiszących nad smereczanymi borami Jamny i Jaremcza. Tak powstała „wanna Dowbosza” z szerokiego rozlewu czy basenu przy srebrzystym, malowniczym wodospadzie pruciańskim, który wrzuca do niego rozpienione fale, wydłużające się na uspokojonej cokolwiek powierzchni w krągłe, jasno bursztynowe smugi. „Kamień Dowbosza” przy trakcie rządowym, w Jamnie, z piaskowcowym krzyżem na wierzchu, ma przypominać czyny junackie beskidowego Janosika; niestety wandalska ręka robotników kolejowych zwaliła z niego pierwotny, żelazny, bogato pozłacany krzyż, fundowany przez oberkomisarza Kollera około r. 1838. Naprzeciwko wymalował jakiś poczciwy kamieniarz w wolnej od zajęć chwili Dowbosza na gładkim, profilem zwróconym ku drodze głazie, w bośniackim kostyumie i w kapeluszu à la Gasparone, z twarzą opuchłą, podtrzymywaną dłonią, niby w przystępie bardzo dokuczliwego bólu zębów. Ten sam typ widziałem na golarskiej firmie Hersza Gernera w Dorze!...

Szkoda tradycyi!..

A ma ona królewską siedzibę w „Dowboszowej chacie”, najwyższych progach piaskowcowych, sterczących na wierzchach olbrzymich kolosów skalnych. Z tej „chaty”, a raczej z tych fantastycznych progów kamiennych, widać wysokie szczyty: Poharcie i Jaworniki i zdala szarzejącą Syneczkę, tonącą w fioletowych mgłach. Pada z niej słońce na Bohorodczany, Nadwórnę, Łysiec, Stanisławów, Kołomyję, rozpylając złociste żary w jesiennem szczególniej, czystem powietrzu, — gdy ziemia ostudzona, wolna od upałów, nie paruje. Tuż koło „chaty” rozciąga się grupa grot lub naturalnych tunelów; nie są one wszystkie jeszcze odkryte, gdyż robota w tych stronach żmudna, — po grudzie, — a na domiar ogromnie kosztowna. Jeden z nich, niezupełnie przekopany i zbadany, ryje się w ziemię na długość co najmniej trzydziestu metrów. Sklepienie ma żółto-piaskowcowe, w formie gotyckiej, opadającej

w prostych płaszczyznach ku ziemi, pokrytej drobnymi odpadkami piaskowca. Ze spodu wieje silne zimno i zgnilizna, — jak z lochów wilgotnych. Tu i owdzie spotkać można smolaki i nadpalone polana, nad któremi rozgrzewali robotnicy ręce, bo w czerwcu, w czasie prac przy przekopaniu, zwisały w jamach gęste sople lodu. Cała ta gromada skał, zwietszałych, brunatnych, czarnych, zielonych i Bóg wie jakich, brodzi w gęstwinie borówczanych krzewów, okalających samotnie rosnącą brzozę. Przy wejściach do grot pełzają mchy i porosty różnobarwne, a wśród nich stoi na straży smutny cząbr.

Istne to cmentarzyska wielkoludów, martwe, zatopione w głuszy.

* * *

Jakże mi żal tego pięknego huculskiego ludu!

Oryginalność, bujność, fantazya zbójnicka biją od niego,—jak od kwiatów wonie.

Chłop w serdaku, przerzuconym na chłód brunatnym keptarem, w szerokiem kresaniu na głowie, z torbą dziobańską u boku, wygląda, jak człowiek o olbrzymim zasobie życia na teraz i potem. Zgrzebne, białe szarawary, wydęte często wiatrem, opadają na jego nogi, owinięte u kostek w czerwone flanelowe onuczki, obute w kerpcie. Wszyscy noszą długie, śliczne, niedbale utrzymywane włosy, przeważnie krucze. Na ich sumiaste, rozkrzaczone wąsy spływa dziwne zatęsknienie i dziwna żałoba źrenic. Samotna dusza gór, nieskończona zieleń lata i całunowa biel zimy wycisnęły na huculskich twarzach melancholię. To melancholia limby, odciętej od świata, rosnącej na wysokich wierzchach, smaganej wiatrem, odtrącanej nawet od... smereków. A ileż drzemie w Huculszczyźnie artyzmu! Widziałem mosiężne torby i pasy, przez nich wybijane, przecudnie cyzelowane z bizantyńską przesadą stylową — natura rusnacka cierpi potrosze na bizantynizm... Śliczne są kobiety, pełne delikatnych, subtelnych, pańskich rysów. Noszą zgrzebne na piersi koszule, na nich zamiast spódnicy z przodu i z tyłu zapaski, rodzaj czerwonych, niespojonych fartuchów, bo niegdyś było im dobrze jeździć w takim stroju na koniu. Głowę owijają w dużą, czerwoną „szalenową” chustę, przewiązaną zgrabnie w guz na karku, rozwijający się w niedbałe, malownicze fałdy. Szarfowskie imitacye brylantów lub tańsze szkła czeskie, ujęte w blaszaną oprawę, tworzą powszednią ozdobę uszu Hucułek. Cera ich twarzy przewa-

żnie zmatowana, oliwkowa, oczy mądre, szczerze wyraziste, jak jelenie. Te wszystkie Marusie, Paraski, Ołeny, Hafie, Jewdohy są nad wyraz zalotne, kokieteryjne, a ich kokieteryjność podnosi niezmiernie namiętne palenie papierosów. A rośli chłop w chłopa i dziewka w dziewkę, że trudniej o lud dorodniejszy, bardziej rycersko wyglądający i nastrojony. Trzeba ich widzieć w cerkwi, na służbie Bożej, z świecami u „carskich wrót", zawodzących rzewne pieśni liturgiczne!... Kolory i jaskrawe barwy przyćmiewają wówczas oczy, śledzące z trwogą, czy te poważne, ponure postaci nie ruszą się, nie runą i, jak za Dowboszowych czasów, nie pójdą na zbój...

Lud ten obok klasycznej urody i pewnej wrodzonej inteligencyi jest brutalnie chciwym. Letników uważają z reguły za gąbkę, nasiąkniętą złotem. Na drodze do Jamny namnożyło się mnóstwo niedorostków, wyciągających ręce ze łzą w oczach:

— *Dajte, pane, hrosza!*

Hucuł nigdy nie poda ceny za artykuł spożywczy. Na naleganie odpowiada pokornie:

— *Szczo mi date! do woli!...*

Jeżeli zapłata nie była hojną, ale sprawiedliwą, stosunki zerwane! Trzyma się wtenczas owej gazdowsko-ruskiej zasady: „*kto ne kwapen, ne utraten*", nie kwapi się, nie śpieszy, może ktoś przyjdzie, co pod formą kupna udzieli zarazem jałmużny. Korzystając z pobytu letników w górach, wyprawiają Huculi w sierpniu i wrześniu jak najwięcej weselisk, aby piękne druchny rozesłać po domach dla wydobycia... datków; Huculszczyzna jest wogóle leniwą, ociężałą, bizantyńsko-wygodną. Nadzwyczajną pasyę mają do odprawiania świąt pozakalendarzowych, których podstawy tkwią prawdopodobnie w zamierzchłej pogańszczyźnie. I tak obchodzą jakiegoś Kuryka, potem Rachmański Wełekdyń; w pewnych dniach nie orzą, w innych nie przędą, w jednem siole pracują, w drugiem na dobre panuje uroczystość świątkowania ze wszystkiemi jego następstwami. Błogosławią ten prywatny kalendarz dość licznie rozmnożone karczmy.

Hucuł nie bardzo dba o czystość w dniu powszednim. Gnieździ się w nizkiej, zbitej z przepołowionych sosen chacie, pokrytej pochyłym dachem z tarcic lub gontu. Chałupa rozpada się zazwyczaj na dwie części, wielką i wąziutką, oddzielone od siebie sionką; w izbach podłóg niema, tylko zwykły z ziemi ubity tok. Najwięcej miejsca w dużej izbie zajmuje ogromny, ceglany piec z okapem, bez komina, obrzucony wapnem białem, i olbrzymie kwadratowe łóżko, zasłane sianem. Może na niem wygodnie spać

cztery do pięciu osób. Nad łóżkiem chwieje się kołyska, podobna do połówki trumny, zawieszona na sznurach u belki pułapu. Reszty umeblowania dopełniają ławy wzdłuż ścian, stół i kuchenny kredensik, zapełniony talerzami kolorowymi z fajansu.

Hucuł jest wielbłądem beskidowym: potrafi jeść nadzwyczaj mało, a chodzić bez miary. Zwyczajny pokarm huculski tworzy kulesza, odwar kukurydzy, i kawałek chleba, rzadziej już ser i mleko. Pracować lubi tyle, ile jest koniecznem. Chodzi koło dwu, trzech morgów lichej ziemi, odwiezie czasem drzewo z lasu kameralnego na kolej, zresztą o nic się nie troszczy. Ta obojętność i ospałość przebija się także w stosunku do zmarłych. Rzadko wiedzą, gdzie kto z najbliższej rodziny spoczywa, bo zwykle na grobach nie zatykają nawet znaku. Cmentarzyska huculskie na ślicznych, górskich stokach obrastają dzikim chwastem, koniczyną, fioletowymi bodiakami i jaskrami. Mogiły toną w zielsku tak, jak toną w nieskończonej ciszy. W Jamnie np. koszą Huculi trawę z grobów za ryczałt 15 zł., złożony czy w gminie czy w parafii...

Pierwotność Huculszczyzny wyryła się głęboko na jej moralności; nie zna ona w pewnych okolicach żadnych skrupułów, żadnych praw i ograniczeń dla wolnej miłości. Jewdohy, Anny i Paraski przynęcają chętnie panów, bo mają pańskie skłonności i żądzę pieniędzy. Ta ich bezceremonialność pociągnęła za sobą pewne, daleko idące skutki. Podczas budowy kolei do granicy węgierskiej musiano wywieszać listy osób, dotkniętych zaraźliwą chorobą... A było ich do 55% ogółu ludności na Jamnie, Dorze, Bachrowcu, Jaremczu!..• Losowi temu ulegały jedenasto, dwunastoletnie dziewczęta! Robak zniszczenia zaczyna już dziedzicznie toczyć te piękne, na słońcu uwędzone, bujnie rozwinięte ciała! Tu i owdzie spotkać można sześcioletnią dziewczynkę, o konopnych włosach, jasnych, niebieskich oczach z twarzą Madonny, zamorusaną, w brudnej, zgrzebnej koszulinie-soroczce. Krzywi się biedactwo, przykłada rączęta do nóg i patrzy. Od kilku lat ma wrzody, które nie chcą się zagoić, bo nieleczone. Hucuł nie zna lekarza, do systematycznej kuracyi nie przystąpi, a nawet nie ma za co leczyć. Rząd postępuje w tej sprawie z bezprzykładną lekkomyślnością i krótkowidztwem. Najbliższy szpital znajduje się w odległości 12 mil, w Stanisławowie!... Peryodyczne jedynie ambulatorya potrafią jako tako zaradzić złemu i ocalić tych nędzarzy od zupełnej degeneracyi. Jak dalece mroki jeszcze tu panują i jak małą jest prawdziwie kulturalna opieka władz, niech świadczy następujący wypadek.

Strażnikowi kameralnemu, Wintynowi Prociukowi, umarła szesnastoletnia dziewczyna. Ubrano ją w czerwoną „szalenową" chustę, w buty, w zgrzebną koszulę, przykryto dużem, po szyję sięgającem płótnem i gazdowskim obyczajem położono na ławie pod oknem. Leżała tak cicho, w majestacie śmierci, jakby spała po ciężkiej pracy na pastwisku. Około niej skupiło się ze dwudziestu kumotrów i kumoszek, gestykulujących i gwarzących. Co za barwny obraz! W tej samej izbie śpią domownicy, jakby nic nie zaszło, a nieletnie Huculęta wygrzewają się na przypiecku, z boku okapu. Zapytałem, czy przyjedzie lekarz z Delatyna obejrzeć zwłoki.

— A gdzie tu chcecie doktora! — Przyjdzie Petro Halemiuk, on ogląda z polecenia gminy. Później dowiedziałem się, że Petro Halemiuk to zwykły, ciemny Hucuł, pełniący obowiązki dyaka i zarazem... znawcy zmarłych.

Dobry w każdy razie fachowiec! A co się dzieje, gdy Hucuł lub Hucułka umrą na zakaźną chorobę? O to nikt się nie troszczy. Widocznie ludzi dość na świecie; dlatego gruźlica tu nie próżnuje, robi swoje...

Rząd zaniedbał strasznie Huculszczyznę nie tylko pod względem zdrowotności. Mimo przymusu szkolnego należy sztuka czytania i pisania do niezwykłych osobliwości. Szkoły są, ale nie rozwinięte, rzadkie i dalekie. Królestwo mroków panuje wszechwładnie.

Lud jest potężnie, przysłowiowo dynastycznym, otacza osobę monarchy prawie religijną czcią i bogobojnością. Wspominając nazwisko „cisara", nastraja Hucuł twarz uroczyście, uchyla nad czołem „kresania", zgina się piersią ku ziemi. Pamiątkowe medale, otrzymane z okazyi pięćdziesięcioletnich rządów cesarskich, wieszają ex-wojskowi z dumą na serdakach, jako „własnoręczny upominek od Naj. Pana". To przywiązanie do pięknej, nawskroś szlachetnej osoby cesarza Franciszka Józefa tak się u nich rozwinęło, że w razie dolegliwej jakiejś biedy jedzie Hucuł do Wiednia.... ze skargą do stóp tronu, aby się swemu „ojcu" pożalić... Na stu zaledwie jeden dostaje się do ołtarza, inni zazwyczaj otrzymują z kancelaryi gabinetowej... pięć reńskich na powrót... lub idą szupasem [1]. Trudno wogóle wyobrazić sobie wierniejszych poddanych; są to dla Austryi i dynastyi prawdziwi Tyrolczycy wschodu. Ślepe posłuszeństwo dla monarchy przeszło i na władze. Starostwo jest dla Hucuła naczelną komendą, jego rozkaz—dogmatem. Stosunki te pochodzą

[1]) Na piechotę pod eskortą żandarma.

jeszcze z okresu przedkonstytucyjnego i Bachowszczyzny, gdy osławieni w dziejach Galicyi „kreishauptmani" popierali z całym rozmysłem system polityczny, protegujący lud przeciw... panom. Jeden z takich „kreishauptmanów", Franciszek Kratter, zapisał się w dziejach Huculszczyzny nie tylko hołdowaniem zasadzie „*divide et impera*", ale czynami ekonomicznymi. Kapitalnem dziełem jego było przeprowadzenie wygodnego, znakomitego traktu rządowego wzdłuż Prutu, który zbliżył te zapadłe światy do kultury. Roboty rozpoczął koło 1830 r. — a r. 1836 szedł już trakt do Mikuliczyna. Pamięć zasług Krattera uwieczniono napisem na olbrzymim głazie piaskowcowym w drodze do Jamny. Wyrył go jeden z obergegrów dawnej straży pogranicznej około 1840 r.

Wobec takich warunków i stosunków odbywają się na Huculszczyźnie wybory do sejmu i do Rady Państwa według nakazu starostwa, a raczej jego organów: wójtowstw. Osłodzeniem nakazu zajmuje się propinator. Wybory są czczą formą, bez walki, bez namiętności, bo Hucułowi wszystko jedno, kto zwycięży, a zresztą nie rozumie się na tej całej sprawie. Wychodzi też zawsze z urny inkamerowany, to jest rządowy Rusin. Takim jest obecny przedstawiciel okręgów huculskich w parlamencie, ks. Mandyczewski.

* * *

Siedliśmy z Dmytrem Petraszczukiem na suchym, lekko falistym stoku górskim, niedaleko drogi jamniańskiej. Córeczki Dmytra, Nastunia i Marusia, poganiały dwie czarne owce: Kotusię i Kosarkę, tudzież opasłą krowę Żółkienę, cały dorobek huculski. Bydlęta skubały trawę, żuły, aż nozdrza im zaszły zupełnie od wilgoci. Słońce płynęło po rannej rosie na czuby smereków, wgłąb lasów i na jasno-zieloną wodę Prutu. Wszerz i wzdłuż wysuwały się z poza siebie ogromne wyniosłości: Makowice, Gorgany, Jaworniki, Syneczka. W czystem, przepojonem drgnieniami borów i szumem potoków powietrzu mieniły się wszystkiemi barwami tęczy, jaśniały ametystami, opalami, turkusami. Zaledwie słonko obniżyło się cokolwiek, przygasły i one, ściemniały, straciły siłę, zjednostajniały.

Dzieci nawoływały zwierzęta, zanadto daleko odbiegające.

— Hišta! hišta!

Dmytro Petraszczuk zapalił krótką fajeczkę, przegrzebał tytuń palcem, pyknął raz i drugi i rzekł:

— Dawniej nie umierali starzy ludzie, — bo byli mądrzy i rozumni, aż hej! Oni zawsze z młodymi Hucułami odprawiali szkołę i uczyli ich wszelkiego dobrego gazdowania. Ale był taki komisar

jeden, co nakazał z powiatu, że trzeba było starowiny dobić! Komisarskie pachołki chodzili po siołach i szukali starców - nieboząt. Tak ci znalazł się jeden gazda stuletni przeszło i jął się prosić syneczka swego, aby go nie wydał w ręce siepaków. Jura schował ojca w piwnicy, ktoś jednak powiedział panu komisarzowi, że ukrył batka pod ziemią. Komisar przysłał tedy do Jury pisanie, żeby się stawił przed jego oblicze. Win [1]) poszedł i słuchał.

— Gdzie batko jest? -- krzyknął komisar.

Jura na to powiada:

— Pomknął w świat z wiatrami i nie wiem, gdzie się tuła.

— Bywaj mi, bywaj! huknął srogi pan, kazał mu iść do domu i wrócić tak, aby mi nie szedł, ani nie jechał.

Win pośpieszył do chaty, a batko zaraz:

— Co tam stało się?

Jura wzdychał, kręcił się, włosy skrobał, ale pary z ust nie puszczał.

— *Szo tam jest?* — nalegał stary.

— Oj, bieda, bieda, batko Jakemie!...

— Co za bieda?

Syn zmartwiony powiada:

— Kazał mi pan komisar wrócić tak, abym ani szedł, ani nie jechał.

Tedy batko:

— Co tchu przyprowadź barana!

A gdy Jura przyprowadził barana, wsadził go na niego i ręce zatarł z radości.

— Teper pomknij, syneczku, do komisara.

Win pomknął, a tak, że mu się nogi po drodze włóczyły i bose zbierały wszystek kurz szary. Komisar zoczył go z okna i kiwnął głową:

— Prawda, tak jest, ani nie szedł, ani nie jechał!

Win pośpieszył do chaty, a batko zaraz:

— Co tam stało się?

Jura sapał, trząsł się, łzy mu w oczy się cisnęły, ale pary z ust nie puszczał.

— *Szo tam jest?* — błagał stary.

— Oj, bieda, bieda, batko Jakemie!...

— Co bieda?

Syn, szlochając, wyjąkał:

[1]) Win=on.

— Kazał mi pan komisar, abym przyszedł ni goły, ni odziany.

Batko przyniósł co prędzej sak na ryby, rozciął go, uszył koszulinę-soroczkę i szarawary, a gdy skończył robotę, ubrał w nową odzież Jurę.

— Teper pomknij, syneczku, do komisara.

Win pomknął, a chłód gasnącego lata zwiewał go po ciele, nakrytem oczami więcierza. Muskały go zalotnie nieżżęte jeszcze żyta i muskało słońce od głowy do stóp. On się w niem kąpał, jak w prucianej wodzie, aż wesele zalało mu źrenice. Ale im bardziej do miasta się zbliżał, tem większe czuł lęki i bojaźnie.

Komisar dziwił się i kiwał głową.

— Prawda jest, stawiłeś się ni goły, ni odziany!

I chciał się dowiedzieć, kto mu tak dobrze poradził. Jura odparł, że pytał własnego rozumu.

Pan komisar nie wierzył i odprawił go do domu.

Win pośpieszył do chaty, a batko zaraz:

— Co tam stało się?

Jura wrzasnął, aż mu siniec zbiegł na twarz, ale pary z ust nie puszczał.

— *Szo tam jest?* — zaklinał stary.

— Oj, bieda, bieda, batko Jakemie!

— Co za bieda?...

Syn zrozpaczony, wyszeptał:

— Kazał mi pan komisar stawić się jutro z przyjacielem i nieprzyjacielem.

Tedy batko:

— Jutro na świtaniu zabierzesz z sobą psa i żonkę.

Pomknął Jura i nie cniło mu się po drodze, bo miał z sobą swoją Warwarę i swego Bilkina. Mruczały sosny, mruczały rzeki, Pan Jezus patrzał z krzyża, a on nic. Zgarnął tylko kresanie w garść i rzekł:

— Panie Jezusie słodziutki, pomiłuj mnie i batka!... A batko dumał w domu, smucił się i sam gwarzył:

— Ja teper ubity!

A tymczasem pan komisar kazał Jurze bić Bilkina. Win wziął palicę i uderzył psa. Zwierzę zaskomlało, buchnęła z niego posoka i, włócząc krew po ziemi, uciekł od Jury precz. Na to pan komisar do chłopa:

— Wołaj teper psa!

Chłop gwizdnął raz, drugi, krzyknął: „hiśta, Bilkin, hiśta!"

i psisko przyczołgało się do nóg Jury, zaczęło się łasić, skomleć i lizać ręce jego. Komisar na to:

— Oto twój przyjaciel! Zbij teraz żonę swoją!...

Win wziął palicę i uderzył żonę. Warwara się spłakała i wsiadła ze złości na Jurę:

— Bodajby sczezł stary Jakem! Trzymasz go w piwnicy, — on ci to wszystko radzi...

Komisarz z politowaniem powiedział:

— Jest twój batko! Pies milczał i tarzał się u nóg twych, a człowiek, własna żona, wymówiła.

Win pośpieszył do chaty, a za nim pobiegli trop w trop komisarskie parobki. I wyciągnęli batkę z piwnicy i ubili go pałkami. Ale jak ubili Jakena, tak już nie mordowali starych ludzi, tylko każdy swobodnie żył, dopóki nie pomarł. Bo oni byli rozumni, aż hej, a młodzi musieli iść do nich po mądrość....

Dmytro Petraszczuk spojrzał rzewnie przed siebie i zamilkł.

* * *

Gdzie spojrzeć naokół, majestat piękna! *Wo mann's packt, — ist interessant*, jak powiedział Goethe. Połoniny na Jaworniku, Syneczce, śliczne, napełnione huculską atmosferą Pokucia i huculską przyrodą, olbrzymio malowniczą, dziką, ale dzikością, która nie straszy, lecz upaja. Góra piętrzy się na górze, las na lesie, a wszystko owinięte chmurą. Dziwne to bory! Szumią w nich sosny, świerki, buki, szumią sobie bez końca, a Prut hałaśliwy, rozpieniony na głazach, zabiera im głos i topi w sobie. To też wśród nocnej ciszy wydobywają się z jego fal jęki lasów huculskich, jak zaklęte w korycie rzecznem topielice, idą po powietrzu i łączą się w chór z nowymi płaczami smereków. Niema kresu ta muzyka, odzywająca się czasem szalonem łkaniem, czasem wyciem brutalnem. Koło Gorganów jest trochę limby... Widziałem na dolinie kilka tych drzew samotnych, bardzo poważnych i rzewnych, jak wiecznie rozłzawiona mityczna Niobe... Gazdy ją lubią i nazywają kedrą. Czy nie przypomina się cedrowa harfa Wenedy? Na niej grała dusza Lilli męczeńskie rozpacze, na limbie wygrywa wiatr dolę huculskiego ludu. Strząsa potem limba swe puszyste kiście, strząsa tak, jakby kazała się kajać i wołać za psalmistą: *audivi, domine, et clamavi*.... Nad pooranemi przez wodę szkarpami Bachrowca i Żonki, dwu drobnych dopływów Prutu, ciągnie się krajobraz dziewiczy, zupełnie pierwotny. Na grubej, symetrycznie ułożonej warstwie łupku, tworzącej

pionową ścianę Bachrowca, spoczywa piaskowiec sczerniały, pokryty porostami i rudymi mchami. Po nich zwieszają się liany, pnąc się ku górze, do sosen. Tu i owdzie stoi olcha w towarzystwie rzadkich krzewów orzechów laskowych. Zatrzepoce się coś, załomoce na gałęzi, zasyczy... Stary głuszec lub dzika kura zabłądziły przypadkiem z wyższych regionów, z wierzchów na dół i pragną wydobyć się z matni. Nad wąziutką kotlinką Bachrowca i Żonki wznosi się duży szczyt Poharcie, zdala ciemno-granatowy. Wygląda, jak Dowboszowy zbójnik - pasterz, poganiający srebrno-białe dopływy prutowe, podobne do owieczek w prędkim locie. Zdala wśród szelestu liści niesie wiatr melodyę monotonną, melodyę żałobników. To pewnie malutki Iwan Niemczuk dmie w fujarę pieśń o kozaku na wronym koniu. Fujara ukochana huculska „frała", i on—to jedna zaklęta w tych górach dusza.

Jest jeszcze jeden widok, którego zapomnieć nie można: widok słynnego mostu nad Prutem w nocy. Podobno to jeden jedyny w Europie tak zbudowany, arcydzieło sztuki inżynierskiej, godny pomnik tej naszej.... Szwajcaryi. Rozpięcie łukowe nad wodą olbrzymio wielkie i wysokie, na niem pozioma trasa kolejowa, za niem podpierające kończyny mostu, szeroko sklepione arkady w formie ogromnych bram. Gdy go księżycowe obleje światło, wywabiając srebrzyste odbicie z Prutu, kąpie się cały w aureoli blasków, a fala mu zawodzi. Inaczej pod ciemnem, zasępionem niebem! Wygląda wtenczas, jak tajemnicza ruina zameczyska, podmyta rzeką, lub gorzej jeszcze, jak wstęp do mistycznych podziemi, dających nieśmiertelność piekła... Poharcie na najbliższem tle mostu, straszna, czarna plama—to miejsce tortur Ugolina, Prut wieczystym Styksem... Można się przeżegnać i powiedzieć za Dantem: *lasciate ogni speranza!...*

* *
*

Zbliżam się na szczyt Poharcia... Zdala już widzę sterczące pionowo słupy budującej się gloryety. Huculi przerzynają belki, prostują gwoździe.

— *Pomahaj, Boże!*

Na rozrzuconych w nieładzie tarcicach siedzi siwy mężczyzna w butach, w filcowej czapce z nasuniętym na czoło daszkiem i wydaje rozkazy.

— Pewnie majster ciesielski, pomyślałem. Gloryeta już na ukończeniu? — zagadnąłem, aby przecież coś powiedzieć.

— A już, odparł.

— Nie nuży pana chodzenie pod górę tysiąc trzysta metrów?..

— Wchodzę i schodzę dwa razy dziennie mimo osiemdziesięciu pięciu lat!

Osłupiałem i wzruszyłem ramionami: to chyba bajki! Przedstawiłem się.

— Jestem Karol Obst, pensyonowany zarządca lasów cesarskich, brzmiała odpowiedź.

Więc to ten! Wiedziałem, że on pierwszy właściwie zajął się podniesieniem i ucywilizowaniem tych stron huculskich, że dzięki niemu przeprowadzono drogę w serpentynach na Poharcie i drugą, wygodniejszą, wiodącą przez wspaniały rozdół wokół skrzyżowania się Bachrowca z Żonką. On też uprzystępnił groty czyli tunele naturalne, był duszą inicyatywy, był często wszystkiem. Dawniej przebył wszerz i wzdłuż Karpaty, znał każde uroczysko, każdy prawie kącik, był świadkiem ostatnich egzekucyi zbójników beskidowych, a teraz jest może gasnącą już, bodaj czy nie jedyną żywą tradycyą Pokucia.

— Osiemdziesiąt pięć lat i taki chód, taka krzepkość!

* *
*

Od dwu tygodni bawił Semen Bujczuk w Jaremczu, nad brzegiem szafirowego Prutu. Jeść trzeba było, więc Semen zabierał bydło Hucułom i gnał je na nocną paszę. Wzamian za to dostawał kuleszę, ziemniaki i razowiec. Na świtaniu schodził do Bachrowca, kąpał głowę w zimnym nurcie, suszył ją na wstającem słońcu, poczem klękał w szkarpy potoku, by zmówić pacierz. Szeptały z nim hymn poranny nadbrzeżne wikliny i sosny, i szeptało ptactwo wszystko. Semen zresztą nie robił nic: chodził wśród zagonów pszenicznych i patrzał, jak się na nich wiatr kładzie lub przepada na skrajach lasów. Wypływały wtenczas z poza smereków i buków żal, melancholia, wyciągnięte z blaszanej huculskiej „truby”. Drzewa pławiły się całe w muzyce smutku, aż żywiczne puszczały soki, jakby łzy goryczy. Czego grał Semen tak strasznie? Przecież i ból za silny nie jęczy, bo kamienieje. Ot Semen lubił takie pieśni i takie nuty—i nic więcej. A gdy mu grania na „trubie” dosyć było, miał inne w sercu i piersi, od którego źrenice aż jasnością zachodziły. Zresztą nie mogło być inaczej. Urodził się w Bortnikach koło Tłómacza. Chodził sobie cały dzionek Boży i tarzał się w kurzu w koszulinie tak, że mu słonko ciało zwędziło. Śmiał

się do sianokosu, śmiał się do jarzębin i różowiejących na drzewie jabłek — papieżnic i poczciwych Rusnaków. Tak jakoś czas zbiegł, jak sen, jak pieśń w cerkiewce. Dziewięcioletniego Semena osierociła matuś, zdając go na opiekę stryja Łukiena Szczuraka i stryjenki Łukienowej. Stara Bujczukowa pamiętała patryarchalnie o parobku Wasylu i dziewce Ołenie, zostawiając im spory kawał pola. Na trzynasto-morgowej spuściźnie Semena rozsiadła się, jak na swojej chudobie, Szczurakowa—ot, macosza karmicielka... Semen — ptaszę miał skrzydła podcięte. Na domiar złego Łukienowa chwyciła się... czarów. Raz rankiem na śniadanie dosypała dziecku do mleka zielska czartowskiego, i było po wszystkiem!... Semenek uczuł duszność i pragnienie ucieczki za rzeki, za góry. Zbrzydły mu naraz botnickie jabłka - papieżnice, zbrzydły koralowe jarzębiny, i zbrzydli poczciwi Rusnacy. A Pan Jezus wabił go na drogę białą szatą i przyrzekł iść przed nim. Uciekł też Semen od Łukienowej, gdy się słonko przez zróżowione mroki przekradało. Pan Jezusik wskazywał mu ścieżyny, tak, że nigdzie nie zbłądził, a doznawał w wędrówce dużego honoru, bo żyta, kłaniając się Panu Bogu, i jemu się kłaniały. A gdy Semen był głodny, kołatał Pan Jezusik do obejścia Rusnaków i mówił: „nakarmcie Semena sierotę"; a gdy Semen był spragniony, stawał Pan Jezusik nad strumieniem i mówił: „napój Semena sierotę". Tak Bujczuk nie miał biedy, choć go stryjenka czartowskiem zielem z domu wypędziła, by zgarnąć chudobę chłopięcia. Ach! to zielsko! Miało ono taką właściwość, że Semenek nigdzie nie mógł miejsca zagrzać, musiał się tułać od sioła do sioła, a wszędzie niedobrze mu było. I widział dzieci, hołubione przez matki, braci, otaczanych miłością sióstr, bydlęta w swoich oborach, a jego licho pędziło z kąta w kąt. Ach! to zielsko! W ten sposób przeszedł wszerz i wzdłuż całe Pokucie, od Czeremosza do Prutu i Dniestru, przeszedł raz, drugi, trzeci, tak, że go znał każdy Hucuł, każdy smerek i każdy potok górski. Pan Jezusik słodziutki wynagrodził mu krzywdę, wyrządzoną przez Łukienową. Oto nauczył go piosnek rusnackich bez liku i pozwolił mu piosnki tworzyć. Siadał Semen na pniu drzewa w lesie, a szmer sosen niósł obrazy, niósł słowa. Chłopię szeptało zawzięcie wargami, szeptało sobie tak, że trawom nawet nie przeszkadzało. Nagle zabiegały mu oczy od radości, wstawał szybko i już głośno nabożnie wymawiał: „*sława Isusu Christusu!*" Z nową piosnką na ustach podążał Semen do sioła i śpiewał Rusnakom pieśni, a oni go zwali Semenem-śpiewakiem. I wszystkoby już dobrze było, gdyby go nie zarzekła czarodziejskiem zielem Łukienowa, gdyby go nie pędziło z miejsca na

miejsce — jak przydrożny proch. Do Bortnik wracał jednakże Semen, wracał co roku, na dzień, dwa. Zamawiał wówczas mszę za duszę mateńki w cerkwi i osobną służbę Bożą na cmentarzu. Po służbie i mszy wypleniał Semen fioletowe bodyaki z mogiły i szedł znowu na włóczęgę, a Łukienowa na chudobie rządziła. I dlatego muzyka Semena na „trubie" smutna była, bo jakże mógł być wesołym taki biedak? Dla wygnańca jest jedyna dola: łza, bo uśmiech w domu zagrzebał.

Przyszedł do mnie Semen - śpiewak i na życzliwe naleganie los swój i przeszłość opowiedział. Słuchałem uważnie i patrzałem na chłopca. Miał głowę bardzo brzydką, nieregularną, otoczoną gęstym pękiem hebanowych, poetycznie na ramiona spadających włosów. Na oliwkowej, silnie śniadej twarzy odstawały po murzyńsku ułożone usta i w górę wysadzony nos; para ślicznych piwnych oczu płakała rzewnością i melancholią. Bujczuk nosił zgrzebną koszulę, odsłaniającą na piersiach amulet, przepasaną cienkim rzemieniem, zgrzebne szarawary, nogi nieobute. Rondo jego słomianego, połamanego w fantastyczne formy kapelusza otaczała korona pręcików mlecza, artystycznie powiązanych. Skończył swoje dzieje i westchnął:

— *Ja nigdy ne może buti na miejscu, tylko między ludem muszu, bo mnie zaleła takem mołokom strejna...*

Prosiłem, aby coś z swoich piosnek przepowiedział. Zamyślił się chwilę i rzekł:

— *Ja wam zaraz prowedu.*

1. „Pochylił się dub do duba, Jawir zieleneńki, Oj, tam leżet, pochlebaje, Żołnier mołodeńki".	1. „Przechylił się dąb do dęba, Jawor zieleniutki, Przy nich leży bez tchu, życia Wojownik młodziutki".
2. „Jak on leżeł, pochlebaje, Keżenka zdechaje, Win to sobie u Pan Boha Ratunku żedaje".	2. „Chociaż leży bez tchu, życia, Ciężko jeszcze wzdycha, Pana Boga o zbawienie Biedaczysko prosi."
3. „I nadeszli wiłcziriki Z biłymi wiłciami, Zapłakali nad żełnierem, Drobnimi śliwciami".	3. „Ha! nadeszli wtem pasterze Z śnieżnemi owcami, Zapłakali nad wojakiem Drobnemi łezkami."
4. „Oj ne płaczte, wiłcziriki, Dajte misto znate, Naj prijede pan kapitan, Mene pochowate".	4. „E, nie płaczcie, pastuszkowie, Dajcie znać do miasta, Niech przyjedzie pan kapitan, Aby mnie pogrzebać."

5. „No, prijechał pan kapitan
Z hołoju szabloju
Taj zapłakał nad żołnierzem,
Taj nad hołowoju“.

6. „Oj, nie płaczcie, pan kapitan,
Wipalit mohiłu,
Dajte memu rodu znate,
Szo ja wojsku henu“.

7. „Teper prisioł jeho rodak,
Najstarsza sestryczka,
Obertaje jeho leczko,
Na prokit słoneczka“.

8. „Oj, tut leży, oj, tut propadł,
Lube detia moje,
Ne usłuchał otca, matke,
Poszło życie twoje.“

9. „Oj, umarł żołnier, umarł żołnier,
Taj mu zadzwonili,
Presłał cisar dwa żołniry,
Taj mu wystrelili“.

5. No, przyjechał pan kapitan
Z obnażoną szablą,
Taj łzy ronił nad wojakiem
Taj nad jego głową“.

6. „Oj, nie płaczcie, kapitanie,
Rozkopcie mogiłę,
A rodzinie szlijcie wieści,
Że w wojsku zginąłem“.

7. „Teraz przyszła z gniazda jego
Najstarsza siostrzyca,
Obróciła liczko brata
W złote słońca blaski.“

8. „Oj, tu leży, oj, tu zmarniał,
Lube dziecię moje,
Nie słuchałeś ojca, matki,
Zgasło życie twoje.“

9. „Umarł żołnierz, umarł żołnierz,
Taj mu zadzwonili,
Przysłał cesarz dwu kamratów,
Taj mu wystrzelili“.

Po piosnce o wojaku nastąpiły inne rzewniejsze; pieśniarz ich ułożył dużo, dużo...

Skończył powstał i szepnął:

— Bądźcie zdrowi!

Poszedł, a za nim powlókł się smutek.

* * *

Co chwila musiał Dmytro Petraszczuk otwierać „worota”, długie, cienkie belki, wsunięte w żywopłot, ogradzający gospodarstwa. Rudo-żółty koń Iwana Fryniuka z Dony, Leśka, stąpał powoli, ale równomiernie. Przed nami leżały smutne huculskie szczyty: Bercza, Posicz, Jabłonka, całe owinięte w chmurę. Za Bachrowcem skradał się ku lasom przysiołek Elem, samotny, senny, przepełniony pastwiskami. Na polach leżało blade słońce i przelewało promienie po obfitej rosie. Rozwłóczony naokół sianokos przepajał powietrze ziołową, odświeżającą wonią. Trawy wstawały do rannego światła, otrząsały się z wilgoci i kładły na jasności ogromnej przestrzeni. Otwarł się bezbrzeżnie wielki bór buków, połamany, rozrzucony, kopiec na kopcu. Cisza w nim była i zamyślenie biednej, w cierpieniach tonącej melancholii. Na szkarpach stoków

rozpościerały się zgniłe trupy buków i sośnin, powalonych wiatrem na gliniasty tok. U krańców lasów paliły się stosy drzew dla odpędzenia dzików od ornych zagonów. Leśka postępowała po najwęższych, oślizgłych ścieżynach i przykrych wykrotach z mistrzowską wprawą. Wdarliśmy się nareszcie na połoniny Gorganów. Góra ginęła w chmurach i oparach, kłębiących się z czubów smereczanych. Szklaną pustkę ożywiały przeciągłe owcze beki, ryk przesyconej plenną paszą krowy. Połonina falowała chimerycznie, jak pruciane nurty. Widok urozmaicały dwie drewniane kletki, niziutko ponad ziemią wzniesione, niedaleko siebie. To huculskie koleby, schronisko na noc i przed deszczem. Ich dach, z mizernych spojony tarcic, spadał na murawę; zamiast ścian narzucone były na siebie niesfornie sosnowe kory, przepuszczające wiatr i żar słoneczny. Całe wnętrze opaliło się od czadu polan na heban. Marne te łupiny bez drzwi podtrzymywały u wierzchu skrzyżowane z różnych stron słupy, brodzące u podstaw w brzydkich łopuchach. W kolebie stał zgięty w połowę pasterz Wasyl Lesiuk, właściciel siedmiu owiec i jednej krowy. Gotował właśnie kuleszę [1]) w garnku blaszanym, zwieszonym nad ogniem, na krótkim kijku „kiloku". Chłop liczył lat 34, nosił zwykłą huculską odziewę, bardzo na słońcu spaloną i deszczach zsiekaną. Twarz miał apatyczną, bladą, silnie ocienioną szerokim ryżym wąsem. Fetor szedł od niego, bo zgrzebną koszulę nasmarował owczem masłem, aby się go robactwo nie czepiało. Od trzynastu przeszło lat wyganiał z brzaskami wiosennymi bydło huculskie na połoninę. Maj szedł na góry i po drodze wabił trawę z ziemi, a zieleń z drzew, i Wasyl szedł na nie, pędząc przed sobą gęste stadka. W chacie zostawiał ojca starucha i siwą macochę, z sobą zabierał żonę Annę i braci Jurka i Hrycia. Na połoninie siaduje do późnej jesieni, aż żółcizna spadnie na bożą roślinność, naniesiona od Czarnohory. Najświętsza Panienka Różańcowa gna mu stadka z powrotem na dolinę i opłata czarną wełnę owieczek srebrnemi nitkami babiego lata, że wyglądają, jak żałobnice. Chłop chwalił Boga Ojca i wszystkich świętych, bo nigdy zmartwienia nie miał. Urodził się w Jamnie, na jamniańskich graniach wyrósł, na huculskim chlebie odżywił się, a zresztą go nic nie obchodziło. Raz tylko zmącili mu spokój wezwaniem do rezerwy zapasowej. „Abrychtowali" go i puścili,—Bóg przeznaczył Rusnaka do wolności. A potem poszedł Wasyl w ożenek, bo Hucuł powi-

[1]) Odwar kukurydzy.

nien mieć babę, jak Beskid ma Jawornik, a Prut swoją Żonkę. Wasyla trapiła jedna tylko zmora, jeden tuman siadał mu na duszy. A nuż która z powierzonych Wasylowi owiec, zachowaj słodziutki Jezusie, na marne przepadnie.... To też złożył w cerkiewce uroczysty ślub, że w poniedziałki sam suchy razowiec jeść będzie i popijać wodą, aby złe jakie nie opadło bydlątek poczciwych. A kiedy Pan Jezus zeszle już dopust i bydlątko zdechnie, ściąga z niego skórę i grzebie ciało na połoninie. Zbiegają się na pogrzeb owieczki, obwąchują mogiłę i płaczą bolesnem: mee — meee... Wasyl ma pod swoją komendą 200 owiec, należących do 28 gospodarzy. On z niemi żyje, śpi, on je czyści, on chroni od nieprzyjaciół. Trzy razy dziennie, na świtaniu, w południe i przed wieczorem, naganiają Hryć i Jurko bydlątka do doju. Wówczas Wasyl siada z połowicą swoją Lesiuczką pod niziutkim, spartym na czterech drążkach daszkiem, a skopce przytrzymują kolanami. Stadko czeka tuż obok w karnych czwórkach. Para wlatuje pod daszek, Lesiukowie chwytają za dojki i scedzają bieluśkie mleko. Czasem przeleci pod daszkiem „pusta", bo owca przed porodem nie daje mleka. Dój skończony, cała gromada ustawia się w szeregi pod bacznem spojrzeniem Hrycia i Jurka. Hiśta! hiśta! owce!—rozlegają się głosy; pstra, przeważnie czarna masa porusza się na paszę, na plenną trawę. Wasyl dźwiga dwa skopce na dwanaście litrów do koleby, filtruje mleko przez kawał zblichowanej guni do cebrzyka, dosypuje do płynu kawałek „glegu", serka z jagnięcego lub cielęcego żołądka. Pod wpływem przymieszki ciecz krzepnie prędko, przybiera barwę sino-marmurową, podobną do gaszonego wapna. Od każdej owcy musi dać Wasyl właścicielowi po powrocie z połoniny dwanaście litrów mleka lub odpowiednią ilość sera (bunzu). Co ponadto, to jego i dwadzieścia centów za trudy od sztuki. Czterdzieści papierków gotowizny ma Wasyl na jesień, to nie żarty!... Zresztą nic go na świecie nie obchodzi! Przyjdzie mroka na Gorgany i wiatr wyje przez szczeliny, nazbiera sobie gałęzi, grzeje się z Hryćkiem, Jurkiem i Anną nad ogniskiem i patrzy, jak owce ryją się w ziemię, żeby ich deszczysko nie zasiekło. Co mu po ludziach, co mu po świecie! Wróci z połoniny, to Prut tak samo mruczy, jak mruczał, w cerkwi tak samo śpiewają, jak śpiewali. Na ziemi nic się nie zmienia: Prut jest wieczny, i bieda ludzka jest wieczna. Co zresztą Wasyla obchodzi! Natura dała mu szczęście — bo nieświadomość i obojętność. Zagrał na fujarce, Jurko zabrał się do plecenia z kory sośniny kosza na grzyby, Hryć legł na toku, Wasyl stał przy bydlątkach. Błogosławieni wszyscy!...

* * *

Dowboszczyzna, ojczyzna słynnych zbójników!... Gdzież jej ślady? Ostatnich bandytów tępił nielitościwie cesarski mandataryusz, Herdliczka. Miał on siedzibę w Uścierykach, miejscowości, położonej na rozkrzyżowaniu się białego z czarnym Czeremoszem. Słynne były jego „zimne katusze”. Gazdów wrzucano na noc do lochów, lodem obłożonych, poczem skostniałych, głodnych, z zamierającym w piersiach tchem, prowadzono nad ranem do śledztwa. Na Herdliczkę polowali ustawicznie zbójniki. Los rzucił im w ramiona kata. Herdliczka wyprzedzał raz swój oddział i w gęstym lesie nad Prutem napotkał Hucułów - zbójników. Otoczono go, i przygotowania czyniono do egzekucyi. Cesarski mandataryusz prosił o chwilę na modlitwę, a potem o drugą dla zdjęcia odzieży. Zgodzono się, a tymczasem nadjechali strzelcy rządowi i w pień wycięli opryszków. Jednym z ostatnich przywódców był Sztoła. Schwytano go i powieszono w 1830 r. Bandy rekrutowały się przeważnie z dezerterów przed dwudziestoletnią, naówczas, służbą wojskową. Tradycya ludowa, z czasów Dowboszczyzny pochodząca, otaczała zbójników czcią wielkich rycerzy. Cała Jamna była zbójeckiem gniazdem — dzisiejsi Huculi gniazda tego potomkami. Zbójnik łupił na drogach, zabierał towary i pieniądze, rozdzielał je między gazdów, prawie nigdy nie zabijał. Huculszczyzna uważała go za swego dobrodzieja i karzące ramię sprawiedliwości. Gorąca krew dawnych beskidowych Janosików jeszcze się niekiedy dziś odezwie i szuka ujścia w krwawych czynach. Dla przykładu charakterystyczna historya Stefana Kapitańczuka.

* * *

W Jamnie — wsi, sąsiadującej z Jaremczem, wielki popłoch... ktoś puścił wieść, że Stefan Kapitańczuk wróci niebawem do swojego sioła. Wieść poszła z góry na górę, z jaru do jaru, z chaty huculskiej do chaty.

— *Stefan prijde teper!*

Gdym odbywał gościńcem jamniańskim konną wycieczkę na Chomiak, wysuwali się nieśmiało z szynków i przydrożnych gostyń Żydzi nastraszeni. Z ich źrenic wyglądało przygnębienie, trwoga jutra, oczekiwanie czegoś, co się ma zwalić na nich smagającym huraganem.

— Przepraszam pana... Czy to prawda, że Kapitańczuk *frei?*... Tak mówią wszędzie, tak nawet powiadał pan wachmistrz od żandarmów...

— Bądźcie spokojni, to bajki!...

— Nu, i my tak myślimy...

Rozpogadzało się czoło interlokutora, uśmiech zadowolenia skradał mu się w kąty ust, błogie uczucie ulgi zginało ciało do bardzo usłużnego pokłonu. A tymczasem szły za mną głosy Huculszczyzny, gawędzącej i rano, i wieczór o przybyciu Stefana. Na Jamnie, na Bachrowcu, na przysiołku Elem i tam na Dorze powtarzał się sakramentalny wyraz:

Kapitańczuk, Kapitańczuk!...

— Cała Dowboszczyzna poruszyła się, rozwichrzyła, jakby wionął na nią buntowniczy duch „wielkiego rycerza" Ołeksy, jakby stanął na sino-szarych piaskowcowych skałach nadprucjańskich i z dużej smukłej truby zawołał do zbójnickiego.

Popielatym wygodnym traktem rządowym zdążałem ku Mikuliczynowi. Fala prucjańska, rozpieniona w głazy, tłukła się dzikim tonem w powietrzu. Hen! za Kollerowskim krzyżem na „kamieniu Dobosza", za Kratterowskim pomnikiem, wznosi się biały, nizki domek, kryty gontem, o dwu przysadkowatych okienkach i szerokiej furcie wjazdowej... Przy niej na tablicy napis: „Wyszynk propinacyi Rubina i Gryffla"... Wszędzie ci królowie propinacyjni Rubin i Gryffel!... W pierwszej izbie lada sklepowa zakratowana białemi łatami aż do pułapu. Wygląda to, jak więzienie lub kurnik dla seciny drobiu. Na boku duża ława koło sosnowego stołu i pieca, obłożonego wbrew huculskim zwyczajom porządną blachą. Tuż schludny pokoik, rodzaj alkierzyka, a za nim obszerna, niebieskim farbikiem zaciągnięta izba. Okienko, zwrócone ku trasie kolejowej, zdobią doniczki, przeważnie fuksya. Na szafie szabasowe mosiężne lichtarze, na łóżkach zielone kapy, na stole różowy obrus. Siedzi przy nim Dawid Spiegiel, dzierżawca propinacyi z „twilemem", założonym na czoło, z paskami, siedem razy okręconymi na dłoni, i kiwa się:

— Adonai eloichajni!...

Krząkam... odwraca się...

Ma może lat pięćdziesiąt. Biedna, choć czysta, bekiesza zwiesza się z jego chudych, kościstych, mizerackich ramion i piersi. Głowa wyschła, śpiczasta, ustrojona jarmułką, z pod której para rozwiewa się pejsów. Żółcizna i zmarszczki zorały jego nad wyraz smutną, wynędzniałą twarz, otoczoną rozczochraną, nieporządnie utrzymaną, szpakowatą bródką. Oczy jego biegają niespokojnie — jakby ciągle widział przed sobą nie tak dawno rozegraną tragedyę lub się bał czegoś nieokreślonego, wiszącego w powietrzu.

— Dzień dobry! to pan Dawid Spiegiel?

— Ja, nu, czem mogę służyć?...

— Niczem, tak sobie wpadłem, napić się piwa.

— Proszę siadać!... Ruchel, a Flasche Bier! Zjawia się Ruchel i stawia flaszkę.

— Przepraszam pana, czy to prawda, że Kapitańczuk wróci?

— Ależ do czego! bajki wierutne! Pójdzie do Kulparkowa [1]). Tak lekarze orzekli.

— *Geloibcy Gott!* Chwała Bogu! — rozlega się głębokie westchnienie. I jakby z wdzięczności ściąga jarmułkę, nachyla głowę i pokazuje mi coś palcem. Pośród rzadkich, zlepionych włosów widzę dół czy dziurę na kilka dobrych centymetrów. To zagojony ślad po uderzeniu Kapitańczuka.

— Ot, do tego tu okna zapukał (pokazał na okienko, skierowane ku kolei) ciemną nocą i rzekł:

— „*Pane propinator, otworit meni, ja choczu wam oddaty dłuh*"... Nu i otworzyłem mu. To on mi rozłupał czaszkę, ja padłem i zalałem się krwią, a on tymczasem zamordował moją żonę Chaję i jeszcze dwu Żydków tu obok w izbie ciężko ranił... Nu, oniby go puścili za to frei?!...

Rzucił przed siebie długie, bardzo żałosne i naprawdę cierpiące spojrzenie:

— Panie, ja od tego czasu ciągle choruję na głowę i tak mnie piecze....

— A mieliście z sobą jakie rachunki?

— Był mi winien 92 reńskich za pobrane trunki i jadło. Z tego zaledwie pięć pożyczyłem mu gotówką. Czy on tylko nie wróci?...

— Chory jest, pójdzie do Kulparkowa...

— Jaki un chory! — żachnął się — kiedy uciekł, gdy już pomordował, jak ja się podźwignął ze ziemi... Myślał, że to kto inny, boby mię ubił. Myszygene nie ucieka.

Nie złorzeczył, nie wymyślał, tylko z pokorą poprawił tałes, nachylił się nad modlitewnikiem i zamierzał szeptać pacierze.

— A co za jedna ta kobieta?

— Ruchel? to moja druga żona.

Nie tracił czasu! Powiódł drugą w związki małżeńskie, bo dobry Żyd nie powinien być bez połowicy. Tak mu zakon, tak interes każe.

---

[1]) Zakład dla umysłowo chorych pod Lwowem.

Naprzeciw karczmy, na sporem w formie wału wzniesieniu, ogrodzonem żywopłotem, rozciąga się nierówno falujący pod górę zagon. Z dołu go prawie nie widać. Po przedarciu się przez płot roztacza się może dwu-, może trzymorgowe pole, opadające w wypukłych, chimerycznych załomach ku rządowemu traktowi. Rosną na niem różne warzywa, trochę zboża — a reszta pastwisko. Zupełnie na uboczu sterczy malutka chatka, a obok niej druga obszerna, bardzo porządnie budowana z pewnym huculskim zbytkiem i komfortem. Wokół niej mały, w słońcu ogrzewany sad i kilkanaście ulów, sterczących samotnie, sennie, jak miniatura chińskich pagód.

To właściwe ognisko Huculszczyzny w tych stronach. Siedzą tu od wieków rozmnożone niesłychanie Niemczuki, Ostasiuki, Petraszczuki, Iwasiuki, spokrewnieni z sobą na wszystkie strony, niby stara zaściankowa szlachta litewska, i gospodarują, jak ich ojcowie.

— Pomahaj, Boże!

Sierpy, kłonice i grabie zawisły na chwilę w powietrzu. Sielankowy obraz *à la Vatteau* roztaczał się z całą przepiękną cyzelaturą przyrody i czarem naturalności. Zapach sianokosu znarkotyzował spiekłą, spodziewającą się burzy atmosferę; zdala i zblizka zalatywały chrzęsty sierpów i smereczane wonie.

Przedemną stała matka Stefana Kapitańczuka, Marusia, i zbierała pośpiesznie z powodu chmur, idących od Czarnohory, rozwleczone siano na kopę pod oborę (rodzaj stodoły otwartej); pomagały jej dwie córki: Ołena i Anna, śliczne, rosłe, zdrowe, jak jaremczańskie sosny, dziewczyny. Obok Ołeny grabił jej narzeczony Wasyl Niemczuk, nalany, tłusty młodzieniec o dość bezmyślnym wyrazie źrenic. Najstarsza Jewdocha, wydana za brata Wasyla, Iwana, odpoczywała pod chatą, zmęczona spowiedzią w cerkwi jamniańskiej. W szalenowej czerwonej chuście, kokieteryjnie na plecy spadającej, z płowo-białem naczesaniem na czole, z łagodnym wyrazem ust i oczu i słodyczą, rozlaną na twarzy, wyglądała, jak model swojskiej, rozmarzonej i tonącej w bólu Madonny. Najbardziej jednak w tym doborze zajmująca matka, 52-letnia kobieta, ze zmiętoszoną już twarzą, ale z nadzwyczaj energicznymi, urywanymi i ostrymi ruchami. I matka i córki, chociaż przy robocie, ubrane odświętnie w czerwone zapaski od przodu i tyłu i w czyściutkie zgrzebne soroczki. Niebo sypało żar — czerwieniło się, pokrywało zdradliwym rudo-fioletowym obłokiem. Grzmot pomrukiwał w oddali i zbliżał się, niby po prutowej fali. Kobietom paliła się w rękach robota, więc usiadłem na boku i uprzytomniłem sobie w tych ra-

mach i otoczeniu, co o Kapitańczuku jednozgodnie od najbliższych jego sąsiadów i krewniaków słyszałem.

Stefan był junak nad junaki, lubił wypitkę i wybitkę. Nosił się z huculska, ale po pańsku. Miał koszule delikatne i buty z cholewami aż hej! i ładną dziobańkę u boku. Palił, bo palił tylko „taliańskie", i pił wino od Szmila Blocha z Jamny, a nigdy horyłkę lub piwo. A że mu na pieniądzach nie zbywało, więc z fantazyą maszerował do pańskiej restauracyi Skrzyńskiego w Jaremczu i dopiero pokazywał na umór! Lubiono go na wsi, bo z nim pili wszyscy. Jak on tylko wszedł czy do Spiegla czy do Blocha, roiło się zaraz, jak na sejmiku, Huculszczyzna jamniańska używała, wódka, niby woda, lała się korytem. Czasem odszpuntowano 15 beczek piwa na dobę, a całe sioło poiło, rzuciwszy zajęcie koło zagród.

Ale Stefan zarabiał, to był „wełykij majster".

Kamieniarz z niego był taki zawołany, że czy przy kolei czy inną pracę w mig załatwia, tak, że aż się wszyscy dziwowali. I to nie tylko zwykłe i proste rzeczy wysuwały się z pod jego dłuta, szły i piękne, ozdobne, pełne natchnienia. Skąd mu przyszła ta zręczność, nikt nie wie, ot, tak sama od siebie i od Boga. Jak wziął ciosać, to mu skrzyło się w oczach, i piorunem wszystko było. Zarabiał też do 5 zł. dziennie, a czasem i więcej. W steinbruchu Haskiela Tallera wykonał roboty za trzy stówki; do fabryki w Beczkowie, na Węgrzech, dostawiał roboty. Do doniek ani do mołodyc nie zachodził: obojętne mu były. Tkwił w duszy jego samorodny artysta, pełen natchnienia dzikiego, gdy chwytał za dłuto. Od dzbana wina szedł do pracy, nikomu drogi nie zastępując. Gdy jednak zaszumiało mu w głowie, rozwydrzał się, folgował, aż miło. Raz pobił ciężko w karczmie Semena Bujczuka, wałęsającego się na Pokuciu całem śpiewaka huculskiego, bo nie dał mu napaść na Stefana Niemczuka, jamniańskiego wójta. Za ten i inne wybryki spotkała go karząca ręka sprawiedliwości. Aż oto zbliżyła się właściwa, krwawa, straszna tragedya.

Opowiadał mi ją Leś Niemczuk, brat wójta Stefana.

Stefan pozostawił 48-letnią wdowę, Marusię, i majątek, wynoszący około 10,000 zł. Marusia stała się zaraz heroiną. Młody, pełen życia Stefan zbliżył się do niej i obiecał małżeństwo. W duszy układał sobie, że jego majsterstwo i jej fortuna muszą się złożyć na wielki kiedyś majątek. A przytem roiło mu się w głowie od ambicyi arstystycznej, od planów, jakie wykona, mając grosz w pogotowiu.

— „*Bo to buł wełykij majster*“ — westchnął Leś. A Marusia lubiła birbantować, lubiła hulać, swawolić, pełną garścią rzucać naprawo i nalewo... On z jednej strony, ona z drugiej, i tak razem stracili do 4,000 zł. Stefan, artysta, zaniedbywał się, zalewał, dłuto puszczał z dłoni, a Marusia patrzała kątami, aby, zachowaj Boże, nie umizgał się do młodych dziewek! Pieniądze i dostatek zabiły Kapitańczuka: rozhukana jego natura pragnęła używania do szału.

Nasłał mu zaś całą biedę pewien kamieniarz z Beczkowa, który, nie mając zasobów na wykonanie pewnego przedsiębiorstwa do fabryki, musiał je Stefanowi odstąpić, rzucił jednak z zemsty nań czary. I od tej chwili był Stefan markotny, zawzięty, wszystko mu się psuło, wino, a nawet już alkohol szedł od niego zdaleka. Jak mu kto powiedział:

— *Sława, Isusu Christusu!* — to się nie odezwał. Lice miał dzikie, złowrogie.

— „*Synec mu buł popod oczy.*“

Aj, ten majster z Beczkowa!

Stało się. Stefan zamordował żonę Spiegla, a trzech Żydów prawie utrącił.

Leś znowu westchnął:

— „*A to buł wełykij majster!*“

Przypomniałem sobie to wszystko na widok tej biednej, spracowanej matki i dorodnych dziewcząt.

Deszcz zaczął lać i zapędził nas do chaty. Wszędzie schludno, niemal wykwintnie, jak na huculski przybytek. Dużo obrazów świętych wisi na ścianie w pokoju Stefana, a pod nimi zegarek kieszonkowy i ścienny.

— Kto śpi na łóżku Stefana? — pytam.

— A Wasyl — odpiera matka.

Stosunek narzeczeństwa nie krępuje ich wcale.

Ostrożnie, półsłówkami pytam, czy wiedzą, co się z Stefanem dzieje.

— „*Ne znaju!*“ — odrzekła Marusia obojętnie, jakby chodziło o złamany na górach smerek.

Ta obojętność podrażniła mnie i rozdrażniła bardzo.

— A nic was to nie obchodzi?

— „A *szczo?* mało mi śluzy nie schły, małom się namęczyła? a teraz muszę sama gazdować. Ot, pracuję, jak koń, a nikogo niema do pomocy.

Oceniła rzecz ze stanowiska wartości ekonomicznej...

Poinformowałem ich, że lekarze uznali syna za chorego umysłowo.

— „*Naj bude!*" — pokiwała znowu apatycznie głową. Jedno jeszcze zadałem pytanie:

— Dawał wam Stefan co kiedy pieniędzy?

— Nigdy! — poszło wszystko z kamratami!

Zacisnęła wargi, jakby już nie chciała nic mówić. Ja też to zrozumiałem i w cichości duszy rozważałem, czy to bezczuciowość pierwotnego człowieka, czy ból już przegryziony, wżarty w krew i w kości. Nie wiedziałem, jak sądzić.

Ale to w każdym razie nie lepsza, nie gorsza tragedya od tylu innych. A na jej tle bogatem spotyka się ze znanem zbanalizowanem przysłowiem: „*Cherchez la femme*" [1]).

* * *

Pan Karol Obst opowiadał następujące podanie o Dowboszu według gawęd starych bajarzy.

Był w Nadwórnie zamek drewniany, pierwotnie na górze Horodyszcze,—później murowany w Pniowie. Pan kasztelan trzymał liczną służbę, pacholików, piechotę i wspaniałe cugi. Barwy kasztelańskie nosił też Hucuł Ołeksa Kabaluk, dobosz zamkowej infanteryi, dlatego Dowboszem lub Doboszem zwany. W Ołeksie grała krew junacka, żywa, rwąca, jak prutowa fala; odezwała się w nim raz za silnie i do jakiegoś złego popchnęła czynu. Unikając pańskiej karzącej ręki, zbiegł na górę Malawę, pod Delatynem. Jesień opadła już stoki i wybrała z nich zieleń. Pustka leżała naokół, wszerz i wzdłuż nie było rusnackiej chałupy. Głód wypędził resztki sił z Ołeksowego ciała... Wtem spostrzegł wesoło buchające ogniska i czad od nich, pełzający po ziemi. Pośpieszył... Tuż przy rozniecconych ogniskach leżała garść Kozaków, wiozących sól z Delatyna na Ukrainę.

— *Warite kasze?* — zagadnął Ołeksa, patrząc chciwie na objęte płomieniem kociołki.

— *Tak, a ne dla wsich!*... brzmiała odpowiedź!

Rozgniewany Dowbosz chwycił jedną ręką kociołek, drugą kozacką strzelbę i powtórzył ironicznie:

— *Oj prawda, ne dla wsich!*

[1]) Sądownie orzeczono, że Kapitańczuk dopuścił się czynu w przystępie przemijającego szału, skutkiem czego po chwilowej obserwacyi puszczono go na wolność.

Był to pierwszy rabunek przyszłego watażki i gazdowskiego bożka. Jego tłem dzika nadpruciańska góra, tonąca w zamierzchłych lasach, kozacza drużyna, wioząca sól z salin delatyńskich na daleką Ukrainę, i gorejąca od obozowych ognisk łuna... Z Malawy szedł Ołeksa przez Dorę, Jaremcze, ku Węgrom. Osamotnienie i smutek wlokły się za nim, a przed nim leciał szum lasów i pogwar Prutu. Gdzie się podziać!? W Jamnie stało kilku chłopów przy oborach. Pchali siano pod daszek wysokiemi żerdziami, ubijali boki i, jak Rusnacy, milczeli. Zoczył ich Ołeksa i rzekł:

— Hej! mołojcy, chodźcie za mną, każdy będzie miał bitych [1]) garncami.

Huculi rzucili żerdzie i nuż garnąć się około przybysza. Zebrała się wnet czerniawa gęsta, jak opar deszczowy, ciągnący z wierzchów lasowych. Radowało się serce Ołeksy, że nagle został watażką i że, jak wolny orzeł, pędzi po górach, króluje i nie czuje na sobie kasztelańskiego oka. Tak zawlókł się na obławę do Mikuliczyna i dziękował Panu Jezusowi za widoczne łaski i cudowną opiekę. Pozdrawiali go Huculi po drogach, jak batka swego, a on im tylko mówił:

— Koniec waszej biedzie, koniec biedzie waszych żon i dzieci! Hucuł się żegnał krzyżem, co tchu biegł do domu i wrzeszczał:

— Koniec biedzie!...

I szedł Rusnak do cerkwi, i owce gnał na paszę, i drzewo rąbał w oborze, szepcąc:

— Koniec biedzie!...

Malutko patrzeć, a Chrystus zejdzie na ziemię, rozwieje śnieżny płaszcz i siać będzie bitymi, niby żytem na polu.

Ołeksa gnał i gnał i ciągle Jezusika chwalił.

Raz mu się jednak markotno zrobiło, bo widział przed sobą olbrzymią skałę piaskowca, tak wysoką, że, gdyby pięćdziesięciu Rusnaków na sobie stanęło, jeszczeby nie dosięgło jej czuba. Ołeksa rozważał, jakiem on marnem jest stworzeniem wobec olbrzyma, i jęknął z tęsknoty żałośnie, że mu u nóg źródełko wytrysło, niby gorzka łzawica. Potem jął się modlić i prosić nieba o siłę, o nieśmiertelną, niezwalczoną moc. Zjawił się też Pan Jezus ze słodyczą w źrenicach, z dłonią, wyciągniętą do rozkazów.

— Podważ, Ołeksa, od spodu tę skałę i zanieś, gdzie każę.

---

[1]) Talarów.

Watażka patrzał, ale oczy mu się ćmiły od wielkiej i świętej jasności. Wyciągnął ramię, podstawił dłoń i zabrał skałę.

— Hospody! szeptał drżącemi wargami.

Tak szedł i szedł, a olbrzymi kamień rzucał mroki i słońce zakrywał swymi rozmiarami. Jeno na przedzie migotał blask złocisty, jakby od monstrancyi, i światłość taka biła, że nurzały się w niej ptaszęta i śpiewały potem hymny, niby chóry aniołów. Aż tam niedaleko, gdzie Prut z progów dużych spada, stanął Pan Jezus i znowu palcem wskazał. Rzucił w tem miejscu Ołeksa skałę—i tak powstała Dowboszowa chata, słynna zbójecka kryjówka.

Kabaluk był ojcem Huculszczyzny: nędzarzy otaczał opieką, zrabowane pieniądze pełnemi roździelał garściami. Napadał głównie na kupców ormiańskich i żydowskich, podążających ku węgierskiej granicy. Z czasem postać zuchwałego watażki opromieniono świętym nimbem posłańca Bożego, uchodziła ona za opiekuńczą rękę niebios, spoczywającą na opuszczonej, za górami zapadłej doli gazdowskiej. Wielki rycerz! wielki rycerz! szeptali z czcią Rusnacy. Otaczało go bezgraniczne uwielbienie i czar cudowności. Pan Jezus dał mu taką bohaterską moc, że się go żadne na świecie kule nie imały i żadne zło mu nie szkodziło. Rzucał się też na całe pułki królewskie, szedł w grad ogniowy i zawsze zwyciężał.

I żyłby Kabaluk seciny lat, przetrwałby niejeden smerek i niejedną limbę na Pokuciu i miliony prutowych fal. Ale oto weszła mu w drogę kobieta i ściągnęła marny koniec. Ołeksa, urodziwy junak, miał w Kosmaczu, w Kossowskiem, kochanicę, żonę gazdy Stefana Dźwinki. Gaździna za nim przepadała i męża i dzieci zaniedbywała, całą duszą lecąc ku swemu Janosikowi. Nie dość było krewkiemu Dowboszowi jednego romansu, postarał się o drugi w Hoszowie, koło Bolechowa. Kosmacka mołodyca postanowiła się zemścić za zdradę, za straconą swoją cnotę, a w dodatku obawiała się rabunku komory....

Pewnego razu przyszedł pod wieczór watażka do Kosmacza, kazał spocząć swoim kamratom, a sam odwiedził Dźwinczuczkę. Zmęczony usiadł na ławie i prosił swoją kochanicę, aby go po głowie iskała. Posilał się tedy kuleszą i razowcem, ona zaś rozczesywała palcami gąszcz kabalukowych czarniuteńkich włosów. Wdzięczyła się kobiecina zalotnie, jak nigdy, nadstawiała usta i nagle zapytała:

— Co to jest, Ołeksa, że was ani ubić, ani zastrzelić nie można?..

— Można! zdradził się watażka, byle wyrwać moje dwa srebrne włosy i dać je na kulę!..

Ona to uczyniła i iskała go jeszcze godzinę lub dwie, a włosy zapchała między zęby... Gdy już księżyc dobrze na niebie świecił, zerwał się Dowbosz, huknął na kamratów i pociągnął do Sebata na Węgrzech, zapowiadając blizki powrót. Dźwinczuczka zaś poleciła mężowi kupić kulę, obwiązać ją srebrnymi włosami i zanieść do popa, aby nad nią odprawił dwanaście służb Bożych w cerkwi. Stefan z radością spełnił, co mu nakazano. Nabił puszkę zwykłym i święconym nabojem i zostawił ją na stryszku.

Nadpłynęła noc miesięczna, tajemnicza, nasiana gwiazdami. Kosmate psy ujadały, odpowiedziało im echo huculskich „trub" i rogów.

Do drzwi Dźwinczuczki pukano, kołatano energicznie.

— Otwórzcie! otwórzcie! — wołał Ołeksa.

— *Ne otworu!* — brzmiał stanowczo głos kobiecy.

— Ja drzwi wybiję! — wrzasnął Dowbosz.

Kochanica odpowiedziała z przekorą:

— *U mene dwery tepowiji, a zamki stalowiji!*

Ciszę powietrzną przeszył olbrzymi huk. Stefan celnie w serce trafił.

— *Harast me plunął!* Dobrześ napluł! wrzasnął watażka i, brodząc we krwi, dowlókł się do swoich. Konając, prosił zbójników, aby go wzięli na toporki i zanieśli na Czarnohorę.

„Oj, wy chłopcy mołodcy,
Berit mene na toporcy
I nesit na Czarnohoru".

Na Czarnohorze mają, według podania ludowej pieśni, leżeć zwłoki „wielkiego rycerza". W rzeczywistości pochowano go prawdopodobnie nad brzegiem Prutu, w Jamnie, tam, gdzie dziś chałupa Jurczychy Chodowaniec. Ród watażki dotrwał jeszcze do dziś dnia w tem siole.

* * *

Tyle tradycya, snująca zresztą różne waryanty i różne powieści. Znakomity znawca Huculszczyzny, Juliusz Turczyński, autor „Tarasa z Worochty" i „Strasznej drużyny", ogłosił w „Upominku dla Elizy Orzeszkowej" dokument, znaleziony u pra-prawnuka słynnego beskidowego zbójnika, w Kosmaczu. Dokumentem tym zwolnił książę Józef Jabłonowski, wojewoda nowogrodzki, dnia 20 października 1745 r. swego poddanego, Stefana Dźwinkę od „wszelkich danin, podatków, czynszów i innych jakichkolwiek powinności,

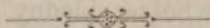
tak dworskich, jako i gromadzkich" na całe życie za zgładzenie „herszta opryszków", Ołeksy Dowbosza. O przestrachu, grozie, jakie siał Kabaluk na Pokuciu, świadczą epitety, połączone z nazwiskiem jego w owym przywileju. Oto Ołeksa jest „hersztem wszystkich nieprawości i zbrodni, smokiem, wychowanym w zapruckich górach, pożerającym życie i substancyę obywateli pokuckich"... Czynem swoim „uspokoił Dźwinka ustawiczną bojaźń pokuckiego kraju i pożądane bezpieczeństwo przywrócił". Z zakończenia dokumentu dowiadujemy się wreszcie, że na Dowbosza wyprawiało się wojsko koronne i Potockich w liczbie dwu i pół tysiąca ludzi, nie mogło jednak pokonać niezwalczonego watażki!... Zbójecka zatem działalność Ołeksy przypadła na początek panowania Augusta III, na chwilę ogólnego rozstroju, uwiecznionego lapidarnem przysłowiem: „Za króla Sasa, jedz, pij, i popuszczaj pasa". Z aktów dawnych miasta Stanisławowa, przeniesionych już częściowo do zakładu narodowego im. Ossolińskich we Lwowie, zaczerpnął J. Turczyński kilka szczegółów, rzucających trochę światła na pochodzenie Kabaluka. Ojciec Dowbosza, biedny Rusin, w Peczyniżynie, koło Kołomyi, miał dwu synów: Ołeksę i Iwana. Ołeksie sprzykrzyło się w domu, udał się przeto w góry i w r. 1738 stanął na czele zbójeckiej drużyny. Huculszczyzna uważała go za swego dobrodzieja, a nawet Żydzi naprowadzali go na trop skrzyń, przepełnionych złotem; żona księdza unickiego z Sopohowa była skarbnikiem bandy. Śmierć Ołeksy zabarwiła fantazya ludowa romansem i rywalizacyą między dwiema kochanicami. W rzeczywistości była to dość prozaiczna historya: Stefan Dźwinka kłócił się z teściową o wiano swojej żony. Mściwa świekra podburzyła Dowbosza zmyślonem doniesieniem, że Dźwinka czatuje na jego życie. Watażka postanowił uprzedzić cios. W chwili, gdy się dobijał do chaty, dosięgła go Stefanowa kula. Ciało jego zabrano na wóz i, jak skostniałe zwłoki Cyda, obwożono po siołach, aby naocznie przekonać Huculszczyznę, że kara Boża spadła na strasznego mołojca.

Ernest Łuniński.



Poezya polska

o świcie XX-go stulecia.



V.

W poglądach na przedmiot, znaczenie i źródła natchnień poetyckich nasi „najmłodsi” z krakowskiego „Życia” (które niedawno zakończyło swój żywot) naprowadzają myśl na świteziańskie i przedświtowe zaranie romantyki polskiej z początków wieku XIX. Punktem stycznym jest tu t. zw. bezwzględny kult piękna. Ale zato na innych powinowactwach, samorodnych lub naciąganych, czas położył piętno różnic nader wybitnych. Błękitnawy od podniebnych protestów byronizm przybrał zgniłozielony kolor zjadliwych pesymistycznych złorzeczeń baudelairyzmu; lilie cudowności średniowiecznej objadły mszyce nihilizmu i mistyki spirytystycznej; czerwień światoburczą zneutralizowały odczynniki metafizyki buddyjskiej; cienką strugę gorącego współczucia dla ludu i wydziedziczonych zanieczyściły mieszczańskie ścieki kosmopolityzmu socyalnego. Nietkniętym jeszcze pozostał tylko bezmiar młodocianej dobrej woli, która w głębi, w umartwieniach ciężko uświadamiającej się potrzeby społecznej, gwałtownie, rękami i nogami, broni się od ukąszeń bardzo grubego robaka niepewności i niemocy.

Poezya, tytularnie zawsze jeszcze królowa, bóstwo, gwiazda przewodnia na niebiosach ducha, nie przestała odbierać hołdów;

w gruncie jednak — to tylko złudny odblask marzeń znikomych na bezdennym oceanie nicości ciemnej, tępej, głuchej. Za taką przynajmniej uważać ją chce czy chciał założyciel „Życia”, autor „Srebrnych nocy” (1897) i „Hymnów” (w bibliotece „Mrówki” z r. 1898), Ludwik Szczepański. Miłość, nadzieja, wiara, co dziś rumieni czoło dziewicy, gdzie jutro będą? — tam, gdzie i obłok zeszłej jesieni. Gdzie jest ta jasna jutrzenka szczęścia, co nam w dzieciństwie lskniła z ócz matki? — tam, gdzie i róże ostatniej wiosny, tam, gdzie wczorajsze maki i bratki. „Nocą, gdy morza poziom rozbłyska, — w blask księżycowy szlakiem opali marzeń mych płynie złota kołyska... Ach, droga wiedzie w dal przez odmęty, a w cienie głębi czarnej spowity polip-śmierć wije potworne skręty... Nad wód bezmiernych senne milczenie, nad śmierć, co w głębi uśpiona czyha, rozkołysane idzie marzenie,— idzie w dal wielką, zwolna i zcicha...” Zadziwiającą jest zaciekłość, z jaką ta mara nicości ściga poetów tegoczesnych, narzucając im widzenia, sprzeczne z przydomkiem poezyi, jako „nieśmiertelnej.” Przerażające, apokaliptyczne panoramy światów kosmicznych zamarłych, umierających, skazanych na śmierć lub na śmierć się gotujących, przepełniają wszystkie niemal zbiorki rymotwórcze, wydane w ostatnich latach w okładkach ozdobnych. „Album” Kasprowicza czerni się od nich, jak miasto po pożarze. Ilościowa produkcya ta zajmuje w nadobnem piśmiennictwie polskiem na przednówku wieku XX to samo miejsce, jakie przed laty trzydziestu zajmowała nasza programatologia pozytywno-poetycka, popierająca zasady pracy organicznej, pracy u podstaw, trzeźwości politycznej i t. p. Różnica ta tylko, że tamta znajdowała swe tłómaczenie, swą racyę bytu w bezpośrednio poprzedzającej ją katastrofie publicznej i w ekonomicznej ruinie kraju, istotnie wielkiej i złowrogiej; ta — dzisiejsza, wydaje się jakiemś spóźnionem echem dogorywającej na zachodzie epidemii, zwanej „nudnością filozoficzną.”

„Patrzałem w księgę — ponuro zapewnia wzorowy, ujmujący piewca „Róż jesieni”, Stanisław Rossowski,— patrzałem w księgę największą z ksiąg, której przyroda na imię... Kipi tam prądów ożywczych zdrój... jest znicz, płonący nocą i dniem, przy którym ludzkość się grzeje, jest twórcza miłość, co w łonie swem płodzi wciąż nowe nadzieje... Gwałtowny wicher badawczych żądz pędził mnie dalej uparcie, aż spoczął wzrok mój, o cudach śniąc, na księgi ostatniej karcie... I otom znalazł bezdenny jar, w którego czarnej głębinie miłość, zdrój życia, jasność i żar — wszystko bez wieści przeminie... Ni ruchu, światła, ni żaden szmer... Zmrok tylko, ległszy na szczycie,

spoglądać będzie w otchłanie sfer, ciekaw, czem było to życie..." Rozszerza się, wydłuża, potężnieje popielcowa ta nuta w prometejskich męczarniach myśli Zenona Przesmyckiego (Miriama): „Sto granic, kresów, śmierci, końców, zgonów grozi ludzkości, co pyłkiem jest w bycie; o najjaśniejszych idei rozświcie przyjść może straszny ten dzień... żęcia plonów... I nie pomoże nam ni wiedzy świetność, ni to władanie nasze nad przyrodą! Jak kozłów, losy na rzeź nas powiodą... Zaginie wszystko: podłość i szlachetność... Szał, zamęt, chaos! olbrzymie konanie! Ludzie, ich bogi, sztuki, arcydzieła, co począć miała myśl i co poczęła, wszystko w proch pójdzie — i nic nie zostanie!... Nic nie zostanie, — cała wieków praca stać się tem musi, czem była w początku: prochem!..." Nawet Kasprowicza halucynacyjna ta wichura spędza z „Chłopskiego zagonu" i pogrąża na dno zagadek o niebycie powszechnym. Parafrazując filozofię Herberta Spencera, przypuszcza on wprawdzie, iż pytanie: „wieczny sen, czy wieczne życie," — jedno czy drugie równie dobrze przystaje do twierdzącej, jak i do przeczącej odpowiedzi; osobiście przychyla się do znośniejszej, do życiowej raczej alternatywy, niż do sennej. „Ponad łańcuchy lesistych gór płynąc falami słońca, śpiewa anielski wieszczy chór, że trwaniom niema końca, — śpiewa, a pieśń ta — jest, jak chrzest, odradzający wiarą, że tylko życie prawdą jest, a śmierć jest złudną marą,—śpiewa, akordów dziwny ton śląc na promienne drogi, że złudą tylko cień i mrok, że płód to ludzkiej trwogi, że prawdą światło pełne łask, że nad tych dni zamętem w spokój swój każdy łączy blask w Wieczystem, w Niepojętem..." Ale i Kasprowicz doznaje w końcu, unosząc się nad temi przepaściami, zawrotu głowy, skoro bez okrzyku zgrozy rymuje w dalszym ciągu swe miserere: „świadomość w ślad tych mąk, niby potworna żmija, swój oślizły wypręża krąg, w duszę się żądłem wpija, — wpija się w duszę olbrzymi wąż, ze swojej rad zdobyczy, wyrywa wszystkie siły miąż i syczy, syczy, syczy, że wszystko: człowiek, zwierz i kwiat, podlega jednej śmierci, że śmierć nad wszystkiem tron ma swój, owity w groźne cienie, że zmienia wszystko w rozkład, w gnój, w mrok i w zapomienie..." Gadziny, padalce, szakale, nietoperze niemieckiego „weltschmerzu" dogryzają też i Antoniemu Langemu. U niego również aż się ćmi w oczach od nieustającego znikania zórz, tęcz, świtów, od zapadania ziemskich bytów, od kładzenia się w grób żywiołów, od rozsypywania się w proch popiołów i lotu światów w bezpotomny, nędzny pył; wszakże od zagłady doszczętnej ocala poezyę w stanowczej chwili wielki Jehowa, bo właśnie, kiedy, „jako we krwi pulsów bicie, w ostatecznych minut zgrzycie ostateczne

zgasło życie, ostateczny zamarł duch, ostateczny ustał ruch", — nagle odbywa się we wszechświecie coś podobnego do młyna, w którym, dopóki się zboże miele i koła łomocą, — młynarz spokojnie śpi, — skoro jednak zabrakło mlewa, młynarz budzi się natychmiast, niesie nowe ziarno, i mąka dalej się sypie,— lepsza nawet, niż przedtem: „naraz, naraz wśród przestworzy słychać jakiś dreszcz, co tworzy, — jakieś tchnienie, jakieś drżenie, pełne świeżych wiatrów wiań — i ogromny, piorunowy zabrzmiał wielki głos Jehowy: stań się—świecie, większy, stań!..." Co do Kazimierza Tetmajera, niema już u niego obecnie ani jednego źdźbła, ani jednej plewki: wszystko porwała, zagarnęła, pochwyciła i uniosła powódź Nirwany. Zabrała ona i pochłonęła całego poetę. Płynie dziś oto samotny, nieszczęśliwy, znękany, więcej, niż do ludzi, do mary podobny i wywodzi ku nam głosem nieposzlakowanej szczerości: „Znów jestem sam ze sobą, z moim duchem, oczy me giną w jakiejś pustce szarej, i myśl ma tonie w jakiemś morzu głuchem... Ponad czarnemi wodami szuwary i trzciny rosną i smutno szeleszczą; sklep nieba zda się sklepieniem pieczary, głęboką jamą ciemną i złowieszczą... I żadne słowo nic mi nie tłómaczy, i nie pojmuję nic na drodze mylnej, prócz rezygnacyi martwej lub rozpaczy — tem okropniejszej, że do dna bezsilnej" („Wybór poezyi", 1897, str. 24 — 25).

Z właściwą krakowską szkołą nowatorów „Życia" nie jest jeszcze tak źle, jak z Tetmajerem, dzięki może tylko temperamentowi pierwszego jej organizatora i przywódcy. Szczepański lubił życie — lubi je zapewne podziśdzień. Sam to otwarcie wyznaje w ładnym wierszyku, skreślonym po wyjściu z podziemia katedry na Wawelu, gdzie „śpiżem połyska trumien szereg dumny, a w trumnach króle — pleśń i proch zbutwiały, a ich spuścizną — strzaskane kolumny..." „Wyszedłem smutny. Gdym na stoku skały wawelskiej stanął z pochyloną głową — świat od pozłoty słońca jaśniał biały... I zdało mi się, gdym w tę południową pogodę patrzał, że w tryumfu świcie słońce olbrzymie zakreślało słowo — i złote głoski słońca czytam: życie!..." Mała to wszakże i nikła radość ze słońca, które gaśnie i usycha, zwodnicza pociecha z życia, które zaledwie dniem jednym oddycha... Ratunek wobec krzyczącej niebios niesprawiedliwości staje się niezbędnym. Gdzie go szukać? — Tu się drogi rozchodzą. Jedni, z Jerzym Żuławskim, zanoszą do Boga starą, jak świat, skargę: „Przecz ty mnie, Panie, skazał na to życie? przecz mi dał duszę wielką a niepłodną, bezsilnie dziką i wciąż wrażeń głodną, ciemności pełną, a śniącą o świcie? Przecz ty mnie gwiazdy pokazał na niebie i strącił w otchłań, kędy światła

gasną, i tęsknić kazał za gwiazd marą jasną i wiecznie padać, wznosząc się do Ciebie?...” Drudzy probują szczęścia w stronie wręcz przeciwnej. Szczepański w hymnie do szatana, którego nazywa „geniuszem dumy”, mknącym przez bytu ból i klęski, wyniosłym, nieugiętym, szyderczym i zwycięskim oraz „sercem tytanów”, co rdzawe rwą okowy, „siłą”, popychającą przez wieki gnuśny i skrzepły glob, „poezyą bytu”, „świadomości żarem”, co skronie rozpłomienia, — Szczepański odzywa się do tego wielkorządcy: „A wiedz, że, jeśli ciskam wzrok w przestwór niezmierzony, jeśli mi z głębi duszy rwą się tej pieśni tony, jeśli głos podnoszę, demonie, w dal do ciebie,—ja, marny atom, rzucon w odwieczny wir wszechświata, ja, kropla, w której przecie byt całą treść swą splata, —ja tylko wołam swojego ducha, *wołam siebie...*” Podwójnie wyśmienicie, podwójnie doskonale! Najpierw, doskonale dlatego, że istotnie warto zabrać znajomość z geniuszem, do tego stopnia białym, iż go śmiało wziąć można za swego anioła-stróża; powtóre, wyśmienicie jeszcze dlatego, że „siła”, pojęta tak lub inaczej, po bożemu czy po szatańsku, jest i w poezyi rzeczą wielce pożądaną, poniekąd nieodzowną. Tylko, że należy w takich sprawach być koniecznie konsekwentnym i utrzymać zgodę z sobą przynajmniej; jeżeli się pragnie siły, trzeba wiedzieć, po co; jeżeli się ją ma, trzeba jej używać w jakimś kierunku. Tymczasem z poetami krakowskimi doby bieżącej nie sposób dojść pod tym względem do ładu. Niekiedy wydaje się, że już, już są na tropie; naraz, patrzysz, — dymek i ta sama historya: rondo z nicości. W przepysznym, czarującym sonecie p. t. „Umiłowanie” Stanisława Wyrzykowskiego, także koryfeusza „Życia”, kolegi Szczepańskiego, czytamy:

Bezbrzeżnej pustki nużąca omdlałość
zgniata mi serce i tępi me zmysły,
zwiera mi gardło żrący ból i żałość,
jak uścisk węża wstrętny a obcisły.

Smutek i dumy posępna wspaniałość,
jak mrok nad żarem, nad duszą mi zwisły,
tłumiąc jej pragnień i porywów śmiałość,
aby daremnym płomieniem nie błysły.

A jednak czuję: idzie, wichry sprzeczne
mając wbrew sobie, gdzieś po mórz głębinie,
przez senne pola i błękitne jaśnie

umiłowane święte i słoneczne...

idzie, ale wyłącznie dla wywołania w nas pogrzebowo-fajerwerkowego jakiegoś dreszczu zgryzoty, — dowiadujemy się bowiem, że do współki z tem umiłowaniem „dusza w wielki pożar spłynie — w krwawy słup ognia wybuchnie — i zgaśnie...” W innem miejscu wymowniej jeszcze kreśli Wyrzykowski zadanie poety: „Będę tęsknotą bezbrzeżnej równiny i opuszczonych cmentarzy urokiem, i upojeniem przepastnej głębiny, — przebrzmiałej pieśni będę echem śpiewnem, rosą, co wilży grobnych bluszczów sploty...” Ale wniosek zawsze ten sam, to jest całkowicie spaczony i skłócony z przesłankami własnemi; brzmi on: „w błękitnych zmierzchach *zginę* widmem zwiewnem — z gasnącym blaskiem miesięcznej pozłoty...” Czy jest tu jakakolwiek gramatyka i logika? Boć przecie najprostszy szyk wyrazów, najbardziej elementarna forma syllogizmu wskazuje, że w warunkach danego założenia problemat tak się przedstawia: Nic i nigdzie dokoła nas niema? pewni jesteśmy, iż żadna mądrości gwiazda nad nami nie świeci? żaden świadomości promień z zewnątrz nas nie grzeje, — w takim razie jesteśmy niezaprzeczonymi gospodarzami sytuacyi, — wszystko się stanie po naszej woli, wszystko od nas zależy, — od nas, cośmy się napewno przeświadczyli o moralnem nicestwie wszechbytu... Trzeba tylko wstać i iść,— iść naprawdę, bez haszyszowych upojeń i dziecinnych strachów... Jest to tak oczywista glosa starego kartezyańskiego „cogito”, że dziś, po tylu latach, nie godzi się ślęczeć i łamać głowy nad jej odkryciem i zastosowaniem rymotwórczem.

Wiotkość tła, podobłocznie i zaświatowo rozcieńczonego, beztreściowość wątków, wyprzędzonych na krosnach skonania, mdłe i blade zabarwienie wzorów, wyszukanych po za krańcami istnienia, czyniłyby z całej tej metafizyki wierszowanej, pasorzytnej a wybujałej, zjawisko ze wszech miar groźne dla prawidłowego, z naturą rzeczy i położenia zgodnego rozwoju naszej umysłowości, gdyby w gronie samych poetów nie był się dość wcześnie wywiązał wartki, gorący prąd sprężystego oddziaływania. Już Wyrzykowski w hymnie do „Nowego boga” trafia w poezyi na coś bez porównania cieplejszego i oporniejszego od wiekuiście gołej i chłodnej próżni kosmicznej: „Zbrojny w potęgi dar, o zleć! — znękanym sercom daj zapomnień cichy kraj; *wróć pieśni dawny czar* i spraw, niech z ludu warg nie płyną słowa skarg.” W „Albumie”, w miarę, jak się posuwamy od jego końca ku środkowi i początkom, od mistrzów młodszych do nieco starszych i doświadczeńszych, znikają powoli „wichry, strząsające wśród nocy posępnej grozy liście płaczącej brzozy na smętne wiry fal, — a serce drżące, znużone, senne”, choć wciąż ma jeszcze przed sobą „bytu mroczną Gehennę”, wszakże wzdraga

się iść ciągle „*w beznadziejności dal...*” Miriam raz po raz słyszeć się daje ze zwrotką jakiejś obietnicy lepszej: „Czekajmy ufni! a w każdej dziecinie witajmy może przyszłego odrodzenia gońca, może zwiastuna wschodzącego słońca...” Z tatrzańskich wirchów i hal wracający Kasprowicz odzyskuje dawną czerstwość i powiada: „Jak się nocna mgła rozwiewa, tak i sen się rozwiał mój... W okna moje dzień zagląda, chłodny, jasny, pełny dzień, — na ulicach wre już życie, pod działaniem jego tchnień do codziennych zajęć śpieszy duch, co widział wieków znój...” Ujmująco i z wdziękiem wita Szczęsna zwrot do tych zajęć codziennych, — bo, ilekroć (zapewnia) wicher w alei się miota i zwiędłym listkom, żegnającym rodzinne drzewa, śpiewa szyderczo podczas zawiei „niema już dla was nadziei”, to nie jest grzech: liść puści na wiosnę, ze mchu otrząsną się drzewa, w gaju wesela śpiew rozbudzi echa miłosne, i cały świat się rozśpiewa. „Ale, gdy duch się strapiony poddaje wewnętrznej męce, w ironii wpada śmiech, gdy życiem jest zniechęcony, przystaje i łamie ręce, — ach, to jest grzech! I gdy się daje zwyciężać tęsknocie, która powraca na skrzydłach ech, i, zamiast siły wytężać, moc walki w sobie zatraca, — o, to jest grzech!” Szczęsnej dopowiada M-ski: „Kiedy nas niesie mrzonka skrzydlata gdzieś w nieokreślny świat — tuż obok w mroku rodzona chata, tuż obok ciemny brat... Więc też, gdy w końcu szczytne marzenia zapragniem wcielić w czyn, życie je zwiewa, jak dym płomienia, nas łamiąc na kształt trzcin.” Wstaje z kolei rozpłomieniony Lucyan Rydel i, precz wyrzucając przepełnione kosze egzotycznych, papużastych swych kwiatów, mnąc, depcąc wozy zaczarowanych kół i wagony wulkanicznych swych zórz, — przypomina sobie dawniejsze hasło Miriama: „przeklęci, którzy jęczą i płakać uczą gmin, a siecią snów pajęczą zastąpić myślą czyn”, — i woła podnieconym głosem: „Przekleństwo snom!... Przekleństwo łzom, które się próżno leją, gdy burza wre dokoła i huczy grom, gdy trzeba trwać z odwagą i nadzieją i nie uginać czoła... — przekleństwo łzom! Przekleństwo snom, które się próżno marzą, gdy spłonął dach nad głową i runął dom, gdy trzeba wstać i ze spokojną twarzą budować gmach na nowo... — przekleństwo snom!...” Surowe i ważkie, pełne żywotnej otuchy credo Józefa Stanisława Wierzbickiego zwycięsko wreszcie wypiera z krain poezyi „znikomą marę nicości.” „Wśród chaosu, co, jak burza, nad bezmiarem szalejąca, z mroków świata się wynurza i roztrąca globy i istnienia w pył, — rytm panuje serc i sił. Z śmierci istnień byt wykwita, z nędz się szczęście wypromienia, wielkie myśli kłosem żyta wstają z cienia, z czarnej, smętnej ziemi pól, — wielkie czyny rodzi ból... Szumią drzewa pacierz wiosny nad dziecięciem,

co w kolebce, ptak uderza w śpiew żałosny, matka szepcze... — matki słowa, szumy drzew, wszystko spływa w jeden śpiew...

I z łąk ziemi wciąż uderza
I niedoli zgrzyt pochłania
Jeden wielki głos przymierza
I zbratania,
Co, jak hymn, się w górę wzbił
Cudnym rytmem serc i sił.

Pieśniom takim nie zabraknie poparcia żyjących, ani tych, co przedwcześnie zgaśli. Z głosów pozagrobowych pozostanie na długo pewnikiem niezbitym rada Leonarda Sowińskiego poetom: „Jeżeli chcesz być wieszczem bratnich ciżb, więc rzuć gruchanie ckliwe, zdawkowych poziom wyobrażeń, a stań się słowem wielkich wrażeń, sumieniem, w ciemny wpływającem gmin, pamięcią żywą bohaterskich zdarzeń i wiarą, uzbrojoną w czyn..." Albo w innej strofce: „Napróżno w roztkliwionej piersi stawiacie ołtarzyki drobne, wiankami polnych ziół ozdobne! O, najrzewniejsi i najszczersi, przestańcie wyśpiewywać luźnie bezmyślne egotyczne dumy, a wejdźcie w pracy gminnej kuźnie, śpiewajcie to, co czują tłumy..." Z żyjących Felicyan Faleński ujmie te prawdy w aforyzm twardy i czysty, jak dyament: „Bo nie żyć piewcy, co śpiewa sam sobie, bo nie brzmieć pieśni, co brzmi — dla nikogo..." Ciężkie warunki egzystencyi współczesnej, trudności i zawody otoczenia, ubóstwo, niedojrzałość społeczna — to są szkopuły znane, — oddawna znane poetom starym i młodym. Zapomniany dziś twórca „Salwatora", „Pytania", „Pieśni waryata", Bogumił Aspis, nie samem tylko naigrawaniem się i szyderstwem z losów własnych zatruł pytanie: „Co trzeba zrobić — jest na to pewnie sposób łatwy — by wśród próśb ludzkich do nieba o *szczęście*, mógł je mieć równo mistrz łzawy rymów — za rym swój, jak za but — mistrz dratwy." Nie bez powodu też zapewne Kazimierz Gliński tłómaczył się przed laty, dlaczego śpiewać musi... o niczem: „Wiem, są pochyłe dworki i strzechy, i spora dobrych ludzi gromadka, i stare cnoty, i nowe grzechy, i pacierz siwego dziadka, i są marzenia w sercu dziewiczem, i w chmurach skrzydła sokole, — jednak ja śpiewać muszę o niczem i wraz lirniczą kląć dolę." Jest snać gdzieś od nadzmysłowych eterów prężniejsza pobudka do utyskiwań i rozdzierających powietrze „akordów zgrzytu i śmiechu", jakie się raz po raz wyrywają z natchnionych piersi Konopnickiej: „Ludy się kędyś prą falą mętną, szumem im wzbiera dziejowe tętno, nad żaglem trzeszczą maszty przegniłe, to tylko żyje, co żyć ma siłę, — a nam tymczasem młynek na strudze obraca plewy swoje i cudze..." Nazwie sobie, kto chce, „dobrowolnością

wyboru" ową smętną rezygnacyę młodociano zgasłego Stanisława Grudzińskiego, kiedy zapewniał: „Niech o mej pieśni za całą chwałę powiedzą, że lata nizko, jak ptaszę małe nad miedzą, że towarzyszy pracy pokornej wśród potu i nie zaznała żądzy niesfornej odlotu, że cicha, słaba, wznieść się nie może w niebiosy, i widzi całe świata przestworze w łzach rosy..." Wszak i Bartusówna nie spowiadała się z rozkazu, pod gwałtem zewnętrznym: „Pieśnią były moje bóle, pieśnią pierwsze serca drżenia, pieśnią tęskna myśl na czole, pieśnią modły i marzenia... Dziś *fałszywy ton* ją głuszy, dźwięczne struny rwie... Żegnaj, siostro mojej duszy, żegnaj, rajski śnie! Życie ciężką jest ofiarą... Smutną kiedyś mi pociechą po nad mętną jego czarą spłynie dźwięków twoich echo — i znów dusza chwilkę prześni, lecąc w przeszłość, w dal... Lecz dziś, siostro, ach dziś pieśni — żal mi ciebie, żal!" Wprawdzie nie od wczora i nie u nas tylko poeci zwijali skrzydła przed fatalizmem dziejowym, który, nie pozostawiając im innego wyjścia, zniewalał albo z Mickiewiczem „opuścić korab żywota", albo z Puszkinem głosić:

Czy ból cię żre, czy ssie uciecha,
Te tylko źródła sączą dla cię napój czysty:
Rodzinna twoja strzecha
I grób ojczysty...

Z tem wszystkiem i pomimo tego wszystkiego, czy ów fatalizm, niezaprzeczenie grubszy i nieprzenikliwszy u nas, niż gdzieindziej, wyłącznie poza nami leży? czy nie jest on w równym stopniu następstwem swawoli i samowoli wewnętrznej?—„Jak ptak nad morzem, tak po skrajach świata myśl niespokojna, w skrzydła bijąc, lata i wskroś przeniknąć pragnie nurty mętne i w ciszę rzuca pytania namiętne",— gdy tymczasem, bardzo być może, że pytania i rozwiązania tkwią tu, w głębi naszej, — w tej psychologicznej matni, która ani się już dziwi, ani złorzeczy, ilekroć obok ciemnych i głodnych staje mądrość i dobroć, ilekroć do jasnych i możnych cisną się gracze i zjadacze, a pośrodku ostrożni i pobożni swobodnie sieją ziarnka wspólnoty martwej, w której z kolei dokonywa się reszta: łamie się mąż, upada niewiasta...

VI.

Dążność, myśl, samo nawet uczucie — sprawy to drugorzędne w sztuce dzisiejszej. Według wyrażeń pięknoznawczych, górujących za dni naszych, probierzem wartości utworu jest przede-

wszystkiem jego wykonanie artystyczne, — forma w znaczeniu wielce rozciągłem i często nader chwiejnem. Formalizm ten przedarł się do najnowszej poezyi polskiej pod postacią „nastroju", jak już o tem wiemy od Czesława Jankowskiego. Według dawnej, utartej klasyfikacyi dzieł poetyckich na przedmiotowo-opisowe, liryczno-opisowe, dydaktyczne, czysto liryczne, dydaktyczno-liryczne, miała klechda, bajka, gawęda, duma, ballada, legenda, satyra, parodya, elegia, oda, sielanka, fraszka pewne właściwe sobie odcienie odrębności w zarysie, kształcie, kolorycie, tonie i wyrazie, tak samo, jak miał je rapsod, tren, dytyramb, sonet, tryolet, epigramat lub poemat. Osobliwości owe, jakkolwiek chybkie, wzajem za siebie zachodzące, nie mieściły przecież w sobie nic urojonego: opierały się na niezbędnej i przyrodzonej wieloraikości stosunku twórcy do tworzywa — do przedmiotu. Albo poeta opowiadał zjawiska i czynności, zachodzące w świecie zewnętrznym, mniej lub więcej *bezpośrednio* odbite w jego duszy, albo też opisywał rozmaite stany tej duszy, powstające pod wpływem zewnętrzności. Zgwałcić zasady stosunku „nastrój" nie mógł i—trzeba mu oddać tę sprawiedliwość—nie próbował; pragnął jedynie i usiłował ścieśnić, zacisnąć nieco węzeł jego podstawy dwumiennej (przedmiotowej, podmiotowej), — a to przez zarzucenie lub zaniedbanie tych konkretnych, ustalonych w piśmiennictwie trybów ustosunkowania, w których zarys i kształt przemagać zdawał się nad tonem i wyrazem, przyczem, naturalnie, górę wzięły tryby odwrotne — jak np. sonetowe, odgrywające tak nadmierną rolę u tegoczesnych poetów naszych (u Kasprowicza, Langego, Tetmajera głównie), ujętych i pociągniętych snać raczej nazwą dźwięczną krótkonogiego dziecięcia, niźli powabem niezrównoważonego, skrępowanego z niem obcowania... Któż zresztą przejrzał i zrozumiał kiedykolwiek do głębi niesforność predylekcyi poetyckiej? — kto np. odgadnie Langego, czy więcej wielbi siebie, niźli z innych szydzi, gdy nam oświadcza: „Nie lubię rzeczy łatwych. Lubię łamać granit, lubię słuchać, jak szumią oceanów larga, jak płaczą nad Tytanem chóry oceanid, gdy Jowisz się nad niemi piorunami jarga... Biały wiersz — cud nad cudy; lampa czarodziejska—heksametr z ilionowych wzięty wykopalisk; jak pantera wygięta w skok — strofa alcejska: oto co dziś mnie nęci, niby wzrok odalisk.... Tak, bo rym się bez trudu w poezyę ularwi: poezya dziś z swych wyżyn zeszła w nędzę dolin, a każda ciemna fala uda fale Narwi — i dzisiaj sztuka rymów to nuta mandolin; jest tra-la-la na wszystko — formuły, algebra; w legiony dziś się rozrósł wierszopisów szereg,

i rymy leją gładko, niby wodę z cebra, a łatwo tak, jakby to był walc lub oberek...” (Poezye”, cz. II, 168 — 170).

Jakże ostatecznie wygląda „nastrój”?—Wygląda eklektycznie: trochę jak satyra, trochę jak dytyramb, w części jak legenda, w części jak tryolet, przez pół jak elegia, przez pół jak poemat, w sieni jak parodya, wewnątrz— jak madrygał, — ni to oberek, przepleciony polką, ni to skok pantery, zawinięty w ukłon albo wulkaniczny wybuch wiedzy w żupaniku wiejskim... Wygląda więc nieraz prześlicznie, wygląda cudownie, bosko, — ale też i potwornie niekiedy, wśród tej nieustającej maskarady gatunków, którą uniemożliwiały niegdyś lub łagodziły dobitne kadry przepisów i rozgraniczeń poetyki, pilnujące pozornego przynajmniej ładu... i zdrowego sensu.

W galicyjskiem siole huczno. Młódź okrutnie się rozżarła. Rok poczekasz, bracie, czasem, nim się spotkasz z tym hałasem, — no i z taką pijatyką. W całej wiosce dymią czuby, a w karczmisku ćma narodu. Od południa do północy, od północy do poranka, tnie muzyka bezustanka. Dudnią basy, piszczą skrzypce, i, kto młody hula, wrzeszczy, dmie w zawody... „Grajcie, grajki! wódki, żydzie!— toż to idzie! toż to idzie!...” Człowiek świat zna nie od wczora, z niejednego dął gąsiora, lecz takiego coś nie baczy... Toż ludziska dzisiaj smolą, jak na umór! — od wieczora do południa, od południa do poranka wrzeszczy kobza, jęczy duda, strugi leją się ze dzbanka... Od rozpaczy? — Nie, to branka. „Tam dziewuchy rzędem siadły, nieco zmilkły, nieco zbladły, pospuszczały w ziemię oczy, a tu z oczu łza się toczy...” Głupie gąski! po co płacze? Nie tak straszne dni wojacze... Chłopcy pójdą w świat daleko, i, gdy wrócą — nie poznacie... Lecz nie wrócą! Gdy grad wielki zamajaczy, gdy zadzwoni szumnie szklanka, pierwsza lepsza markietanka pamięć dziewki ścmi wieśniaczej... „Grajcie, grajki! wódki, żydzie! Jezus, Marya, toż to idzie! toż to idzie!...” Tam, do licha, u ścian starzy siedzą z cicha; chociaż tęgo smolą kołem, ale milczą, jak z urzędu... przepocony włos nad czołem, w zblakłych oczach ćma obłędu... Cóż to, starzy?— żal was gnębi, że z pod Karpat tyle młodzi w jakiś szwabski kraj odchodzi? że zapomną ojców mowy i zacności swej wioskowej? żal wam tylu rąk do pracy, żal tej ziemi zapuszczonej?... Co wy wiecie! — ci chłopacy pójdą zwalać, dźwigać trony... Słychać, z Niemcem będą boje, Niemiec naszych gnębi srogo, toż więc chłopskiej dziatwy roje wojsko Niemcom bić pomogą... Będzie wojna... wojna krwawa... Grzmią armaty... szereg stawa... Cóż u Boga?... w szwabskich pułkach bratnia mowa?... „Jezus, Marya! wódki, żydzie! — toż to idzie, toż to idzie!...” Bęben warczy, trąbka dzwoni...

Słychać pochód, rżenie koni, chmura wojska już się zbliża — pożegnajcież znakiem!... Cicho, dziewki! cicho, matki! wam — kościoły, nam — pałatki... Cicho, starzy! cicho, zrzędy! gaśnie dusza w głos komendy... Cicho, wierzby! cicho, dzwony! coś rwie serce, jakby w szpony, coś zimnego z twarzy ścieka, coś, jak pomor, ku nam idzie... „Milczeć, grajki! — Wódki, żydzie!..." („Branka" Andrzeja Niemojewskiego, Album II, 951 — 957).

Wybraliśmy nastrój jedyny, ze wszech miar udatny. Podbija on nas najpierw lokalnym kolorytem swojskości, której balast za czasów romantycznych nieodzownie obciążał najulotniejsze wyprawy wyobraźni, a z którego dziś opróżniono niemal bez śladu wszelkie łodzie żeglugi napowietrznej. Ma przytem zwinność i wrażliwość aparatu migawkowo-fotograficznego, zarzucającego kit ciągłości na krzywizny krańcowo sprzeczne. Nie dostrzegasz mozajkowatości żywiołów składowych, choć wiesz, że istnieje — i nawet gruba. Jest tu i tragizm i komika, jest coś z rzewności idylicznej i coś z żartkości satyrycznej, kropla płaczu i tercya śmiechu, a wszystko razem, ujęte w ramki ćwierć opisu, ćwierć morału, ćwierć zgryzoty i ćwierć — buty, błyskawicznie wierci się dokoła siebie, to gotowe do wybuchu, to hamowane rytmicznie. Często wśród uścisków i pieszczoty żgnie się jakiś dysonans, jak gdyby pocałunek miał być wyrzutem, a pociecha chłostą i gorzej, przytem nigdy nie jesteś pewny, w którą stronę finał się wyleje... „Hej! ty, panie, jasny panie, twarz marsowo ci się chmurzy... Czy syn gotów do podróży, że pierś twoją łamie łkanie? — Tam na ścianach malowidła twoich przodków rzędem wiszą, wieczór z kątów powiał ciszą, pył husarskie okrył skrzydła... Jakże dufni ci rycerze, ci obrońcy ziem narodu!... Jakże straszny żal cię bierze, jasny panie, z ich zawodu!... Pytaj głuchych malowideł, — gdy tak rwali się do czynu, wśród wolności czczych mamideł czemu z więzów swego gminu nie rozkuli do obrony?... Ale krwią wzgardzono gminu! Panom tylko liść wawrzynu!!... Gdzież ten wawrzyn dziś, niestety?... Kiedy wieszasz, czcisz portrety, więc z win przodków, panie jasny, zdaj rachunek... i z krwi własnej... Jezus! Marya! — wódki, żydzie!..."

Wielofarbna, różnolita, kilkotonowa przelewność formy i treści nastrojowej nie usuwa potrzeby, ale też i nie nakłada powinności jakiegokolwiek normowania budulcowych pierwiastków utworu według reguł koncentracyi harmonijnej. Przewaga nuty górującej wisi zazwyczaj w powietrzu na domyślnym haczyku oczekiwania. Cierpka, chłodna ironia każdej chwili parsknąć może z potoku tkliwości serdecznej, a dobry humor, żartobliwy wybryk w najwznio-

ślejszem miejscu przeciąć ma prawo posępne utyskiwania duszy. W tem *great attraction* nastroju. I nie ma na to lekarstwa: estetyczna wybredność człowieka nowoczesnego idzie w parze z jego wybrednością gastronomiczną i jest tej samej natury. Do nastroju czy do potrawy, w równym stopniu stosuje się gminna paryska przypowieść: *il faut beaucoup de bonnes choses pour avoir une bonne sauce.* Świadomi tajemnic kunsztu i rzemiosła, oswojeni z gustem wieku, mistrze wiązanego słowa słusznie dworują sobie z tych, co dziś żądają od nich prostoty, spokoju, jasności, dobroduszności. Krytyka nie popełni błędu, gdy do swojego ogrodu odniesie dwa kamyki, rzucone niedawno przez dwu celniejszych naszych poetów do książki zbiorowej, wydanej na rzecz warszawskiej kasy literackiej, p. t. „Sami sobie.” Stanowią one tak zwany dowód przeciwstawny lub odwrotnie-doświadczalny, wymownie świadczący, czemby wśród nas były, gdyby powróciły, obyczaje staropolskie, zbroje romulusowe, polewki spartańskie. Rydel w ładnym fragmencie epickim dał portrecik „Panny Anieli, bratanki plebana,” którą ksiądz „przed laty wziął małą sierotą, kiedy trwożliwa, żałobnie ubrana, koronę tylko z włosów miała złotą, — teraz wesoła, śmiejąca od rana, rządzi w ogrodzie, kuchni, stajni, strychu, a proboszcz nawet powiada po cichu, że i nim samym rządzi też potrosze” (220). Tetmajer w dwudziestowierszowej sentencyi „Z notesu” pokazuje, że kobieta — to „sfinks niezbadany, lecz tem się odróżnia, że w sfinksie tajń jest, a w kobiecie próżnia” (251). Z biegunowo przeciwnych światów pochodzą obadwa te nastroje, — i obadwa też po dawnemu, nie po dzisiejszemu zostały wyrównane, wygładzone, jednotonowo każdy na własnej strunce wyciągnięty; pierwszy przypomina czasy Euzebiusza Słowackiego, drugi — Antoniego Czajkowskiego. Ogłoszone na schyłku XIX stulecia wywierają dosłownie wrażenie takie, jak kiedy po lordowskich wetach u Wróbla lub Stępkowskiego wraca warszawiak do domu do siebie i bierze w usta kawałek najzwyczajniejszego ciasta, zaczynionego w najczystszej krynicznej wodzie i tylko nieco przesolonego u Tetmajera anty-feministycznymi aforyzmami Schopenhauera, a nie osłodzonego u Rydla do stopnia cienkuszowo-idealistycznych placuszków Coppé'go. Niezupełnie przesadza Lange; jeśli już mają być nastroje, niech też mają i w co się stroić, niech im do wolnego wyboru, razem i z osobna służą: rymy takie, jak „szczęki kutych w ogniu żelaz”, i takie — jak „echo jakichś wspomnień rajskich”, „jak nimfek pełna Anafielas” lub „jak samotna pustynia proroków hebrajskich” — i niech te rymy „dzwonią, jak rycerski brzeszczot”, niech „huczą, jak miedziane

gongi", niech tchną pocałunków różem a bielidłem pieszczot; niech marmurowe będą, „jak greckie posągi" i zarazem choćby tak „szalone, jak skoczne fandango"; niech się okadzają „piżmem, żywicą, hidrangą", niech będą zacięte, jak usta, w których „grób uśmiechu ślad ostatni zatarł" i niech działają, jak siwucha polskich chłopów lub bogów aryjskich „widomy awatar"; niech łączą wypukłość rond francuskich z chudością włoskich rifiorit, niech w grudniu mają czerstwość wiosny, w marcu jesienny koloryt i niech wśród lata kichają na zdrowie, jak zimowy katar.

Nie trzeba wszelakoż mniemać, aby owa wschodnio-bazarowa obfitość świecidełek gzymsowych przysporzyła poezyi naszej prawdziwych zaszczytów lub oszczędziła społeczeństwu rozczarowań i zawodów. O ile bowiem poecie „z bożej łaski" podobny zbytek przyborów i narzędzi ułatwi do pewnego tylko stopnia wydobycie z siebie, z kopalni swego uzdolnienia skarbów naturalnych, o tyle miernocie rymotwórczej „z woli tłumów" nastręczy nieograniczoną niemal sposobność i pochopność do osłaniania swej nędzy i fuszerki szychami zasobności fikcyjnej, sztukującej się figlami znawstwa i uczoności. Granica, oddzielająca utalentowaną bujność od wygadanego dyletantyzmu i wprawnego wyrobnictwa, tak jest w danych okolicznościach niepewna i zgmatwana, że jej najbystrzejsze oko często nie wyśledzi, na śledzenie zaś, wśród nieustannej migotliwości efektów zbagatelizowanych, szkiełek mniej więcej starannie szlifowanych, nikt nie ma dostatnio czasu i cierpliwości, w przypuszczeniu nawet, że czytelnik posiada niepokalaną dobrą wolę bacznego wnikania w istotę drobiazgowych sporów literackich. Choćby krytyk nie uczuwał w sobie najlżejszego drżenia owej żyłki człowieka głupiego, dla którego, według Fredry, niema większej radości nad radość znalezienia „głupszego od siebie", przenikliwość jego zatraca się i słabieje w ciągłem różnicowaniu wielkości nijakich i minimalnych. Niech kto poda sposób zwięzłego, porównawczego uwydatnienia fałszywego, napuszonego, robionego nastroju w ładniutkim wierszyku Wilhelma Feldmana („Album", II, 1075):

Dłoń niewidzialna z niebios wciąż miecie
Błękitne gwiazdki i białe kwiecie...
Idę, jak senny. Ton drżący spływa
Z każdym tym płatkiem, co mię okrywa —
I w sobie noszę ciche te tony,
Na sobie białość śnieżnej opony...
Idę, a marzeń mię duch kołysze...
I chciałbym czystą biel tę i ciszę

Zachować ciału — duszy na wieki...
Wtem dłoń podniosłem, a z bieli — *ścieki*
Spłynęły brudne... Tak w życiu całem
Kończy się *zawsze* ślub z ideałem...

tudzież najkompletniej kulawe, chybione i przesadzone wierszowanie w bezgranicznie szczerze nastrojonych i w skutek tego za ostro w prasie skrzyczanych „skrzypień” i „skowytów” duszy Koszutskiego... Najniebezpieczniejszą — i dla rzeczoznawcy i dla publiczności — jest ta właśnie okoliczność, że w „nastroju” dzisiejszym, z natury swej szeroko-wylewnym, ilekroć występuje na brzegi nizkie i płaskie, niepodobna często, wśród mgieł osobistej dowolności, odróżnić śmiałego falowania przed siebie zachcianki *niedorzecznej* swawolnej lub złośliwej od żywotnego poparcia idei, pomysłu, uczucia, które w zamiarach mogło być i szlachetne, i dzielne, ale któremu słowo podało deskę ocalenia albo zbyt kruchą, albo za ciężką, albo nad potrzebę długą, nieobrotną, erudycyjnie zaszlamioną, nawigacyjnie dziurawą... A dziury te bywają zdumiewające. Oto jest powszechnie znany i słusznie ceniony autor zbiorku „Na strunach duszy” i uwieńczonych na konkursie „Czasu” strof p. t. „Pax”; w niewielkiej wiązance tegoż poety p. t. „Intermezzo” (Kraków, 1897) znajduje się między innemi zagadkowej mocy nastrojami wiersz p. t. „Modlitwa...” Wezwijmy chyba biegłych telegrafistów do odcyfrowania tej depeszy. Jedno z dwojga. Jeśli to było pisane w widokach niepoważnych (quasi-parodya znanej improwizacyi z... a tchu nam braknie do zaokrąglenia hypotezy), w takim razie autor nigdy zapewne nie miał najmniejszego wyobrażenia o tem, o czem zapragnął mówić. Jeżeli zaś ma to być coś poważniej nastrojonego, wówczas z pewnością nie wiedział, co mu dolega i co z sobą narazie ma począć. Przytaczamy *corpus delicti* w transkrypcyi skrupulatnej, a w poczuciu brutalnie uciążliwego obowiązku...

Słońce zachodzi — i będę się modlił!
Głośno!
Ponieważ ja nie mam tajemnic przed Bogiem!
A ludźmi gardzę!
Będę się modlił pieśnią i chcę mieć wtór!
Słońce! ziemio i wichry! twórzcie mi kapelę!
Oto tęcza ogromna wisi na błękicie!
Słońce wiąże do niej promienie, jak struny do brzegu formingi!
A inne końce strun przytwierdza na śnieżnych szczytach gór!
Forminga gotowa!
Wznoszę dłonie i wiatry lecą na dany znak!

Przysiadły na strunach i czekają mego głosu!
Zaczynam — gnajcie, wichry!
Adonaj! Sabot! Jahweh!
Silniej! Potężniej! Straszniej grajcie!
Adonaj! Sabaot! Jahweh!
Szerzej! Potężniej! potężniej!
Adonaj! Sabaot! Jahweh!
Ziemia drży — Ja się modlę!
Adonaj!!!

W ogólności możnaby powiedzieć, ale dopiero po zejściu od takich hymnów do powieści prostszej, do sfer dostępniejszych naszemu pojęciu, mniej genialnie obłąkanych, że nastrój, nastrojowość, dopóty jeszcze trzyma się jako tako w skupieniu, dopóki w swych wzlotach, o ile podobna ziemskich, po ludzku napiętych, trzyma się szlaków *podmiotowych* i, podążając dokądkolwiek tam sobie chce, nie spuszcza z oka rudla psychologicznego; przeciwnie, idzie najzwyklej w rozsypkę, ilekroć całą parą wewnętrznego pędu przenosi się na grunta *przedmiotowe*, czyli, ilekroć liryzm, zygzakowo rozśpiewany, usiłuje jednocześnie lub naprzemian — wzorem wielkich przywódców romantyzmu — to i owo odtańczyć z przypuszczoną do równouprawnienia epiką. Spójrzmy np. na tę przepiękną, czystą, przezroczą i uroczą „Majówkę" Andrzeja Niemojewskiego, najzdolniejszego niezaprzeczenie i najsympatyczniejszego z naszych nastrojowców. Naturalnie, mamy tę książeczkę w ręku, znamy dobrze obie jej połówki, rzeczną i lądową. Szybujemy tedy z przedmieścia Pragi po Wiśle szarej do Płocka, który, jak wiadomo, jest „mazurskich miast wojewodą"; zaraz go zresztą zobaczymy, rozpartego na senatorskiej wzgórz ławie. Przesuwa się przed nami wzorzysta przygód wstęga: konkurencyjny pojedynek parowców Fajansa i Górnickiego, nawał i ciżba pasażerów, na beczce pokładu jegomość otyły, przy nim niemniej okrągła niewiasta z zaciśniętemi złowrogo usty, ich córka, „cud kapelusik przyćmił jej czoło, brwi, jak jaskółki w przelocie, nad rzęs gajami, włos heban, kąpany w złocie, głośna z papą rozmowa o dowastacyi i cichsza, na spojrzenia, z córką o miłości w małżeństwie, interwencya mamy i sen o opasłym geniuszu Głupoty... Trzask głuchy—i statek nagle osiada na piasku... Znów jazda... „Na żółtem wzgórzu wśród drzew niewielu, z Wisłą swą wnuczką u boku, Płock, niby starzec w fotelu i połatanym szlafroku..." Dalej — gościniec bity. Wesoło leci kuryerka szosą, i trąbka wesoło dzwoni... Dookoła drzemie mgłami skryty łan srebrny zroszonych kwieci, słońce zapada w jasne błękity, kuryerka leci a leci. Leci kuryerka gościńcem żwawo, noc pierzcha zwolna po

błoni, na wschodzie zorza wypływa krwawa, znów trąbka wesoło dzwoni. Dalej i dalej... Już niedaleko... W ten lasek! — teraz na prawo!... „Ty, łzo, nie szukaj dróg pod powieką! — ty, serce, nie bij tak żwawo!" — To Rokitnica, „wieś ma rodzinna, w mgle siwej szarzeje zdala, — kuryerka, niby jaskółka zwinna, sąsiedni wzgórek okala..."—Wszystkie te szczegóły upodmiotowane i wszystkie te rozmyślania uprzedmiotowane, to jaskrawe, to zamroczyste, to swawolne, to patetyczne, dopóki się kąpią w chyżej i rozigranej, lecz czujnie przez refleksyę na wodzy trzymanej fantazyi, tracą w tem odbiciu szorstkie kontury i nadmierne zabarwienie szorstkiej konieczności, — nie wypierają się wzajemnie, nie skaczą do oczu, nie boksują się z sobą. Lecz oto podróżnik staje u bramy. Z ganku siostry wypadły z krzykiem: „Jędrku, mów, cóż *znowu* się stało?"—Niemojewski, Mazur snać rodowity, opowiedzieć wraz przecie musi przechodniom, zanim siostrom odpowie, że: „jeśli człek rzadko skręcał do domu, to z dobrą wieścią najrzadziej, zwykle z jakiegoś wracał pogromu, czując, że sam nie poradzi — i po rezerwę przybywał raczej w smutnej pieniężnej potrzebie, — tem się ambaras krewnych tłómaczy, kiedy go ujrzą u siebie." Przyjemnego zawodu doznały tym razem dziewczęta... Więc „po upuście wstępnej rzewności" jęły szczebiotać weselej: „Ach, jakżeś wyrósł! Sprosimy gości... Dawno cię nie widzieli... Poznasz się z bardzo ładną panienką, olśniła pół okolicy... Co wolisz, jajka na twardo, miękko?... a może chcesz jajecznicy?..." Na front, na pierwszy plan wysuwają się grupy zdarzeń konkretnych, zwierzenia, narzekania na złe czasy, przypomnienia, wrażenia dawne — o tyle wszakże silne, że same za siebie chcą mówić i mówią językiem własnym, spierają się, kłócą, warczą, biorą się za bary i gryzą, wtedy, gdy subjektywizm bieżący, bierny i czynny, nabiorczy i spostrzegawczy, raz rozdmuchany i rozmachany, również nie życzy sobie ustąpić z drogi. Powstaje stąd proces dwu światów, wołających o wyodrębnione istnienie, o swe prawa do samorządu, raz po raz znieważane, — proces zawsze jeszcze u Niemojewskiego dość interesujący, ale zasadniczo, estetycznie mieszczący w sobie co najwyżej tyleż zdrowego sensu i logiki, ile tego jest w utyskiwaniach i projektach panien Niemojewskich: „...Potem zaczęły płakać nanowo, że wszystko na marne idzie, każdemu klęska wisi nad głową i wszędzie słychać o biedzie... Gdzie to te czasy, czasy niedawne, gdy wszystko było inaczej? — Huczne zabawy, kuligi sławne... Dziś nikt i zajrzeć nie raczy... I znowu jęły śmiać się z radości, żem do nich wpadł choć na krótko... Zostań! zamieszkasz pokój dla gości, zobaczysz, jak tam milutko...

Pokochasz ciszę, — ciszę wioskową, poczujesz moc jej tajemną... Nie możesz?... Czemu?... — i tu nanowo poczęły płakać nademną...”

Nastrojów, wybijających się ponad dotąd przytoczone czy to budową artystyczną, czy doniosłością pomysłu — nie znamy. Rozstrzęsione hałaśliwie i podarte na impresyonistyczne szmatki — waryacye muzyczno-improwizatorskie Przybyszewskiego wymykają się z karbów poszukiwania; mają one na widoku radykalną reformę sztuki, obyczajów, religii, że dziecińStwem wobec „nadczłowieczych” tych zamierzeń wydaje się nawet „Modlitwa” w akompaniamencie „formingi”, trzęsienia ziemi i wykrzykników: Jahweh! Adonai! Za młode to zresztą wino, trzeba zaczekać na opadnięcie mętów. Wytrawniejsze znowu okazy, z wcześniejszych plonów — szybko dziś pleśnieją. Czem i w co się ulotnił wynoszony w swoim czasie mussetowski i heinowski aromat zaduszkowych i wielkanocnych efemeryd Mirona? Kto po dziś dzień dotrwał w wierze, że Béranger polski prześcignął Rodocia francuskiego? Którą mianowicie z humoresek Stebelskiego niezapominajkami ukwieci początek wieku XX-go? — Jest wprawdzie okrom tego spory zastęp sił poetyckich, których imiona ukazują się przygodnie po czasopismach pod rymowanemi opracowaniami w duchu lub w stylu, budzącym zachwyt jednodniowy. Ale z poetów doświadczonych, wymienionych w „Albumie” Kasprowicza, niektórzy już się wyłącznie poświęcili powieściopisarstwu lub publicystyce, jak Michał Bałucki lub Maryan Gawalewicz, inni powoli wstępują w ich ślady, jak Kazimierz Gliński, Czesław Jankowski, Włodzimierz Zagórski; sam nawet Gomulicki o wiele częściej przemawiać dziś zaczyna w języku ludzi, niż bogów. Szeregi pieśniarzy nie rzedną, owszem gęstnieją, gromadzą się chóralnie, ale nad chórami panuje unisono rozbite, wrzaskliwe, i nie widać znaków, stanowić lub zapowiadać mogących jakąś wydatniejszą, bardziej znamienną charakterystykę ducha czasów. Kto temu skołatanemu zmiałczeniu winien, jeśli jest czyja wina? Winni ma się rozumieć — „starzy...” Torem, wytrzebionym i wygnieciony przed laty kilkudziesięciu, groźnie o tem ostrzegają „młodzi” najświeższej daty. „Z kurhanów tamy spiętrzacie wy”, — powiadał niedawno piewca „Krzyżaków” (1885) i „Tatr” (1886), Franciszek Nowicki, — spiętrzacie po to, „by słońca prawdy zatrzymać bieg, lecz pamiętajcie, że młodzi my, a wam *przeżytą* skroń bieli śnieg...” Dosadniej jeszcze przemawia za dni naszych Władysław Bukowiński (Selim), — rzutki, śmiały, energiczny krytyk i pole-

mista, autor wydanego w r. 1898 tomiku poezyi p. t. „Z marzeń i życia:” „Że głowy wasze już pokrył szron zwykłej u starców siwizny, więc w alarmowy bijecie dzwon, *nas potępiacie* ze wszystkich stron, spać nam każecie, jak sami śpicie, niby dla dobra... ojczyzny... Że w żyłach waszych ostygła krew, a w piersiach zabrakło głosu, zagłuszyć chcecie wolności śpiew, co, jak szum młodych dębowych drzew, o życiu świadczy i budzi życie wśród różnych haseł chaosu... Pozwólcie naprzód, ach, naprzód iść, kruszyć przesądów obroże, wierzyć, że musi świt jasny wznijść, zrywać swój własny wawrzynu liść — i, zanim zwiędnie ten liść wawrzynu — w świetlanem bujać przestworze!...”

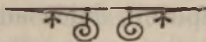
Gdzie są owe „tumy”? kiedy słyszano owe „alarmy”? kto komu mianowicie bronił „bujać w przestworzach świetlanych”? nadewszystko zaś, w jakich wiekach i podziemiach gnieżdżą się owi oryginalni „starzy”, którym włos od tak dawna bieleje i zbieleć nie może, którym krew w żyłach stygnie w ciągu dwu już niespełna pokoleń i trzeciemu z rzędu doskwierać zaczyna? — Należałoby dokładnie rozstrząsnąć te kwestye ze względu, że, im społeczeństwo ciemniejsze i biedniejsze, tem łacniej lgnie ono do nastrojów inkryminacyjnych i tem uporczywiej, w następstwie tych inkryminacyi uwierzytelnionych, puszczonych płazem, — brnie w biedę i ciemnotę...

(*dok nast.*) *Kazimierz Włostowski.*



„ŻYDZI“

Obraz dramatyczny, osnuty na tle prześladowań Żydów w połowie XIV wieku *).



DZIEŃ TRZECI.

W SYNAGODZE.

(Przez wązkie okna wpadają czerwone promienie zachodzącego słońca. **Jozel** i **Terdoch**, słudzy przy świątyni, zawieszają pająki u ścian).

Terdoch (do stojącego bezczynnie Jozela).
Jozel!... czyś zasnął?

Jozel. Skończyłem robotę
I mógłbym śmiało postradać świadomość
Na godzin kilka.

Terdoch. Ba!

Jozel. Co tam?

*) Patrz „A t e n e u m“, kwiecień—maj 1900.

Terdoch. Chodź tutaj —
Muszę się z tobą podzielić zdobyczą.
Jozel. Pieniądz znalazłeś?
Terdoch. Jeszczem go nie schwytał —
Jozel. Więc?
Terdoch. Baśń ci splotę —
Lecz ty ją utaj
Tak, by z rabinów nikt się nie dopytał,
Co masz w zanadrzu.
Jozel. Mówisz tajemniczo —
Terdoch. Bo tajemniczo zdobyłem wiadomość,
O której nie wiem, jakie wysnuć zdanie.
Jozel. Zagadka?
Terdoch. Dzisiaj będzie rozwiązanie.
Jozel. No — co tam?... Gadaj!
Terdoch. Między bracią naszą
Zaczęły chodzić niespokojne szepty,
Które, jak gromy, nim uderzą,—straszą.
Kto je rozpuścił, dojdź ładu w tym wrzątku!
Ci Jonatana, inni Roboama
Wskazują,—pewnem tylko jest, że sama
Wieść się urodzić nie mogła, lecz łeb ty
Ukręć — nie zmacasz początku!
Jozel. Cożeś ułowił w sam raz przed szabasem?
Terdoch. Zapuścisz wędkę na płoć — a tymczasem
Sum się uchwyci. W przedsionku świątyni
Wczorajszej nocy zeszli się rabini,
Mistrze kahału i radnych połowa.
Wśród nich Roboam stanął i wywodził
Jakąś rzecz długą. Wchód został zaparty,
Zatknięto we drzwiach dziury, by nie wchodził
Wiatr nawet. Do ścian przyłożyłem ucho.
Rabini szeptali głucho —
Jonatan przewracał karty
Talmudu i czytał słowa...
Za każdym nowym wyrazem
Jakiś okrzyk oburzenia
Wstrząsał przedsionkiem sklepienia,
Aż wszyscy: „Winien!" zawołali razem.

Jozel. Kto? kto?...

Terdoch (cicho). Ezechiel!

Jozel. W czemże jego wina!

Terdoch. Ba! tak krzyknęli. Ubiegła godzina
Może, a może więcej — bo czas leci.
I oto wyszedł jeden, drugi, trzeci...
Każdy z ściągniętą brwią, iskrzącem okiem,
Jakby szli z groźbą jakąś lub wyrokiem,
Nie mogłem ustać, biegłem pokryjomu
Za nimi.—Weszli do Rabbiego domu
I, pył strząsając z obuwia, tak rzekli:
„Otośmy dzisiaj chleb przaśny upiekli
„I takie wielkie rzucili zaklęcie,
„Że, gdy go dotknie niewierny,—dotknięcie
„Sinego trądu naznaczy go piętnem...
„A jeśli chleb ów skosztuje dwa razy,
„Z plam tych wystąpi wstrętny gnój zarazy
„I na świat będzie patrzał okiem mętnem.
„Zgrzeszyłeś, Rabbi!... Nie uwierzym póty
„W czystość twych myśli, aż ten chleb zatruty
„Do ust podniesiesz: jeśli win niemało
„Masz — trąd szkaradny osypie twe ciało".
On wziął chleb klątwy, podzielił w kawały,
Zjadł kęs po kęsie i był, jak śnieg, biały.
Wrócili znowu w przedsionek świątyni,
Jonatan do rąk talmud wziął, rabini
Szeptać zaczęli—i — zdjęły mnie dreszcze...
„Winien!" krzyknęli raz jeszcze,
A Rabbi był u siebie, nie słyszał okrzyków,
Które echo od ścian tych odbiły z łoskotem —
Dał mi czterdzieści świeczników,
Wezwał lud do synagogi,
Sam wkrótce wejdzie w jej progi,
Ale czy wyjdzie z powrotem?...

Josel. Pst!... pst!...

(Wchodzi **Ezechiel** zamyślony).

Terdoch. (cofając się). Rabbi!

Ezechiel (idąc powoli, d. s.).
Czerwony
Zachód słońca! Na traw kiściach,

Gzemsach domów i drzew liściach
Błyszczą świateł długie sople,
Jak łzy drżące, a jak krople
Krwi — szkarłatne. Lud się trwoży,
Widzi w barwie tej gniew boży,
W purpurowy blask zmieniony.
Straszna siła nieszczęść!... Lada
Wiatr lub inny znak w naturze —
Widzą klęski, słyszą burze,
Drżącą wargą szepcą: biada!
Chwilę krótką, chwilę jeszcze
Niech utrzymam was w swej dłoni:
Miną dreszcze,
Strach przegoni,
Spełnią się sny wieszcze!
(Po chwili w zamyśleniu).
Król... Estera...
(Zwraca się).
Jest kto?

Jozel i Terdoch. Rabbi!...

Ezechiel (nie widząc ich—po chwili, rozpatrując się). Synagoga!
Pod tę strzechę
Domu Boga,
Gdy za chwilę
Szary mrok owładnie niebem,
Noc rozrzuci
Płaszcz swych ramion:
Po pociechę
Przyjdą słabi,
Przyjdą struci,
I modlitwą ich posilę,
Jak mnie oni klątwy chlebem.
Ślepi! ślepi!... Ja ich wiodłem
Po wzburzonej dziejów fali —
Miłość była mojem godłem...
Oni mi chleb klątwy dali,
Oczekując trądu znamion!
(Obraca się).
Jest kto?

Jozel i **Terdoch.** Rabbi!...

Ezechiel. Zapalcie światła!.. Płomyki
Błękitne niechaj zapłoną —
Zażec te wszystkie świeczniki,
Pająki zwiesić u ścian...
Śpieszcie się!... blaski dnia toną,
Na modły czeka Pan!

(Za pomocą saletrzanej nici zapalają światła i wychodzą. — Ezechiel wyciąga ramiona).

(W zamyśleniu).

Modły!... Minął dzień Sabatu,
Jak promienny widma cień — —
Teraz nadszedł sądu dzień...
Dzień mojego majestatu!...
Widzę, błyska słońce zdala,
Lśni na niebie tęczy łuk —
Grom ostatni wyda huk...
I ostatnia pęknie fala.
Witam ciebie, dniu spokoju,
Po tułaczki długich latach.
Taką pełnię czuć swobody
Noe musiał, gdy pot znoju
Z czoła otarł, kurz na szatach —
Gdy potopu spadły wody,
Ścichła burza rozszalała,
A na szczycie Araratu
Jego arka się wstrzymała.
Za mną pozostała głębia,
Wypełniona krzykiem ludu...
Jak on, i jam zaznał cudu
I białego słał gołębia.
Nawet moja myśl wyszuka
Podobieństwa większe ślady:
Przy gołębiem — skrzydło kruka,
Ptak pokoju i ptak zdrady!...
Lecz wiedziony ręką bożą
Złego ziarna zniszczę trąd —

Sądy ludzkie mnie nie trwożą,
Pan nade mną dzierży sąd!

(Z za kolumn wybiega **Estera**).

Estera. Ojcze!
Ezechiel (z uśmiechem radości).
To ty — ptaku biały! —
Co zaś?... Wzrok twój trwogą patrzy — —
Od ust twoich nie jest bladszy
Marmurowy odłam skały — —
W takiej chwili!...
Estera. W takiej chwili!
I dlatego czuję strach — —
Podźwignięty krwią i potem
Z gruzów przeciągłym łoskotem
Może runąć gmach!...
Więc się nie dziw, że to czoło
Trupią się białością pyli —
Że mam bladą twarz, jak chusta,
Pierś jęczącą, drżące usta,
Włos rozwiany w znak niedoli,
Dreszcze strasznych chwil zwiastuna:
Każdy nerw mi drży, jak struna,
Każdy włos ten boli!
Noc dokoła, cisza wkoło,
Blade światła się kołyszą...
Oni przyjdą tu — z tą ciszą,
Wielkiej klątwy znak wypiszą,
Włożą na twe czoło! —
Ojcze! ojcze!... Mająż marnie
Wieków długich zginąć łzy?...
Ezechiel. Zali widzisz znów męczarnie?
Estera. A ty nic nie widzisz — ty?
Ezechiel. Ja?
Estera. Pobladłeś!
Ezechiel. Nie!... to blask
Padł pochodni. Skąd twój ból?
Estera. Swoje serce dał mi król
I z tem sercem tysiąc łask,
Tysiąc praw dla Izraela
Pada z woli majestatu —

A ten koniec dnia Sabatu
Woła na twój lud mściciela!

Ezechiel. Cicho, trwożny mój motylu!
Zlękła myśl twa z prawdą w wojnie.
Dzień dzisiejszy?... Od lat tylu
Ten jedyny dzień znachodzę,
W którym płoną tak spokojnie
Złote światła w synagodze.

Estera. Płoną krwawo!...

Ezechiel. No — nie bladnij — —
Uroczysty dzisiaj dzień! — —
Za chwil parę przyjdą radni...

Estera (jak echo). A za nimi krwawy cień — —

Ezechiel. Gdy się lękasz mar — idź stąd!

Estera (drgnąwszy). Słyszysz?... płyną szeptów szumy —

Ezechiel. Na modlitwę śpieszą tłumy —

Estera. Nie! na krwawy idą sąd!

Ezechiel. Strach nie mieszka w sercu mem — —

Estera (z mocą), Sąd na ciebie!...

Ezechiel (powoli i spokojnie). Wiem — wiem — wiem! —

Estera. Ty nie mdlejesz?...

Ezechiel. Zbór rabinów
Wybrał starszym Jonatana.
Wejdą — sędzie moich czynów,
Przed tym sądem stanę śmiało,
Z jasnem okiem, z twarzą białą —
To wiem — reszta mi nieznana.

Estera. Czy zwyciężysz? — Wszak Zakonu
Przemieniłeś święte słowa
I tem w serceś ich ugodził.
Rzekłeś: Mesyasz się narodził...

(Ciszej).

Jest inaczej w prawie naszem.

Ezechiel. Lud stawiłem przed Mesyaszem,
Jeruzalem dałem nową.

Estera. To cię zgubi!

Ezechiel. Któżby śmiał
Podnieść na mnie miecz swój mściwy,
Gdy z ust moich — jak Bóg żywy!
Piorunowych tysiąc strzał

Skoczyć może i uderzyć
Gromem wspomnień i przed oczy
Cud postawić, że uwierzyć
Każdy musi w sen proroczy
Co się wyśnił nam?...
W niedoli
Dniach, gdy krwawe miecze błysły,
I rozpaczą oszaleli,
Przed dniem szczęścia zginąć chcieli:
Uspokoił kto umysły,
Przez krwi morze szedł powoli
Do Wawelu bram?...
Grozisz sądem! Z piekieł duchem
Byłby dzisiaj kat —
Bo myśl moja niewcielona,
Wpół urwana, wpół zduszona,
W czarną przepaść by zapadła
I do snu się tam układła
Na tysiące lat.
Czym zwiódł
Snu pragnących? czym łańcuchem
Prawd nie pętał? czy po mękach
Lat piekielnych — na tych rękach
Nie odpoczął lud

(Wskazuje wchodzących).

Ten sam?

(Wchodzi **Tłum.** Na czele postępuje **Jonatan** w szatach sędziego, za nim **Rabini**, wśród nich **Roboam**. Idą z powagą i ciszą wielką, zajmują miejsca. Jonatan zbliża się do ławy, znajdującej się na podwyższeniu).

Estera. Z jak straszną idą ciszą — —
Ezechiel. Witajcie!

(Milczenie).

Estera. Z twoich słów szydzą —
Ezechiel. Sędziowie!
Estera (łamiąc ręce). Oni nie słyszą,
Swego proroka nie widzą!...
Jonatan (z podwyższenia). Z woli dziś waszej obrany,
Siadam na sędziowskiej ławie — —

Przed wasz trybunał postawię
Tego, co został skazany
Na z szat kapłańskich odarcie.
Niech każdy rzuci pytanie,
Na każde niech on odpowie —
Ale biada jego głowie,
Jeżeli słów mu nie stanie!
Siadajcie! — Noc i mgły
U tych świątyni podwoi
Stanęły strażą na warcie.

Ezechiel. Kto oskarżony?

Jonatan. Ty!

Ezechiel. Gdzie oskarżyciel?

Roboam (podnosząc się). Tu stoi! —

Estera. Niegodni!

Jonatan. Cicho!.. Tu sąd —
Głos niewiast kazi świątynię;
Najwyższy sprawuję rząd
I zadość prawdzie uczynię.

(Do Ezechiela).

Zdejm szaty!... My cię wyzuli
Z kapłaństwa świętych praw —
Stań tu w śmiertelnej koszuli,
Swój grzech przed nami staw!
Powtórz bluźniercze swe słowa
Lub głową uderz w proch!...

Roboam (do przebranego Ezechiela). Czołgaj się — żmijo!

Estera (widząc ojca w koszuli śmiertelnej). Jehowa!

Ezechiel. Zbrodniarz przed wami!

Estera (padając o filar). Och!

Jonatan. Niech każdy jedno rzuci mu pytanie —
Na każde niech on odpowie;
Lecz biada jego jest nieszczęsnej głowie,
Jeżeli słów mu nie stanie.
Pytajcie — jego odpowiedź
Naszych sądów będzie miarą —

(Do Ezechiela).

Niewinności swojej dowiedź
Lub stań się hańby ofiarą! —

I Rabin (wstając). Mędrcem mnie zowią, bo wśród pracy trudu
Zbadałem wszystkie tajniki talmudu,
Wchodziłem w siebie, wychodziłem z siebie
I wierzę w rozum tak, jak nikt nie wierzy —
A jednak próżno w dumaniach się grzebię
I pytać muszę: mów — gdzie prawda leży?
Ezechiel. Wiem jedno tylko: niemasz jej u ciebie!...
Roboam (do pisarzy). Te słowa ciężkiej obrazy
Zapiszcie w księdze trzy razy.
Jonatan. Pytanie drugie.
2 Rabin (wstając). Zgłoskami wielkiemi
Stoi w zakonie, że z syny ludzkiemi
Kobiety nasze bez ciała splamienia
Mieszkać nie mają. Ażali dziś — może
Niewiasta łamać przykazanie boże
I kochać króla obcego plemienia?—
Odpowiedz, rabbi! sąd twój jak wypada?
Ezechiel. Miłość ma państwo swoje, w którem włada!
Roboam. Piszcie! niechaj będzie widny
Wszeteczeństwa czyn ohydny!
Jonatan. Teraz niech trzeci powstanie z kolei!
3 Rabin (wstawszy). Ciało me tutaj, serce me w Judei—
Czyż się przed twoim sądem nie ostoję?
Ezechiel. Gdzie ciało twoje, zostaw serce twoje!
Roboam. Piszcie zgłoskami wielkiemi
Że się swojej wyparł ziemi.
Jonatan. Niechaj powstanie czwarty ze starszyzny
I niech pytanie umieści przed sobą —
4 Rabin. Więc się wyrzekasz ojczyzny?
Ezechiel. Prowadź do niej — pójdę z tobą! —
Roboam. Słyszysz, Jonatan!
Jonatan (wstaje) Sędziowie!
Przeklęty ten, kto powie,
Że w nim nie mieszka szatan! —
Słyszeliście odpowiedź wraz —
Pytaniem mędrców my pytali!
Kłamcami zrobił wszystkich nas,
Cośmy w mądrości wiek sterali.
Odjął nam prawdy poznanie,
Znieważył sądu zebranie,
Niewiastom czynić grzech pozwala,

Żydowskim sercom każe
Rzucić pamiątek ołtarze — —
Chleb klątwy go nie wala,
Zarazy nie tyka trąd — —
Pod sąd!

Roboam. Podnieście wołanie!

Tłum. Pod sąd!...

Jonatan (do Ezechiela). Ukorz się, duchu niesforny,
Bo dni twe są policzone —
Lecz, patrząc na twój włos siwy,
Gdy będziesz cichy, pokorny,
Wydamy wyrok niemściwy.

Ezechiel. Nic nie mam na swą obronę.

Jonatan. Uporny starcze! Czy mniemasz,
Po liczbie dawnych swych czynów,
Żeś wyższy nad zbór rabinów
I sądu nad sobą nie masz?
Że broda srebrna, wiek stary,
Lata, w kapłaństwie minione, —
Mogą powstrzymać miecz kary?

Ezechiel. Nic nie mam na swą obronę

Jonatan. Kamienne serce!... Rzuć okiem,
Gdzie córka twoja w boleści
Łamie ramiona i szlocha...
Starcze! to dziecię cię kocha,
Obłąkanym patrzy wzrokiem,
Nie chce zmazy twojej cześci.
Spójrz na czoło jej schylone,
Które się rozpaczą chmurzy...
Ukorz się — wstrzymaj grom burzy!...

Ezechiel. Nic nie mam na swą obronę.

Jonatan. Więc wyznań chcemy — niech wiedzą
Ci, co w trybunalskiej sali
Przed najwyższą radą siedzą,
Za co ciebie grom nasz wali.
Każde słowo cię obwini,
Bluźnierczymi tchnie wyrazy —
Zrysują się w wielkie skazy
Nowe mury tej świątyni.
Wyznaj!

Ezechiel. Tak — jestem bluźnierca...
I wiem, w czem moja jest zbrodnia,
Bom płonął tak, jak pochodnia,
Paliłem ogniem wam serca.
I gdy lat strasznych wyroki
Groźbą zabłysły —
W płomień zmieniałem umysły,
Piersi — w opoki! —
Jak słup Mojżesza ognisty,
Skrzący się skrami,
W noc ciemną, w każdy dzień mglisty
Szedłem przed wami.
I gdyście męczarnią życia
Znużeni chcieli umierać —
Kazałem w niebo spozierać,
Bezmierne błękity mierzyć
I z ciemnych chmur opowicia
Boga wydostać — i wierzyć,
Że lud wasz po falach wód chodził —
Że piorun, co w was ma uderzyć,
Jeszcze się w chmurach nie zrodził.
Szerokim wiodłem was światem —
Wspomnienia dzisiaj mnie straszą...
Wolałem widzieć śmierć waszą,
Niż pochylonych przed katem;
Wolałem, byście o głazy
Piersi rozbili, niż brudu
Ziarno w was dostrzedz, choć trudu,
Łez waszych szkoda mi było
Chować pod wielką mogiłą —
Ale wolałem sto razy,
Idąc drogami krwawemi,
Zawieść cię, biedny mój ludu,
Do nowej Chananu ziemi.
Ten zbrodniarz szedł wciąż przed wami,
Z przed oczu nie tracił celu —
Nieraz mu serce omdlało,
Lecz podtrzymywał duch ciało,
I oto — mury Wawelu,
Szczęście — przed wami!...
Sto w synagodze lamp co dnia

Błyśnie na chwałę Jehowie...
To wina moja, to zbrodnia,
Grzech mego życia — sędziowie!

(Szmer uniesienia).

Tłum. Ezechielu!
Roboam (przerażony). On zbłąkany
Lud na wodzy słów swych trzyma —

(Podbiega).

Gdzie Mesyasz przyobiecany?
I gdzie jest Jerozolima?
Ezechiel. Wiem, synu nocy, w coś godził —
Głos twój, wzrok mnie nie zastrasza:
Tu Jeruzalem jest wasza,
....I Mesyasz już się narodził!
Tłum. Szalony!
Roboam. Targać w kawały,
Sprośne ciało rwać na ćwierci...

(Tłum rzuca się — Estera zasłania ojca).

Estera. Stójcie! on ma włos tak biały...
Roboam. I dlatego winien śmierci!...

(Dobytym nożem przebija Ezechiela).

Estera (z krzykiem). Krew! krew!.. (pada na trupa). Ojcze!...
Roboam (z okrwawionym nożem w ręku). Padł bluźnierca,
Który zmieniał myśl zakonu,
Kłamcą był w godzinie zgonu,
Więc mu wbiłem nóż w głąb serca.
Proroctwami tłum ten zwodził,
Dziś — zawarte usta trzyma.
Głos Ezechiela (z góry). Tu wasza Jerozolima,
...I Mesyasz już się narodził!
Roboam (kopiąc go nogą). Trupie!
Estera. To jego duch woła,
Swojem sercem do was bije.
Kiedyś jego myśl odżyje,
Wionie skrzydłem archanioła.

Tłum. Z tobą, z tobą, Roboamie!
Estera (z bólem). Kogo oni tam wołają!
Roboam. Ja wam daję chytrość węża,
Jad skorpionów, siłę złota — --
Oto moc jest, co zwycięża
I ogłasza hukiem młota!
Tłum. Z tobą, z tobą, Roboamie!...
Estera (jak wyżej). Kogo oni tam wołają!
Jonatan. Trup w świątyni!... Krwawe znamię,
Zrzucam z siebie — ma płomienia
Własność — pali!
Roboam. Co ci?
Jonatan. Dreszcze
Przeszły ciało. — Twoja wina!
Roboam. Wiedz! tak giną ci, co mają
Do łamania praw pochopność.

(Zwraca się do Jozela).

Daj naczynie — niech obmyję
Krew...

(Myje i patrzy na ręce).

Przylgnęła, jak gadzina —

(Myje mocniej).

Jeszcze znać ją—(trze). Jeszcze—jeszcze!..

(Odwraca twarz).

Na pierwotny dzień Sabatu!
Ja nie zniosę aromatu
Krwi tej! —

(Trze z całą gwałtownością).

Jeszcze znać?!

(Z przerażeniem).

Okropność!
Czy tak ona przetrwa lata,
Zamieniona w krwawą ranę,

Nieobmyta?!... Z niąż tak stanę
Na dolinie Józefata,
Gdy nad bezdnią wszechstworzenia
Rozegrzmi się boży sąd?...

(Z szałem).

Krwi okropna — precz... precz stąd!...

Chór Duchów. Nie zmyjesz jej, Roboamie,
Póki nowych wieków znamię
Promienistej wstęgi kołem
Nie zaświeci nad twem czołem;
Póki sercem nie uderzysz
W rytm wraz z dziećmi onej ziemi —
Nie zapłaczesz łzy krwawemi,
Głębi bólu jej nie zmierzysz;
Póki obca pierś dziś twoja
Nie nabrzmieje wspólnym żalem,
Nie zakrzyczy: Matko moja,
Moja święta Jeruzalem! — —

(Blask z nieba oświeca trupa Ezechiela i klęczącą Esterę. Roboam stoi w przerażeniu z plamami krwi na rękach i szatach).

Kazimierz Gliński.

KONIEC.



Nowa ewangelia

czyli

OSTATNI ROMANS ZOLI.*)

„Niechaj się dzieci rodzą, niech staną się źródłem bogactwa, przysporzeniem kapitału ludzkości, przyczyną szczęścia i wolności. Niech dzieci jednych nie równają się trzodzie, odrabiającej pańszczyznę, pędzonej na rzeź, skazanej na prostytucyę gwoli zadowoleniu chuci i żądz dzieci drugich a wtenczas zwycięży życie, życie się odrodzi, zapanuje cześć dla życia, religia życia, tak długo przez nieznośną zmorę katolicyzmu duszonego. Dwukrotnie już, w piętnastym i osiemnastym wieku, daremnie usiłował świat wyswobodzić się z tych więzów, aż w niedalekim czasie straszliwą zmorę pokona płodność ziemi i płodność kobiety. To jedyny kult przyszłości; to wszechmocna i wszechwładna racya bytu; to piękno i szczęście najwyższe“.

Oto jest nauka, zawarta w pierwszej ewangelii *secundum Zola*. A będzie tych ewangelii cztery, według imion czterech ewangelistów Jana, Mateusza, Marka i Łukasza.... z plemienia Froment. „Płodność“ przypadła Mateuszowi w udziele. A zatem *Crescite et*

---

*) Fécondité. Paris. Bibliothèque Charpentier, 11 rue de Grenelle, 1899, str. 750.

multiplicamini. Stara to rzecz, jak nasz stary świat. Lecz o ileż słowa księgi rodzaju są wymowniejsze w swej treściwości, niż cały tom o 750 stronicach zbitego druku nowego mesyasza! Dlaczego? bo jest w nich wspaniałe uwieńczenie aktu tworzenia. Bóg, obdarzywszy człowieka duszą, rozniecіwszy w nim iskrę nieśmiertelną, odsłoniwszy mu nieskończoność, utrwalił jednocześnie panowanie jego na tej ziemi. Panowanie to atoli miało być tylko przejściem doczesnem, nie zaś ostatecznym celem istnienia. Poza popędem płciowym jaśnieje jeszcze gwiazda czystej miłości. Rozradzanie się na podobieństwo królików nigdy stanowić nie będzie ideału, do którego dążyć mają ludzie bez wyparcia się właśnie najszczytniejszych praw człowieczych. Dziewiętnaście już wieków minęło, jak nam prawdziwi ewangeliści objawili naukę Chrystusową. „I będzie was dwu w jednem ciele", albo: „Zaprawdę powiadam wam, wiele jej będzie odpuszczonem, albowiem wiele kochała". I jeszcze: „Ktokolwiek z was bez zmazy, niechaj pierwszy rzuci kamieniem na tę kobietę"! Wobec tych słów, tchnących nieograniczonem miłosierdziem, jakżeż nierozważnemi wydawać się muszą następujące oskarżenia, miotane przez autora „Płodności":

„Chrystus nie miał ani ojczyzny, ani dziedzictwa, ani zawodu, ani rodziny, ani żony, ani dzieci, Chrystus jest uosobieniem niepłodności. To też pierwsze sekty chrześcijańskie brzydziły się małżeństwem. Dla świętych kobieta staje się przedmiotem wstrętu, śmietnikiem, utratą zbawienia. Bezwzględna czystość była doskonałością: bohaterem — asceta samotnik; dziewiczość czczono, jako ideał kobiecy. Później dopiero kościół ustanowił małżeństwo dla uśmierzenia i uregulowania popędliwości zmysłowych. Małżeństwo uważanem było, jako zło konieczne, jako stan grzeszny, dozwolony w pewnych tylko, zastrzeżonych z góry warunkach. Dzisiaj jeszcze, jak przed osiemnastu wiekami, mąż wiary i łaski, mąż wybrany wystrzega się kobiety, wypiera się postępu, odrzuca rozkosze życia... Lilie jedynie... lilie niepokalane wonieją w niebiosach"...

Hejże, panie Zola, religia nie jest zmorą, dławiącą ludzkość! Najliczniejsze rodziny we Francyi! są te właśnie, których pożycie ściśle podlega przepisom wiary. Chrystus nigdy nie potępił miłości, nie obniżył kobiety, małżonki, matki, — przeciwnie, wyswobodził ją, uświęcił, wywyższył. Są to elementarne zasady etyki chrześcijańskiej. Słusznie więc krytyk poczuwałby się w prawie zarzucić autorowi nieuctwo lub złą wiarę. Lecz nie pójdę tym torem; broń Boże, bym nie przyznawał Zoli olbrzymiego talentu. Wiadomo wszystkim, że cyklopi gigantyczne wznosili dzieła... A czyż wpadnę w zbyt rażący paradoks, gdy nazwę Zolę polifemem ówczesnej beletrystyki? Wyłamuje on świat podziemny,

wykuwa galerye i krużganki z kamienia. W tych czeluściach jedyne jego potężne oko rzuca ponure światło. Podziwiamy masywną architektonikę, lecz trudno nam wytrwać w dusznych sklepieniach. Brak powietrza, przestrzeni, tchu! Ciężar nieznośny piersi przytłacza; ogarnia niesmak, lęk, rozstrój, przygnębienie. Śmieszy nas wprawdzie tu i owdzie pewna dziecinna naiwność olbrzyma. Naciąganie fabuły dochodzi nieraz wprost do nieprawdopodobieństwa, — bo ten niestrudzony zbieracz dokumentów ludzkich w gruncie rzeczy pozostał niepoprawnym romantykiem. Mniemam także, iż teorye, które Zola wyznawał, mszczą się dzisiaj na nim samym. Nie bezkarnie się schylał, by śledzić najbrudniejsze i najwstrętniejsze przejawy natury: pozostał mu skurcz błonki siatkowej, skrzywienie kręgosłupa. Oko jego — niezdolne wznieść się w przestworza. Zaprzecza — bo nie widzi. I albo powodować się daje nieusprawiedliwioną nigdy skłonnością, albo też ta ewangelia płodności będzie stanowczym zsunięciem się na spadzistej drodze upadku. Nie sądzę bowiem, aby, idąc śladem przeszłych utworów mistrza, rozgłaszała nową naukę w setkach tysięcy egzemplarzy. Minęły czasy, kiedy, jak Dante, kreślący nieśmiertelne dzieło swoje, stał Zola *„nel medio del camin"*, na środku drogi żywota, i kiedy, rzekłbyś, olbrzymie bryły rzucał nam raz po raz: *Germinal, la Terre, la Bête humaine, la Débâcle!* Odtąd rozwijał się w nim stopniowo obłęd wielkości, tak charakterystycznie uwydatniający się w ostatnim rozdziale „Rzymu", kędy, z wyżyn Watykanu, ksiądz, uosabiający poglądy społeczno-życiowe autora, gromi papieża, przepowiada mu rychły a nieuchronny upadek kościoła. Dzisiaj oznajmia ludzkości nową wschodzącą erę.

Jak tu streścić ten przewlekły i — miejmy odwagę swoich przekonań — nudny romans? Gdzie węzeł, gdzie jedność, gdzie oś, około której świat się ten obraca? Widzę tylko luźne epizody, koleje trzech czy czterech rodzin, mogących każda w sobie tworzyć całość obrazu. Więc najprzód — wzorowe stadło Fromentów. Jemu na imię Mateusz, jej Maryanna; on — drugi z rzędu pomiędzy braćmi ewangelistami; ona — sierota, wychowywana z łaski w domu wuja, wzbogaconego przemysłowca. Pokochali się i pobrali w ubóstwie, bez troski o jutro, ufni w siłę miłości. On liczy dopiero lat dwadzieścia i trzy, ona kończy rok dwudziesty. On, jako rysownik w biurach wielkiej fabryki maszyn rolniczych Aleksandra Beauchêne, pobiera 3500 fr. pensyi; ona — nic nie posiada krom piękności i młodości. Mimoto *Monsieur et Madame Froment* prowadzą dom w mieście i dom na wsi, żyją na równej stopie z rozpanoszo-

nymi przedstawicielami burżuazyi, jednak wyłącznie sobie tylko oddani, „bo skojarzyła ich zdrowa, czerstwa miłość, nie to piorunujące wrażenie, co to rzuca kochanków w objęcia jedno drugiego, lecz szacunek, wiara, zobopólna ufność, pewność wzajemnego kochania; jednem słowem, to wszystko, co tworzy nierozerwalność węzłów małżeńskich.” Pięknie, zaiste! A zatem *Bóg* im zapewne pobłogosławi? Nie, kierować nimi będzie dobrotliwa *siła natury*... Po sześciu latach pożycia już sześcioro wyrosło z nich latorośli. Początek to tylko tego cudownego rozmnażania. W miarę, jak rok rocznie powiększa się rodzina, pomyśleć trzeba o jej wyżywieniu. Kto zaś tą karmicielką się stanie, szczodrą, nigdy nie wyczerpaną w swej hojności, jeżeli nie matka-ziemia? Otóż w ziemi, w tem Chantebled pod Paryżem, gdzie małżonkowie ukrywają swe szczęście, leżą nieprzebrane, a dotąd niewyzyskiwane skarby. Przeszło pięćset hektarów opuszczonej roli, zachwaszczonej, zasypanej gruzami, poprzerzynanej bagniskami, oczekującej jednak tylko pracy, potu i znoju ludzkiego, by wydać z siebie obfity plon. Kiedyś niejaki Séguin, wzbogacony szczęśliwymi obrotami przedsiębiorca, zakupił był tę posiadłość z myślą urządzenia sobie w pobliżu wielkiej stolicy wspaniałej letniej rezydencyi. Śmierć go zaskoczyła. Syn, jedyny spadkobierca olbrzymiej fortuny, — sybaryta, żądny tylko uciech miasta, próżny, chciwy, a dziwnie jednak ograniczony w cenieniu własnej korzyści, — targuje się z Mateuszem o niezbędną reparacyę dachu, a odprzedaje mu zagon po zagonie, za marną cenę, całą swą podmiejską posiadłość. Pustkowie w ciągu lat niespełna dwudziestu zamienia się w ziemię obiecaną. Tam, gdzie sterczały kamienie i głazy, rozrastały się chwasty, zalegały cuchnące kałuże; teraz, jak okiem sięgnąć, falują złote kłosy szerokich łanów zboża, kołyszą się cieniste gaje, roztaczają się kwieciem umajone łąki, pasą się nieprzeliczone trzody. Wróciły czasy starej, patryarchalnej obfitości. A tego dzieła dokonał jeden człowiek, raczej jedyna siła płodności. Skromny wyrobnik z biura domu Beauchêne z dnia na dzień przeistacza się, w niezrównanego agronoma. Widocznie Zola, który ani w Boga, ani w jego cuda nie wierzy, uznaje moc fetyszów, zaklęć i czarów! Bo, na co nie starczy zazwyczaj wytrwałej pracy kilku pokoleń, jego bohater dokonywa we względnie krótkim bardzo czasie. Sądzicie zapewne, że ta praca go pochłania, że nie pozostawia mu chwili wytchnienia? Bynajmniej! Wszędzie go pełno: on, ogólny i uniwersalny doradca, bada, wysłuchuje, rozstrzyga, podpatruje nawet. Spotkacie go na zawołanie przy skręcie ulicy, pod bramą pierwszego lepszego domu, w podejrzanych klinikach — na konferencyi

z położnicami i mamkami, to znów na czułych zwierzeniach w zacisznych, atłasem wybitych komnatach, gdzie zresztą, pomny przykładów biblijnych, płaszcz swój w ręku kuszącej a pięknej wszetecznicy zostawia. Niemniej jednak nieprzepartą siłą wiedziony zdobywa szczęście, majątek, uznanie. . Towarzyszą mu na każdym kroku wielkie potęgi: niewyczerpana niczem płodność ziemi i nieustająca nigdy płodność kobiety. Więc za każdym nowouprawionym zagonem, za każdem nowonarodzonem dziecięciem powtarza się dziś już zastarzały, bo przez symbolistów zużyty, *Leitmotiv*. „Rok minął, i znowu w tym roku Mateusz z Maryanną spłodzili syna... lub córkę", (jedyny waryant w przygrywce) albo też: „W Chantebled Mateusz i Maryanna dalej stwarzali, gruntowali, płodzili w odwiecznej walce życia ze śmiercią. Miłość, jak płomień, owiewała ich swem tchnieniem, boska miłość napełniała ich serca. I było to wielkie dzieło, dzieło płodności w podwójnym produkcie ziemi-matki i matki-kobiety; dzieło miłości, walki i pracy, dążące ciągle do lepszego bytu, do szerszych coraz nadziei." Tak! przyznać trzeba,—wspaniałe dzieło, nieprzerwane pasmo zdobyczy! Z tych dwunastu synów i cór wyszedł lud cały. Przeszło trzysta wnucząt i prawnucząt, otaczających, jakoby żywym wieńcem, czcigodnych patryarchów, w uroczystym dniu obchodu ich dyamentowych godów! Płodność nadzwyczajna stała się dla nich źródłem szczęścia i majątku. Jak rzeki i strumienie do morza, tak do nich przypływają dostatki. Obce dziedzictwa przechodzą w ich posiadanie. I owa olbrzymia fabryka maszyn rolniczych znanej firmy Beauchêne i pałac Séguinów na Avenue d'Antin, i domy handlowe, i młyny parowe, i wreszcie nieprzejrzane obszary tam, w głębi Afryki, nad brzegami życiodajnego Nigru, gdzie jeden z ich synów założył nowe Chantebled, nowe państwo, nową Francyę. Jakim cudem? nie pytajcie. Wiem tylko, że to bezprzykładne szczęście ma być nagrodą zasług... w rozpładzaniu. Bo u Zoli, jak szanującemu się romantykowi przystoi, cnota wynagrodzoną, występek zaś ukaranym bywa! Tak było też i w „Malwinie czyli domyślności serca." Rodzina Fromentów bowiem składa się z samych ludzi cnotliwych i szlachetnych, — *nota bene*, tak, jak Zola cnotę i szlachetność pojmuje,—to jest bez ideału, bez troski zbawienia, bez zbytecznego balastu pośmiertnych nadziei, — cnotę, polegającą jedynie na wypełnianiu obowiązków społecznych, wynikających z praw ludzkich oraz ustaw natury, na skrzętnem ubieganiu się o przysporzenie dobytku doczesnego: istna rzeczpospolita bobrów, wprawiająca nas w zdumienie swą przemysłowością. Etyka tych istot jest zastosowana do

miary ich morgów i serca. Ta Maryanna pociąga nas przedewszystkiem pięknością cielesną, promienieje zdrowiem i siłą. Jej czarne włosy spadają gęstymi splotami na utoczone w paryjskim marmurze ramiona, godne Afrodyty... Łono śnieżnej białości, kibić królewska. Jasne oczy załzawione rozkoszą, usta różane roztwierają się z uśmiechem w pożądliwem pragnieniu pieszczot. A ów ewangelista? Jakże ciasne i filisterskie ma pojęcia, jak skromne wymagania sumienia, jaką względną i łatwo uspokoić się dającą uczciwość! jak tanie u niego zadosyćuczynienie wyrządzonej krzywdy!... Przytaczam przykład. Pryncypał, a zarazem przyjaciel jego, Aleksander Beauchêne, właściciel składu maszyn, uwiódł jedną ze swych wyrobnic. Ma miliony..., lecz matkę na bruk wyrzuca, a o dziecku wiedzieć i słyszeć nie chce. Naturalnie podatna rola nadaje się tutaj naszemu ewangeliście. Podpatrzył on kiedyś swoim zwyczajem schadzkę miłosną, zwierzyła mu się dziewczyna... boć, jeśli niema opatrzności w niebie, to na ziemi w ludzkiej postaci, szczególnie dla uwiedzionych dziewczyn ona koniecznie być musi... więc opatrznościowy ewangelista moralizuje uwodziciela. „Cóż znowu, woła ten — przyznać się do dziecka?... ależ to idyotyczne, mój drogi, wyśmianoby mnie haniebnie, zasypałbym się na zawsze.” W końcu jednak zgadza się na wypłacenie odszkodowania w wysokości pięciuset franków!... Sądzicie, że apostoł oburzony, że z ust jego padną płomienne słowa, piętnujące zatwardziałość i chciwość grzesznika. O, nie! przeciwnie, twierdzi, że przyjaciel postąpił, jak się należy, winszuje mu. „*Un galant homme comme vous se conduit toujours proprement*”: skromnie i niewybrednie, wszak prawda? Takich to ma przyjaciół ten człowiek uczciwy, tak wygląda moralnie Beauchêne, głowa znanej potężnej firmy. On, żona, syn jedynak — oto i cała rodzina w przeciwieństwie do dwunastu pokoleń, wyszłych z plemienia Froment. Jedynak — tak bowiem nakazuje dobrze wyrozumiany interes, oraz próżność i pycha mieszczańska. *Crescite...* to znaczy, porastajcie w pierze, lecz broń Boże, nie *multiplicamini* z obawy, że tego pierza dla wszystkich nie starczy. Po ojcu objął Beauchêne kierownictwo fabryki. Jego siostra, baronowa de Lavier, Messalina, *lassata, nunquam satiata*, — o mało, że brata nieprzyprawiła o ruinę, żądając bezzwłocznej spłaty. Wyratował Aleksandra półmilionowy posag panny Konstancyi Meunier, brzydkiej, suchej, alias gnata, „*cel os*”, jak się w skrytości ducha o małżonce wyraża. Wysoki, barczysty, o twarzy rumianej, nos wydatny, szczęki wilcze, usta zmysłowe pod szczeciną grubego rudawego zarostu: oto portret jego fizyczny; moralny: cynik, samolub, żądny

uciech w najgrubszem tego wyrazu znaczeniu, rubaszny w swej wesołości, póki mu się dobrze dzieje, w wyzyskiwaniu pracy i potu ludzkiego: dla niego pieniądz to jedyne bóstwo. Zabastowali na tym pierworodnym synu, „przyszłym księciu" przemysłu paryskiego, jak go w swych marzeniach nazywa matka... *Drugiego wypadku* wystrzegają się, jak ognia, jak plagi... Konstancya coraz bardziej zasycha w swem strupieszałem ciele i sercu; on szuka potajemnie taniego ujścia swej bydlęcej pożądliwości... Widzieliśmy: odtrąca od siebie wszelką odpowiedzialność za następstwa winy. Kwiaty, raz zerwane, niech giną w rynsztoku. Lecz porzucone dziecko wyrośnie... grzyb zatruty na mierzwie paryskiej stanie się narzędziem najtragiczniejszej zemsty i kary. Maurycy Beauchêne, prawowity syn, przyszły spadkobierca i władca, stanowiący jedyną racyę bytu, jedyną pociechę, jedyną nadzieję matki, kona w dwudziestym roku życia, porwany nagłą, nieubłaganą chorobą. Daremnie teraz zrozpaczona Konstancya domaga się od gwałconych tak długo praw natury tego drugiego, niegdyś odtrącanego potomka, dziedzica nazwiska i mienia. Daremnie w spóźnionym uścisku małżeńskim szuka pociechy powtórnego macierzyństwa. Wymarły w niej soki żywotne, kilkunastoletnią praktyką systematycznie odwracane od naturalnego biegu i łożyska. Mąż za to coraz głębiej zagrzęza w kale najwyuzdańszej rozpusty. Fortuna się rozpada, fabryka przechodzi powoli w obce ręce. Udziały skupuje Błażej Froment (jeden z pierworodnych synów-bliźniaków Mateusza i Maryanny), zajmujący w niej posadę technika Dobrze tu podchwycił Zola znamienny rys społeczeństwa francuskiego, pozostałość z dawnego ustroju feudalnego: tak głęboko zakorzenione wiekową tradycyą we wszystkich warstwach narodu poszanowanie z kodeksu wykreślonego, a jednak wciąż jeszcze uznawanego w rodzinie, prawa starszeństwa. Konstancya, którą nieustająca płodność Maryanny napełnia wstrętem zarazem i zazdrością, nienawidzi tego przybłędy, zagarniającego pocichu z dnia na dzień dziedzictwo prawego spadkobiercy. W zatrutem jej troską i zawiścią sercu traf i niespodziewana zgoła i nieobrachowana sposobność wywołują myśl, a jednocześnie prawie z myślą — wykonanie straszliwej zbrodni. Obszerne warsztaty fabryki, na wysokości trzech piątr, obsługuje winda. Przystęp do niej stanowi wązki, ciemny, dniem i nocą oświecony korytarz. Niedbałość czy nieobecność dozorcy — i oto niebezpieczne miejsce pogrążone w czarnym pomroku; wrota windy roztwarte. Los, sprzyjający zemście, w tej samej chwili prowadzi tędy Konstancyę i Błażeja.

Osierocona matka, wyzuta ze swego królestwa władczyni, poznaje głos znienawidzonego intruza, słyszy zbliżające się kroki jego tuż nad krawędzią przepaści... Serce jej bić przestaje, skamieniała... Jedno słowo, jeden okrzyk grozy, a ostrzeże, wyratuje wroga od niechybnej śmierci! Zrozpaczona matka, upokorzona w swej dumie i chciwości, zemści się nareszcie. Zacięte jej w nienawiści nie drgnęły usta... Błażej runął w przepaść... podnoszą go z rozciętą czaszką, z rozbitym krzyżem... Więc przynajmniej tego dziedzictwa, okupionego krwią, nikt jej już z rąk nie wydrze... Niestety! To plemię jest hydrą, wiecznie się odradzającą. Na miejsce jednej ściętej głowy wyrosła druga. Błażeja w fabryce zastąpił jego brat Dyonizy. Napróżno Konstancya walczy dalej z przeznaczeniem... Tragiczna w niej zaiste zawziętość. Odszukała nieprawego syna męża — powierzy mu kierownictwo fabryki, uzna go za własnego, tak ją pali ta żądza macierzyństwa... Nie wie wprawdzie, że to nędznik, morderca. W celu grabieży zdławił przed kilku laty dozorczynią biura dobroczynności, panią Angeline, przyjaciółkę rodziny Beauchêne, niegdyś szczęśliwą, młodą, piękną, kochaną, kochającą, później z mężem ociemniałym po stracie własnych funduszów utrzymującą się ze skromnej pensyi... Zbrodniarz uszedł bezkarnie — przez trzy lata ukrywał się w zamętach paryskich. Wreszcie wypłynął na wierzch, pełen otuchy i nadziei. Dlaczegóżby nie? czyż Konstancya nie roztwiera olśniewających widnokręgów? Jeden człowiek mógłby i powinien zniweczyć te plany... ewangelista Mateusz Froment, nietrudno zapewne czytelnikowi odgadnąć, — przypadkiem stał się świadkiem dokonanego mordu. Jest więc panem życia i śmierci nędznika: jedno słowo, a potwór sprawiedliwości oddanym będzie. Ale Froment to apostoł, podszyty indyferentem i tchórzem... Gdybyśmy się spuścili na sumienność i sprawiedliwość jego, Konstancya z tryumfującym uśmiechem zemsty przekazałaby zagrożone dziedzictwo dynastyi Beauchênów uprawnionemu, z tejże krwi wyszłemu spadkobiercy. Skąd inąd powstanie Nemezys! Konstancya ma bezwiednie cichego wspólnika swej zbrodni w osobie niejakiego Morange, rachmistrza domu. Nieszczęsny ten, zdziecinniały, w obłędzie pogrążony starzec, po stracie ubóstwianych przez niego dwu istot, żony i córki, dręczony niczem nieukojoną tęsknotą, ścigany wyrzutami sumienia, postanawia zdobyć się na dzieło męskiej odwagi. Stanie się swym własnym zarazem i zbrodniarza sędzią, sam na sobie i na nim wyrok wykona... Plan swój obmyśla w najdrobniejszych szczegółach... Jak niegdyś, ciemność panuje w niebezpiecznem przejściu... on to zgasił światło, on roztworzył żelazne

wrota, odgradzające windę, on skwapliwie ofiarował się do obznajmienia pryncypała z obszernemi ubikacyami fabryki... Prowadzi go tedy wzdłuż korytarza. „Ostrożnie! woła, proszę iść za mną... trzymaj mnie pan dla większej pewności za poły... wprawdzie... na krok nic nie widać, ale ja tu i w nocy, jak kot, wszędzie trafię... Wiem, że otwór do windy zagrodzony, obejdziemy go wszelako... no, tak, trzymaj się pan mnie!" I w tej chwili, pogrążył się głową naprzód w otchłań, pociągając za sobą towarzysza... Stało się zadość sprawiedliwości: Beauchêne, dawny szef potężnej firmy, pada nagle, rażony w jakiejś norze rozpusty, jego żona dogorywa, już za życia piekielnymi ścigana ogniami. Fabryka przechodzi w posiadanie Dyonizego Froment. To pierwsza zdobycz płynącej niczem nie powstrzymanym potokiem, żywiołowej siły życia i płodności...

Patrzmy teraz na rozbicie i pochłonięcie drugiej z Fromentami zaprzyjaźnionej rodziny Séguinów. Ta należy do tak zwanej arystokracyi mieszczańskiej, gdzie wyrafinowanie dochodzi do ostatniego stopnia zepsucia i rozkładu. Pozorna wykwintność, pokryta jakby lotną, złotawą wierzchnią powłoką, niezmierzone trzęsawiska podłości i zgnilizny. Tacy dorobkiewicze wyrastają na każdym gruncie, lecz mnożą się oni szczególnie w dzisiejszej Francyi. W gorączkowej, nieubłaganej pogoni za władzą, za sławą, za rozkoszą, za użyciem każdy spycha drugiego ze szczebłów drabiny, by owładnąć jej szczytem. Upadek jednych pod stopami wciąż nowych szturmujących szeregów tworzy jakoby sztuczny, szybko produkujący, lecz szybciej jeszcze wyczerpujący się podkład. Séguin przedstawia nam najwstrętniejszy typ wybujałego na takiej glebie parweniusza. Dziad jego, chłop, wyrósł z ziemi, na niej się wzbogacił, wyssał z niej krew i soki, w niestrudzonej, a nieprzebierającej w środki pracy (*labor improbus*), w niczem niepohamowanej, nigdy jednak niezadowolonej chciwości. Ojciec dobił się wielkiej fortuny, oszukując państwo na dostawach; wnuk jest już artystą, estetą, miłośnikiem sztuki i sportu. Chłodny, wykwintny — ostatni krzyk szanującego się neokatolika, dekadenta, wibrysty, — w czem, jak to poniżej wykażę, popełnił Zola rażący anachronizm, — w gruncie — pod tą zwodniczą szatą poloru i ogłady — grubianin i drapieżnik. Dla pozy, z próżności, pojął za żonę córkę starego, magnackiego rodu, pannę Walentynę de Vaugelades, lalkę i dewotkę, lubującą się zarówno w kadzidle, wzbijającem się u stóp ołtarza, jak kadzidłem światowem, w odurzającej atmosferze buduarów, scen ogródkowych, gabinetów restauracyjnych. Séguin, chociaż w nic nie wierzy, — czyż w takiem próchnie może tlić iskra? — praktykuje, bo religia,

czyli raczej religijność, należy do dobrego tonu. Ojciec jego spłodził dziesięcioro dzieci, on poprzestaje na synu i córce, klnąc, że już i tak popełnił niedorzeczność i niegodziwość zarazem. „Pocóż się mają rodzić grzesznicy!” woła z teatralnym tragizmem nieudanego prowincyonalnego Hamleta. Przecież, po paru latach szalonego pożycia, mimo wszelkie ostrożności, wybiegi, obejścia, oszukiwania natury, zapowiada się nieproszony gość; biedne żyjątko, już w łonie matki pogardzone, odtrącone, znienawidzone przez rodziców... Co za wyrzuty i przekleństwa, nawzajem miotane! Ten wykwintny salonowiec lży żonę wobec licznie zgromadzonych gości w sposób iście karczemny. Chyba zapomniała się w stajni z którymkolwiek z masztalerzów! „Cóż mnie twoja córka obchodzi... jesteś poprostu ladacznicą, a twoje dziecko bękartem... I miałbym tryb życia mego zmieniać dla takiego plugastwa? Niema głupich!” Lecz przecie on chciał mieć tę kobietę na wzór i podobieństwo swoje. On ją skaził przewrotnością rozmyślnie wygłaszanych teoryi, zbrudził narzuconą kamaraderyą; zmusił do kompromisów, uchodzących za szczyt wytwornego cynizmu. Nie zarzuciła wprawdzie praktyk religijnych, ale codzień oswajała się z występkiem, — wiarołomna w myśli, jeżeli nie w czynie — świadoma konieczności nieuchronnego upadku. Więc niebawem w tej bezwstydnej rozterce domowej następuje, co nastąpić miało i musiało: ruina materyalna i moralna. Wspaniały pałac na Avenue d’Antin, tak, jak tam, na przeciwległem wybrzeżu, — olbrzymia fabryka maszyn rolniczych, — staje się własnością jednego z synów Mateusza i Maryanny — Ambrożego Froment, szczęśliwego małżonka Andrei Séguin, owej niegdyś przez rodziców wyklętej, przez własnego ojca sponiewieranej córki, a dziś, w tryumfującej sile kochania, w pełnym rozkwicie młodości i piękności mszczącej się za doznane w dziecinnych latach krzywdy przygarnięciem wyrodnego ojca i roztaczaniem nad nim najczulszej opieki.

Kolej teraz na trzecią parę tych stadeł paryskich. Oto małżeństwo Morange. Dobrzy ludzie, pełni czułości i serca, kochają, szanują się nawzajem, — wszelako gubi ich próżność, chęć naśladowania bogatych przyjaciół; trawi ta niepowściągliwa gorączka społeczeństwa demokratycznego,—gdzie równouprawnienie polityczne nie pociąga za sobą równości ekonomicznej. Zbytek sąsiadów palił ich zazdrością. Zadłużali się, by w pewnym stopniu im dorównać. A tu warunki bytu najskromniejsze: Morange zajmuje posadę rachmistrza w fabryce Beauchêne. Z czasem pensya jego wyniesie

najwyżej 8000 franków. Trudno! przyjmują, bywają. Pani młoda, śliczna, ubóstwiana przez męża, napełnia go dumą i zachwytem, gdy na balach olśniewa wszystkich podwójnym blaskiem, urody i stroju. Ich córeczka Regina wzrasta w tej rozstrajającej pogoni za nigdy nieziszczonemi pragnieniami. Marzy więc tylko o nagłym, niespodziewanym zwrocie przychylnego losu, o jakimś książęciu z tysiąca i jednej nocy. Zresztą, czarująca to istota; żądna szczęścia, pieszczot, miłości, kwiat tropikalny, wyrosły pod mroźnem tchnieniem ubóstwa. Więc i tu truchleją nad groźbą drugiego dziecka, więc i tu wybiegami oszukują naturę; więc i tu, gdy po kilkunastu latach zwiastuje się intruz, — rozpacz zamiast radości; przekleństwo zamiast błogosławieństwa; zbrodnicze podszepty zamiast czułych rodzicielskich zwierzeń. Wszak tak łatwo pozbyć się natręta! wszak w stolicy tylu usłużnych a zręcznych w ohydnem rzemiośle lekarzy! I mimo miłość, mimo wrodzone przymioty serca i duszy, wspólnicy w przedsięwziętym zamachu, mąż z żoną dążą do domu zagłady. *Lasciate ogni speranza voi ch'entrate.* To dziecię, któremu gwałtem zagradzają drogę do życia, mści się na matce... Życie za życie! Po szczęśliwie napozór dokonanej operacyi nagły krwotok zabija Waleryę Morange. Przerażająca, na wskroś wstrząsająca scena, gdy nieszczęśliwy ojciec i mąż staje w obec skostniałego już trupa nad wszystko ukochanej towarzyszki. O katastrofie uwiadomił go nie kto inny, jak nasz ewangielista, wszystkowiedzący Mateusz. Podpatrzył ich wchodzących w podejrzane wrota, odtąd nieustannie śledził przebieg wypadków.

Morange skręcił naprawo, w głąb korytarza, podszedł ku dobrze już mu znanym drzwiom, roztworzył je, błędny, trzęsącą ręką. Co za widok zgrozy! Jedno ciasne okno oświecało izbę ponurym, piwniczym półmrokiem. Pod pułapem, czarnym od kurzu, zwieszały się rozdarte, przesiąknięte wilgocią strzępy obicia: w czterech ścianach mieściły się: komoda z pękniętą wierzchnią marmurową płytą, dwa krzesła, słomą wyplatane, łóżko, na mahoń pomalowane. A na tem nędznem posłaniu, wysuniętem na środek pokoju, Walerya spoczywała, zimna, sztywna, martwa! Jej cudowne rysy zdawały się wyrzeźbione z wosku, jakby wszystka krew była ściekła przez tę straszną, otwartą ranę. Spoczywała wśród rozplecionych zwojów swych kruczych, miększych, niż jedwab, włosów. Jej twarz śliczna, tak świeża, rozpromieniona uśmiechem, ożywiona miłością, żądzą zabaw i rozkoszy, przybrała w śmierci — wyraz powagi i jakiegoś zrozpaczonego żalu, nieutulonej tęsknoty za tem, co pozostawiała za sobą na ziemi. Prześcieradło zsunęło się, odkrywając jej ramiona okrągłe, rzekłbyś, w marmurze toczone, te ramiona, napawające męża dumą i radością, gdy ją wprowadzał w oświecone podwoje wielkich tego świata. Ręka biała, szczupła, jakby jeszcze przedłużona rylcem śmierci, zwieszała się na krawędzi łoża. Nie żyła!... zmarła! sama, opuszczona w strasznej chwili, — bez westchnienia litosnej duszy, bez gromnicy.

Morange patrzał przed siebie w osłupieniu. Wydawało mu się, że ona śpi, choćby na wieczność zamknęły się jej powieki.. ale żadne tchnienie nie podnosiło jej piersi, usta ściśnięte zbielały. Otaczający go obraz nędzy, ohyda tego miejsca, widok ukochanej istoty nieruchomej, w straszliwej grozie śmierci, oblanej skrzepłą krwią, jak ofiara, gdzieś znienacka napadnięta, zamordowana na bezdrożu, skręciły mu serce strasznym, niewysłowionym bólem; stał długo bezmyślny, bezradny. Nareszcie powoli podniósł jej rękę, poczuł lodowatą jej sztywność, — i jęk chrapliwy wydobył mu się z gardła... Padł na kolana, oparł policzek o tę rękę skostniałą, bez słowa, bez skargi, bez łzy, jakby się był sam w lód zamienił w tem zimnem zetknięciu się ze śmiercią, sam się był pogrążył w otchłań nicości. I tak pozostał... skamieniały.

Kilkanaście lat minęło od tej tragicznej chwili, i oto w tych samych ramach nędzy, brudu i zbrodni, równie we własnej krwi zbroczone, patrzy teraz, na martwe ciało swej córki, jedynej pociechy, jedynej podpory swojej... Reginkę, tak podobną do matki, iż w biednym, rozstrojonym nadmiarem cierpienia umyśle dwie te istoty zlewały się w jedną postać, dwie te miłości — w jedną nadludzką, nadziemską siłę kochania, — Reginkę, jego bóstwo, świętość, lilię niepokalaną, źródło czystości, wydał sam, w zaślepieniu, w nieograniczonej ufności, na łup wszetecznicy, owej baronowej de Lavier, ściągającej do tajemniczych i tajemnych lupanarów coraz to nowe rzesze gachów. Jednemu z nich w swej żądzy uciech i zbytku, w swem tęsknem marzeniu o miłości dała się uwieść Regina. A gdy się już ujawniły sromotne następstwa winy, za namową potwornej przyjaciółki, chwyta się ostatecznego środka i ginie tą samą śmiercią, co matka. Odtąd zgnębiony podwójnym ciosem Morange dziecinnieje. Całymi dniami przesiaduje, wpatrzony w wizerunek, przedstawiający mu drogie oblicza, odmawia sobie najniezbędniejszych potrzeb do życia, a stosy złota, srebra składa, jako ofiarę na ołtarzu, poświęconym pamięci żony i córki. Niech się cieszą przynajmniej po za grobem tą zamożnością, do której obydwie za życia wzdychały. On zaś podąży za niemi lub z niemi razem pogrąży się w nicestwie. Widzieliśmy, w jaki melodramatyczny sposób Zola rozwiązał tragedyę tego istnienia.

Cóż mi pozostaje jeszcze? W kilku słowach wspomnieć o epizodycznych postaciach powieści. W Chantebled przez długie lata sąsiaduje z rodziną Froment młoda, dorodna para: Angeline. Mąż i żona... na wpół artyści, na wpół cygani, kochają się i gruchają, jak gołąbki. Spotkać ich można, zawsze w uścisku złączonych, upojonych, szczęśliwych, — nad brzegami modrej rzeczki, pod cieniem zwieszających się gałęzi wierzb i brzóz. Kochać, używać miłosnych rozkoszy, bez troski, bez więzów, bez obaw rodzicielskich, oto

ich zadanie. Lata biegną, rzucane za sobą, jak kwiaty, oberwane z liści, — a gdy wybije godzina opamiętania, gdy i oni oglądają się za ogniskiem, już tylko roztrącają popioły. Z ich miłości, spalonej żarem pożądliwości, nie wytrysło żadne źródło żywota. Nadchodzi starość, smutna, opuszczona .. Angeline, malarz z zawodu, utraca wzrok; mająteczek pochłonęły spekulacye. Na domiar złego potwór, wyrzutek społeczeństwa, morduje mu żonę w zasadzce dla przywłaszczenia sobie grosza ubogich i sierot; to też dawny poganin, wielbiciel natury i piękna, pogrąża się w czarną otchłań zwątpienia i rozpaczy.

I w przeciwstawieniu do chłopów, odmalowanych w „Ziemi" (la Terre) mamy tu chłopa Lepailleur, zwyrodniałego syna gleby, nienawidzącego jej, odmawiającego jej pracy swej, znoju... bo ta ziemia to nie matka, tylko macocha, dręczycielka... Więc też zagony zarastają chwastem, a młyn po dawnemu miele w ciężkim i leniwym trybie zeszłowiecznych jeszcze przyrządów. Aż i tu nastąpi anneksya. Młyn przeistoczony, opatrzony w najdoskonalsze zastosowania techniki, stanowić będzie z piękną córą zacofanego właściciela — własność Grzegorza Froment... jednego z licznych synów i t. d. I jest rodzina wyrobników Moinaud, tak płodna, tak rozrodzona i rozradzająca się, jak plemię Froment... lecz na to tylko, aby nam służyła za przykład obydnego wyzysku pracy przez kapitał. I są doktorzy Boutan i Gaude, — Ormuzd i Aryman — duch światła i duch ciemności: pierwszy, uosabiający miłość i wiarę w życie, wyznawca religii płodności, upatrujący w niej jedyne źródło szczęścia, cnoty, dobrobytu, — całą przyszłość oraz potęgę ojczyzny! — drugi, przeciwnie, — tępiciel macierzyństwa, odwracający soki żywotne od ich naturalnego źródła, zniżający kobietę-matkę do biernej roli narzędzia rozkoszy. Wreszcie za nimi, — całe wstrętne i ciemne zastępy sprzedajnych lekarzy, fabrykantek aniołków, mamek-trucicielek, wyzyskiwanych położnic, — o których powiem, jak Cezar do Cynny... „Nie warci są nawet, bym o nich wspominał." *Le reste ne vaut pas l'honneur d'être nommé*

Nim teraz przystąpię do wykazania dwu kardynalnych wad powieści, zaznaczę jeszcze drobniejsze jej usterki. Wiem dobrze, iż potężny umysł Zoli wzbił się w niektórych swych utworach do szczytów epiki (patrz *Germinal*, *le Terre*, *la Bête humaine*), ale wiem także, iż pod szatami poety-symbolika odnajdę w nim zawsze małego mieszczanina — ów wytwór społeczeństwa francuskiego, podchwycony i unieśmiertelniony w typie *Józefa Prudhomme*. . więc małoduszność, małostkowość, ciasne przegrody i pojęcia wbrew

napuszonym humanitarnym i liberalnym wyznaniom wiary; brak estetyki, artyzmu i wychowania; absolutna nieświadomość form światowych, prawdziwych cech wytworności, mowy, nawyknień, obyczajów, uczuć, odznaczających — bo wrodzonych — osobników „z wyższej sfery.” Stąd, gdy nam maluje arystokracyę, salony, wykwinty t. zw. klasy uprzywilejowanej, — przypomina mi się owa prefektowa z pierwszych czasów rzeczypospolitej, witająca swych gości na urzędowem przyjęciu klasycznym wykrzyknikiem: C'est nous qui *sont* les princesses! Elegancya u Zoli trąci zawsze grubem parweniuszostwem. Pięknem zawsze, co się świeci; cena stanowi zawsze o wartości przedmiotu. Gdy opisuje nam przepych wewnętrznych urządzeń, mamy wrażenie bezładnie natłoczonego bazaru; gdy chce uchodzić za wytrawnego smakosza, podaje nam spis najdroższych potraw z *menu* pierwszorzędnej lub za takową uchodzącej jadłodajni. Jego książęta i hrabiowie, jego wielkie panie to figuranci z pod ciemnej gwiazdy, z papierową koroną lub mitrą złoconą na skroniach. Więc i tu — Séguin, typ światowca, *arbiter elegantiarum*, to szewczyk w lakierkach i niedzielnem ubraniu; arystokratyczna Walentyna de Vaugelade — to wykwintna kumoszka; w czasie śniadania, przy gościach, wdaje się w plotkarskie gawędy z garderobianą, wyszczekaną na „cztery nogi kutą” — panną Celestyną. Maryanna w uniesieniach miłosnych obdarza stale małżonka delikatnem, pieszczotliwem mianem *Grosse bête*! Mógłbym podobnych przykładów naliczyć dziesiątki. Mniejsza z tem. Wszak i słońce ma swe plamy. Natomiast trudniej się pogodzić z rażącym anachronizmem co do środowiska, ludzi, ducha, czasu, epoki... Zarzuty nasze oprzemy na prostem zestawieniu dat.

„Płodność” wydaną została przy końcu zeszłego roku. W ostatnim rozdziale widzimy Mateusza i Maryannę Froment, obchodzących dyamentowe swe gody. Autor z całą dokładnością, zaznacza nam ich wiek sędziwy: on liczy sobie 89 lat życia, ona zaś 86. Zatem, przypuściwszy nawet, że czcigodni patryarchowie żyją jeszcze w chwili, gdy historyograf kreśli nam ich cudowne koleje, — wypadnie, iż rodzić się musieli oboje w pierwszym już dziesiątku dogorywającego naszego wieku. A ponieważ, trzymając się zawsze ściśle cyfr, podanych przez Zolę, — Mateusz zawiera związki małżeńskie w zaraniu wiosny — bo w dwudziestym trzecim roku życia, wynika, iż rodzić się musiał w 1810 r., Maryanna zaś o trzy lata później. Zatem rozpoczyna on swą podwójną działalność polityczną i rodzinną w pierwszych zaraz początkach panowania Ludwika Filipa czyli tak zwanej *monarchii lipcowej*. Jest to fakt nie-

zbity. Z nim zarówno powieściopisarzowi, jak i czytelnikom, rachować się wypada. Każda bowiem epoka zachowuje swój odrębny charakter, wyciska swe piętno na współżyjących, nadaje im nie tylko znamienne rysy fizyczne i moralne, ale wytwarza przejściowe pojęcia, upodobania, dążności, zwyczaje, ideały. Wskutek niesłychanego rozwoju ostatnich dziesiątków lat naszego wieku, postępu, nauki, przemysłu, handlu i zastosowania iście zdumiewających wynalazków, rozpowszechnienia dobrobytu, rozbudzenia się politycznych namiętności, w pogoni za dziś już każdemu dostępną najwyższą władzą, — nigdy się ta odrębność wybitniej nie uwydatniła, niż w naszych czasach. Dość wspomnieć *Ludzką komedyę* (la Comédie humaine), to nieśmiertelne dzieło Balzaca, by uprzytomnić sobie, jak odmiennie wyglądali, myśleli, działali ludzie ówczesnej doby. Odskok zatem olbrzymi. Z tą zasadniczą różnicą Zola się nie obliczył. Postaci jego są wytworem ostatnich lat schyłkowych. Dekadentyzm, symbolizm, neochrystyanizm to pojęcia, nieznane naszym dziadom. Nitzche pierwszy wynalazł „nadczłowieka", a Nitzche naówczas w powijakach jeszcze spoczywał... Niedorzecznem więc chcieć, aby ludzie, przed pół wiekiem przeszło żyjący, jedynie autora Zarathustry swem zaufaniem obdarzać raczyli. Posłuchajmy jednak, jak się wyraża literat, współcześnik Chateaubrianda, Balzaca i Eugeniusza Sue. Zwie się on Santerre, będzie niebawem najszczęśliwszym z trzech, — w małżeńskiem stadle Séguinów, więc na poczekaniu takie wygłasza teorye: „Jest tylko jedno absolutne szczęście, zagłada naszego padołu. Schopenhauer, *Hartmann*? przestarzeli się... Więcej mi przypada Nitzche do przekonania. Ludzkość, ograniczona w arystokratycznej selekcyi i doborze, delikatniejszy pokarm, subtelniejsze myśli, wdzięczniejsze i wytworniejsze kobiety,—wszystko to doprowadzi do istoty doskonałej, do nadczłowieka, o w dziesięćnasób spotęgowanych zmysłach i uczuciach." Hartmann, Nitzche, Superhomo pod mieszczańskim parasolem króla Filipa!... zawiele Zola od naszej łatwowierności i uległości żąda... I jeszcze jedno. Wszak w tym długim okresie wstrząsnęły Francyą, a przez nią światem, wypadki, zgoła przeistaczające ich całokształt! Wzniesienie i upadek drugiego cesarstwa, niebywały dotąd w dziejach historyi pogrom, konwulsye komuny, utrwalenie się rządów Rzeczypospolitej — czyż podobna przypuścić, aby takowe przewroty przeszły niepostrzeżenie, przebrzmiały bez echa, nie odbiły się na jednostkach, nie zmieniły warunków życia, nie nadały innego kierunku myślom, nie wskazały żyjącym innego celu? Kto pisze powieść społeczną, a zdaje się

przynajmniej, że takie sobie Zola postawił zadanie, nie może i nie powinien zbywać bezwzględnem milczeniem ogólno ludzkich objawów. Stąd brak ścisłości, owa romantyczność, to dziecinne lub rażące nieprawdopodobieństwo w drobnych nawet szczegółach. Gdy Mateusz rozpoczyna swój zawód agronoma z Bożej łaski, na pustkowiu w Chantebled, z żoną, — ku wiecznej rzeczy pamiątce, — zasadzają młody pręt dębu. We dwadzieścia lat później — pręt zmienił się już w wielkii dąb (le grand chêne). Pod jego konarami gromadzi się liczna rodzina w obchodzie zaślubin Róży Froment, najstarszej z cór Mateusza i Maryanny... Mało dla wybujałej fantazyi autora tego zgwałcenia praw cierpliwej, bo wiecznej przyrody; wyprzedza on z równą łatwością chronologiczną kolej wynalazków. Narzeczeni w otoczeniu rodzeństwa odbywają *na bicyklach* wycieczkę do poblizkiego miasteczka. Bicykle w pierwszej połowie naszego wieku! I na co to?... Rózia, w szalonej jeździe zaskoczona przez burzę, — zziębnięta, zmoczona do nitki, kona w objęciach zrozpaczonego oblubieńca. Bicykl, burza — spowodowały galopujące, źle mówię, — piorunujące suchoty! także objaw, o którym zapewne nigdy się ani filozofom, ani lekarzom nawet nie śniło. A czyż prawdopodobniejszą historya uprawy tych pięciuset hektarów opuszczonej roli, tuż pod murami Paryża? Wszak właścicielem tej posiadłości nie kto inny, jak Séguin?... A zna on wartość grosza. Do szaleństwa rozrzutny, gdy chodzi mu o zadowolenie chuci lub własnych fantazyi, względem drugich twardszy i chciwszy, niż Shylok; czci pieniądz nad bóstwo, widzi w nim wszechwładną siłę, źródło niewyczerpane szczęścia i rozkoszy. Jakże więc przypuścić, aby dobrowolnie, zagon po zagonie, łan po łanie, zrzekał się dziedzictwa? Azaliż pierwsze, a tak zdumiewające w osiągniętych skutkach doświadczalne próby, dokonane przez Mateusza, nie powinny mu otworzyć oczu na prawdziwą wartość tego odłogiem dotąd spoczywającego skarbu? Ażali nie wywiązałaby się koniecznie konkurencya? czyż brak w każdej stolicy spekulantów skorych do nabywania gruntu, i to na wagę złota? Wiem, iż ta naiwność była Zoli potrzebną, by wykazać, że płodność wytwarza z czasem i materyalne bogactwo; że przy pracy i dobrej chęci, z każdem nowonarodzonem dzieciędem, przybywa także kilka lub kilkanaście zagonów uprawionej, obsianej ziemi. Czyż jednak tak zawsze w rzeczywistości się dzieje? Trudno nam uwierzyć w to systematyczne, w parze idące rozmnażanie się płodu i plonu. Gdyby każda rodzina, — nie mówię już na obydwu półkulach naszych — lecz tylko we Francyi, w miarę coraz liczniej rozrastającego się potomstwa, — dokonywać miała podobnych zdo-

byczy terytoryalnych, nie starczyłoby niedługo gleby; ludzie rozdzieraliby się, jak wilki, a wynikiem płodności byłby powrót do pierwotnego zwierzęcego stanu. Nie zaprzeczam bynajmniej zasługi autora. Dotknął on palącej kwestyi, iście hamletowskiego dylematu, stanowiącego o dalszem istnieniu jego ojczyzny, problematu życia lub śmierci. Kiedyś Napoleon, patrząc na pobojowisko zasłane trupami, wyrzekł pamiętne słowa: „Jedna noc Paryża to wszystko naprawi...” Niestety! dzisiaj zbrojny pokój pochłania setki milionów; Francya codzień przegrywa wielką batalię życiową, przestawszy płodzić owe sto tysięcy dzieci, które płodzić może, lecz płodzić niechce. A jednak woła Zola: „Co za marzenie niezrównanej wielkości!... Ludzkość, rozradzająca się prawie do nieskończoności, rozlewająca się szerokiemi falami po świecie, obejmująca ogromne, dotąd jeszcze pustkami stojące obszary... Czyż może być kiedy nadmiar życia? czyż więcej istnień, nie stanowi także więcej siły, szczęścia, zamożności? Cała nasza kula ziemska dźwiga w sobie ten zaród przyszłości, podobna do żywota brzemiennej niewiasty...” Tak jest, wspaniałe, piękne marzenie!... Czy tylko ewangelia nowego reformatora zawiera w sobie moc boską nawracania? Gdzież w niej, powtarzam, owo słowo żywe wiary, nadziei, miłości? Potrzeba najprzód porwać i skruszyć serca, by pchnąć ludzkość na inne, właściwe tory. Ani powtarzanie harmonijnych lub dynamicznie efektownych leitmotywów; ani opisy choćby najpomyślniej odbytych porodów, ani widok hożych i młodych matek, karmiących niemowlęta; ani to nieustanne sączenie się mleka (*ruissellement de lait*); ani to mrówczenie się istot (*pulullement d'existences*) nie potrafią nas ni skusić, ni rozrzewnić. Powieściopisarza zadaniem jest nie tyle strofować i nauczać, ile podnosić, wzruszać, odrywać na chwilę od szarej rzeczywistości, wskazywać gdzieś, na wyżynach, jaśniejące ideały. Jeżeli nas tem ciepłem nie orzeźwi, nie oświeci tym promieniem, tym prądem nie ożywi, tem źródłem nie pokrzepi, mniemam, że chybił celu. Dlatego też, błądząc wśród olbrzymich głazów, w tych cyklopejskich podziemiach, pod przytłaczającym ciężarem budowy, ciągle myśl moja, jak ptak na uwięzi, — pragnęła wzbić się w przestworza — zwracała się w utęsknieniu ku wysokim, jaśniejącym niebiosom, chciwa odetchnąć balsamicznem, żywicznem powietrzem pól, łąk i lasów, — gdzie nas hen! na skrzydłach swoich unosi nasz Sienkiewicz. On nie targa tylko nerwami, nie drażni lub nie podnieca jedynie apetytów płciowych, nie korzy się wyłącznie przed siłą fizyczną natury, — lecz roznieca iskrę, rozpala płomień, wywołuje dreszcz święty pod nieprzezwyciężonym prądem natchnienia. Widzimy, czujemy, wierzymy, że można stać się spra-

wiedliwszym i lepszym, że poza powszednim, codziennym chlebem jest jeszcze pokarm duchowy, *panis angelicus*; życie wieczne, którego łaknie spragniona dusza człowiecza... Tej bezwiednej tęsknoty, tego wrodzonego nam łaknienia Zola nigdy nie ugasi, ani nie ukoi. I cóż, że położył palec na sączącą ropą ranę, że napiętnował samolubstwo i chciwość, że odsłonił zgrozę praktyk zbrodniczych; że wykazał wiszącą nad narodem groźbę zagłady, jeżeli jednocześnie nie wytknął drogi zbawienia, nie dźwignął swych współziomków, pogrążył ich głębiej w grzęzisku, — głosząc, że poza organiczną płodnością, niema ni treści, ni celu do życia?

Skończyłem; obowiązkiem moim byłoby jeszcze podkreślić niedbałość formy, widoczne lekceważenie wszelkiego artyzmu stylowego — co zresztą inni, uważać będą słusznie może za zaletę — gorzej jednak, — wadliwą często budowę zdania, urągającą wszelkim elementarnym prawidłom składni. Wolę zespolić ramy już i tak przydługiego sprawozdania przytoczeniem niektórych, — nie mówię piękniejszych — lecz wyrazistszych ustępów dzieła. Oto naprzykład obraz życia nocnego wielkiej stolicy.

„W restauracyach okna gabinetów płonęły. Strugi światła spływały po trotuarach. Fale konsumentów zajęły chodniki. Zdawało się, cały olbrzymi Paryż zebrał się w tem miejscu, by odetchnąć świeżem powietrzem pięknego, letniego wieczoru, zwarty w tak gęste tłumy, iż ciała ocierały się o ciała, mieszały się oddechy w jednem tchnieniu gorączkowego upojenia. Złączone w uścisku pary przystawały przed błyszczącemi wystawami. Rodziny mieszczańskie co chwila ginęły we wrotach, prowadzących do sal koncertowych, do *tigel tanglów*, jarzejących lampami elektrycznemi. Ogromne, jaskrawe afisze z wyzywającemi nagościami coraz to nowych nęciły widzów. Setki kobiet, zmiatających ulice szelestem jedwabnych strojów, oczekiwały zaczepki lub wreszcie same zaczepiały przechodniów, w uśmiechu lubieżnym, szepcząc kuszące wezwania. Jedni się atoli odwracali z pogardą, na tropie pożądańszej przygody, uroczej mieszczki lub panny sklepowej, drudzy, goniąc za dojrzanym tu ciemnym, tam złotym warkoczem, pochyleni nad szyją przyszłej ofiary, bełkotali jej w ucho gorące wyznania. Prawowite stadła, oblubieńcy jednej doby, kochankowie jednej nocy, mknęli w dorożce, w milczeniu śpiesząc do poblizkiego alkierza. I dla tych fal ludzkich, płynących niczem niepowstrzymanym potokiem między olbrzymie kamienne gmachy, kędy płonące okna zdawały się pałać blaskiem iskrzącej źrenicy, — wśród szumu przesuwających się nieustannie tłumów, w potężnej wrzawie głosów, turkotu kół olbrzymie miasto było, jakby bezdennem morzem, ogólnem zbiorowiskiem gdzie zlewały się i ta noc, i te łoża, otwarte dla wszelkiej rozkoszy, i ten uścisk miłosny, w którym niebawem ci ludzie zawrą powieki. Jeszcze chwila, wybije północ, a strach przed dzieckiem zawiśnie pełen grozy nad ogromną stolicą. Gdyby jednocześnie pod dynamicznym prądem jakiejś dotąd nieznanej siły roztworzono nagle na oścież owe tysiączne, tajemne alkowy, wszystkie zgoła okazałyby się bezpłodnemi tu przez chciwość, tam przez pychę, tu

znów gwoli rozpuście, u dobrych, jak u złych ludzi w tem ogólnem skażeniu pojęć, przeistaczających nędzne wyrachowania — w szlachetność, samolubstwo—w poświęcenie własnej uciechy, brak odwagi życiowej—w rzetelność względem społeczeństwa."

Tak wygląda ten Paryż, samowolnie skazany na wymarcie, taki w nim codzienny ubytek zatraconej siły, tak odwracany od swego użytku pył nasienia pada i ginie na bruku. Paryż, źle obsiany, pozbawionym się widzi hojnego zdrowego plonu, któryby każdej nocy wydać powinien.

A teraz w przeciwstawieniu do nowożytnej Sodomy uśpiona zagroda wiejska w spokoju przyrody, świętość miłości życiodajnej wobec zatrutej rozkoszy spazmu szalonego.

„Nic piękniejszego, słodszego, głębiej kojącego w upajającej cię ciszy od tej cudownej wiosennej nocy, rozlewającej szeroko w dal woń, wiejącą z obszernych pól. I tylko w tej ciszy podnosił się głęboki oddech ziemi, spoczywającej w swej wiecznej płodności i młodości. A jednak w tem skupieniu wzbierało życie; życie drgało w dreszczu rozkoszy, którym miłość bez znużenia, ni przerwy, nawet wśród ich snu porusza lasy, wody i łąki. Przelatywał jakby długi pocałunek miłosny. Przez okno otwarte (w domu Mateusza i Maryanny) noc cudowna ze swymi miryadami migocących gwiazd, wonią swych gajów i pól napełniają pokój. Soki żywotne wydobywały się z łona ziemi, rodziły w tym cieniu, roztaczającym w dal woń i upojenie. Strumienie zarodków, płynęły nieskończenie w przestworzach. Dreszcz zespolenia wstrząsnął miliardem istot i światów w uniwersalnej funkcyi zapładzania. Przyroda cała wtórowała im w akcie poczęcia nowego istnienia. O roskoszy, o czarze, o potęgo bezwzględnej, absolutnej miłości! Ty jesteś zarazem siłą, pięknością i zdrowiem! Tak! to był ich akt wiary w życie; hymn, wyśpiewany na cześć płodności twórczej, niewyczerpanej nigdy, nieśmiertelnej! Żądza cielesna stała się boską, wieczną nadzieją. Oto padło nasienie na grunt dobry i żyzny, w westchnieniu bezgranicznego szczęścia. Więc niechaj kiełkuje ta siejba, niech rozdaje, rozprzestrzenia życie, niech wzbogaca ludność, rozmnaża jej siły, roznieci światłość! Noc majowa, noc miłosna drży cała w uniesieniu rozkoszy. Gwiazdy i ziemia omdlały z oblubienicą. Ponad porywem żądzy, przelatującej, jako wicher i burza, unosi się radość dokonanego, wszechwładnego aktu poczęcia. Jedna istota więcej nie znaczy bynajmniej więcej płaczu i nędzy, lecz przeciwnie — więcej siły, sprawiedliwości i prawdy. Tak ten atom, wyłaniający się zaledwie wśród nieprzeliczonych warstw współżyjących, przynosi już dzisiaj z sobą coś wielkiego, świętego, nieobliczonego, kto wie, będzie może rozstrzygającym czynnikiem w przyszłości narodów i świata."

Wspaniałe zaprawdę widnokręgi roztacza nam przed oczyma Zola w ostatnim rożdziale, — opisując dyamentowe gody swych bohaterów — marzenia świetnej przyszłości odrodzenia się wielkiej francuskiej ojczyzny.

„W Chantebled, na rozłożystym trawniku, zewsząd otoczonym gęstą zielenią grabów i wiązów, pod cieniem niebotycznego (zaledwie sześćdziesięcioletniego) dębu: *le chêne géant!* naokoło obficie zastawionych, kwiatami ubarwionych stołów, — gromadzi się całe plemię Froment. Sto pięćdziesiąt osiem potomków, wyszłych z jednego pnia — dzieci, dzisiaj starców, wnuków, prawnuków płci męskiej i żeńskiej, — przeszło trzysta osób, zaliczając do grona rodziny tych, co się z nią przez zawarte węzły małżeńskie złączyły. W tem otoczeniu piękność Mateusza i Maryanny promieniała w całym swym majestacie. Tak jest, pięknymi być nie przestali, bo w ich oczach jaśniała jeszcze ta miłość, niezmącona niczem w ciągu siedemdziesięciu pięciu lat pożycia. Uwielbiali się dzisiaj tak, jak w pierwszym dniu swego pobrania. Przez trzy ćwierci wieku szli wciąż ręka w rękę, na sobie oparci, nie zaznawszy ani jednej chwili żalu, nieporozumienia lub gniewu. Teraz, gdy spoglądali na tak długą przebytą drogę, w ufności i szacunku wzajemnym, miłemi im się nawet stawały ich wspólne cierpienia. Jeżeli zapłakali nieraz, to wspólność łez była im osłodą, pociechą w nieszczęściu. Choć śnieżna bielizna przypruszyła im czoła, zachowali dwudziestoletnią młodocianą wiarę w miłość. Jego serce spoczywało dotąd w jej sercu. Dla nich miodowe doby pierwszych dni hymenu przyświecały jeszcze, jak dawniej. Uczynili sobie wzajemną dań swych serc, i to na wieczne czasy. Nierozerwalny węzeł w kochaniu jedyna to, nie zawodząca nigdy pewność w szczęściu. Zespolili się w sile miłości, w woli i czynie, w tem boskiem pragnieniu, którego płomienne tchnienie tworzy światy. On przy ubóstwianej towarzyszce nie zaznał nigdy wyższej radości nad ową roskosz tworzenia. Patrzał teraz na spełnione dzieło, jako na jedyną racyę bytu ludzkiego, jako na obowiązek i najszczytniejszą zarazem nagrodę. Ona zaś w oddaniu się zupełnem pragnęła stać się tylko dobrą małżonką, dobrą matką, dobrą rodzicielką i wychowawczynią, zdrową na ciele i duszy, niestrudzoną w zabiegach i radzie. I wśród łez, mimo zapory, zalegające drogę zwyciężyli trudy życia dzięki tej długotrwałej jedności, dzięki zgodzie, zobopólnej, wierności i stałości, wśród wiecznej wiosny uczucia, otaczającej ich, jakby niczem nieprzełamanym puklerzem. Wszystko wyjednali i zdobyli — samą potęgą tej jedności. Teraz, u progu śmierci, podobni do starożytnych bohaterów, stali ręka w rękę, niezłomni, czyści, jak kryształ. I to nieprzeliczone, otaczające ich potomstwo, to plemię, wyrosłe z ich żywota, było wielkiem i silnem, głównie w odziedziczonym duchu rodzicielskiej jedności, tą prawą, silną miłością, przez ojca dzieciom przekazywaną, przywiązaniem rodzinnem, w ścisłej solidarności pomagając sobie wzajemnie w doli i niedoli — tak, jak przystoi braciom.“

Bo nie tylko w starej metropolii szeroko rozkwitły konary, z jednego, pnia wyrosłe. Tam, aż w Sudanie, na pamiątkę ojczystego gniazda, założono nowe Chantebled. Tam, nad Nigrem, wśród lasów i pastwisk, ciągnących się nieskończonem pasmem, utrwali się także panowanie rodziny Froment. I oto niespodziewanie w uroczystym dniu dyamentowego obchodu zjawia się — z podzwrotnikowych przybyły stron ów nieznany potomek rodu.

Nagle nastąpiła przerwa w dopiero co rozpoczętych godach. Zapanowało milczenie, i zdziwienie malowało się na wszystkich twarzach. Wśród długich ramion ogromnego, zastawionego w podkowę stołu, kroczył obcy młodzian.

Uśmiechnięty radośnie zbliżył się do górnych miejsc, zajętych przez Mateusza i Maryannę, a kornie przed nimi schyliwszy głowę, temi się do nich odezwał słowy:

— Witajcie, mili dziadkowie moi! Każcie jednem jeszcze nakryciem zastawić stoły, bo oto w dniu tym radosnym przybywa do was gość daleki.

Więc wszyscy, słysząc te wyrazy, oniemieli z podziwu. Któż był ten gość daleki? Zaiste nie należy do rodziny, albowiem nikt nie znał ani imienia, ani oblicza jego. Lecz jakiemże prawem witać mógł sędziwych przodków tą czczoną nazwą dziada i babki? Wzmogło się jeszcze zdumienie, gdy zauważono uderzające podobieństwo nowoprzybyłego z rysami jubilata. Toć to tylko współplemiennik mieć może te oczy jasne, to czoło wyniosłe, w kształcie wieży (*en forme de tour*); Mateusz w młodych swych latach odżył zaiste w tym nieznajomym — Mateusz, jakim go przedstawiał wizerunek, przechowywany w rodzinie,—w całym rozkwicie wiosny życia, gdy rozpoczynał zdobycie Chantebled.

Teraz patryarcha powstał, trzęsąc się ze wzruszenia; gdy przeciwnie, Maryanna patrzała uśmiechnięta, bo macierzyńskiem wiedziona przeczuciem serca pierwsza przeniknęła prawdę.

— I któż jesteś, dziecię moje? zapytał starzec, ty, który dajesz mi miano dziada, a do mnie podobnym jesteś, jak brat do brata?

— Na imię mi Dominik. Najstarszym jestem synem syna waszego Mikołaja, żyjącego tam, wespół z matką moją Elżbietą, w wielkim, wolnym kraju, w naszej drugiej Francyi.

— A ileż tobie lat liczą, kochanie?

— Skończę dwadzieścia i siedem w sierpniu, w porze, gdy wody naszego Nigru, życiodajnego, dobroczynnego olbrzyma, użyźniają rok rocznie nieprzemierzone łany nasze.

— I powiedz nam. Jestešże żonaty, maszli ty dzieci?

— Za towarzyszkę życia wybrałem sobie Francuzkę rodem z Senegalu. Dziś w naszym ceglanym dworcu, własną mą ręką wzniesionym, rozwija się czworo dziatek pod promieniami ognistego słońca Sudanu.

— I jeszcze jedno pytanie, maszli ty liczne rodzeństwo, braci, siostry?

— Ojciec mój Mikołaj z matką Elżbietą spłodzili osiemnaścioro potomstwa. Z nich dwoje umarło. Żyje nas dotąd szesnaścioro, dziewięciu synów i siedem córek.

Mateusz roześmiał się radośnie. O! jego pięćdziesięcioletni syn Mikołaj dzielnym się okazał rozkrzewicielem życia... Więcej jeszcze, niż on sam, zdziałał na niwie... Oczy jego spotkały się ze wzrokiem Maryanny, promieniejącym zachwytem.

— Więc, dziecię moje, ciągnął dalej, skoro jesteś synem syna mego Mikołaja, witajże w progu naszym, ukochany wnuku. Przystąp bliżej, bym cię do łona mego przycisnął! Oto nakrycie twoje! Siadaj i spożywaj! Znajdujesz się w domu swoim.

Ogólne zajęcie skupia się na tym nieoczekiwanym gościu. Oczy wszystkich ku niemu zwrócone. Zewsząd krzyżują się pytania: „A jakżeż tam, w tej dalekiej ojczyźnie?... I czy do serca przypada mu stara Francya? — O nie! jemu tu duszno i ciasno... Wielki Boże! Jakie marne to wasze królowanie! Jak tu obracać się w życiu między wami, nie rozbijając sobie nawzajem łokciami boków. Natło-

czyliście się w tych waszych zagrodach. Brak wam powietrza, potrzebnego męskim płucom. Te wasze pola, to, co szumnie nazywacie tutaj „wielką posiadłością“, to kretowiska, po których, jak mrówki, błądzą mizerne trzody wasze... Ach! tamtejsze ogromne przestworza, nad brzegami Nigru; ta nieskończoność obszarów, te przestrzenie lasów i łąk, ciągnące się jak okiem sięgnąć, nie mających innych granic, jak tonący w dal, w niebieskawej mgle — nieboskłon!

— A zatem opowiadaj nam cuda o tym olbrzymim Nigrze waszym.

— Tak! woła uniesiony wspomnieniami rodzinnego kraju, Mikołaj, tak! nasz Niger to olbrzym, ale także dobry ojciec, — potężny a łagodny, toczący swe fale, podobny do morza, tak szeroki, że żaden most, ręką ludzką rzucony, nie zdołałby złączyć przeciwległych brzegów jego. I na jego wodach rozsypane złote archipelagi, wyspy w zieleń ozdobne wyciągają swe ramiona. W okalających je głębinach igrają całe eskadry ryb potwornych. Niger nasz ma swoje burze, ale i w światłości skąpane dni pogodne. Żar słoneczny zapładnia jego fale. A jak cudowne jego noce przejrzyste, różowe, owiane czarem niewypowiedzianego uroku, gdy z gwiazdami, wschodzącemi na niebie niezamącony spokój także schodzi na ziemię! On rozpłodnikiem i ojcem, on zrodził Sudan, on w jego wnętrza wlał nieprzeliczone skarby. On w regularnym powrocie pór roku wylewami swymi zapładnia dolinę, zostawiając ją ciężarną po ujściu swych fal, w oczekiwaniu zrodzić się mającego nieprzebranego plonu. On, jak drugi Nil, przemógł piaski pustyni. On ojcem nieprzeliczonych pokoleń, on bóstwo, tworzące coraz to nowe światy, skąd kiedyś wasz stary świat zaczerpnie nowych sił i życia. A ta dolina Nigru, olbrzymia córa olbrzymiego rodzica! Jakież tam przestworza niezmierzone! jak tam łatwo myśl się wzbija aż ku nieskończoności! jakie przed okiem roztaczają się nieprzejrzane stepy! jakie olbrzymie roztwierają widnokręgi! Tak daleko, jak spojrzysz, bez zapór, bez granic ciągną się nieprzerwanie pola i jeszcze pola... A zagony? Potrzeba lat całych, by zorać ich powierzchnię. Jutro atoli to bezmierne państwo stanie się własnością śmiałka, który sobie w niem wykroi królestwo na miarę swej wytrwałości i siły, nie, jak u was, na hektary, — lecz na całe mile kwadratowe, bujnem się mające pokryć kwieciem. Oto marzenie nasze, olbrzymie dzieło, które dokonamy. Kolej transsaharyjska połączy Algier z Tumbuktu. Elektryczne pociągi przeniosą starą Europę po przez ten ocean ognia i piasków. Parowa flotyla, obsługująca Niger, zjednoczy znowu Tumbuktu z Senegalem; odnogi magistralnej linii poprzerzynają na wsze strony niezmierzone przestrzenie pustyni. Nowa Francya tworzyć będzie olbrzymią całość z metropolią, ciągnąc się nieprzerwanem a nieskończonem pasmem wybrzeży. I otworzy ona wszystkim naoścież swe wrota, rada przyjąć owe sto milionów istot, które się pod jej słońcem, na jej żyznej ziemi rozmnażać będą. Wprawdzie trzeba nam czasu. Wielkie dzieło nie stanie z dnia na dzień. Bądź co bądź jednak, Nowa Francya już istnieje, domaga się tylko naszej krwi, naszej pracy, naszego znoju, a my damy jej serdeczną tę krwawicę naszą. O! niechaj się zaludnia, niech z łona swego wyda kryjące się w niem jeszcze bogactwa i niech ta nasza Francya stanie się wielką, potężną, wszechwładną! W spokoju i ufności oczekuję tej chwili. Zwyciężymy ostatecznie, jak zwyciężaliśmy dotąd. W szalonym na pozór rozmachu i czynie tkwi zarodek takiej mądrości. Więc tam powstanie nowe królestwo naszego plemienia, drugi Chantebled, tysiąckrotnie rozleglejszy — a wy, dziadku, wy, babko, pozostaniecie w pamięci następujących po sobie pokoleń przodkami założycielami. Oddawać wam

będą synowie wasi cześć boską. Więc wychylam ten puhar: wnoszę wasze zdrowie, dziadku i babko, w imieniu tego przyszłego ludu waszego, rozradzającego się tam, w promiennym blasku słońca.“

Piękne i wzniosłe zaiste słowa — wspaniałe zarysy gmachu przyszłości. Szkoda tylko, że na frontonie budowy nie widnieje nigdzie święte imię „Boga“ — a Bóg jeden stoi na straży narodów... Zola o tem zapomniał lub też zapomnieć chciał. Bez Boga budujemy na piasku, i znikome bywają dzieła nasze: „*Nisi Dominus custodierit civitatem, frustra vigilat qui custodit eam.*“

A. Wodziński.



ZMIERZCH BOGÓW....

„Kochanka Moora tylko z Moora ręki zginąć może....“
Schiller: Zbójcy.

Tak zwane nauki społeczne, nauki, których przedmiotem są społeczeństwa ludzkie, rozważane ze strony budowy, życia i rozwoju, różnią się od wszystkich innych nie tylko treścią swoją, metodą i wiekiem. Nauki te, bądź wzięte, jako całość — chociaż o scałkowaniu rzeczywistem mowy tu jeszcze niema — bądź każda zosobna, posiadają pewną szczególną, sobie tylko właściwą cechę genetyczną: są one częścią składową tej dziedziny zjawisk, której badaniem się zajmują. Coś podobnego spotykamy już w psychologii, gdzie duch jest podmiotem i przedmiotem zarazem, a jeszcze bardziej w logice, która jest sama sobie warunkiem i celem, najsilniej wszakże i najzgubniej charakterystyczna ta dwulicowość występuje w naukach społecznych. Zależy to całkowicie od natury zjawisk społecznych. Badając świadomość ludzką, mamy do czynienia z przedmiotem, który jest nam równy i z naszą świadomością współrozciągły; badając społeczeństwo, stoimy wobec przedmiotu, który nas przerasta, obejmuje i pochłania — zarówno pod względem fizycznym, jak i pod względem duchowym. Badając zjawiska świadomości, pragniemy poznać własne „ja“ ze strony wyłącznie formalnej,

chcemy mianowicie zrozumieć jego budowę i jego działanie, określić jego pierwiastki i wypowiedzieć zasady ich współzależności oraz prawa ich współoddziaływania, pomijamy zaś całkowicie treść, zawartość i wartość ducha, gdy przeciwnie, badając społeczeństwo, zgłębiamy zjawiska, które są jakgdyby zobjektywizowaną treścią ducha naszego i tylko tak się z nim wiążą. Język, sztuka, religia, moralność, prawo, układy polityczne, działania polityczne, wytwarzanie i podział dóbr materyalnych, organizacye kościelne, ekonomiczne, obyczajowe — wszystko to jest pewnego rodzaju ucieleśnieniem duchowych dorobków ludzkości i z kolei jest cząstką naszego „ja". Kiedy psychologowi chodzi tylko o wykrycie stosunku pomiędzy różnymi stanami świadomości, pomiędzy wrażeniem a wyobrażeniem, postrzeżeniem a pojęciem, uczuciem a wzruszeniem, pożądaniem a chceniem i t. d., co najwyżej zaś o ustalenie i opisanie pewnych typowych przebiegów i spraw duchowych, t. zw. władz i czynności, jako to: rozum, pamięć, popęd, wola, kojarzenie, porównywanie, sądzenie, odczuwanie i t. p., socyolog iść musi wprost do treści faktów swoich, wprost do ich pożyteczności lub szkodliwości, moralności lub zbrodniczości, słuszności lub błędności, piękności lub brzydoty, słowem, do ich wartości i roli w społeczeństwie. Jeżeli uznajemy, iż przymioty te są względne, nie tylko nie ułatwiamy sobie pracy, lecz owszem, ją utrudniamy albo raczej wówczas dopiero spostrzegamy całą jej trudność. Stokroć łatwiej byłoby odbudowywać przeszłość i wykreślać prawa jej przebiegu, gdyby można było posiąść podstawę nieruchomą i sprawdzian niezmienny; przy pomocy takiego sprawdzianu i na takiej podstawie stworzyłoby się *normalny rozwój* społeczny i szukałoby się *w rozwoju rzeczywistym* jedynie zboczeń i odchyleń, wywołanych tu i owdzie temi lub owemi przyczynami. Tak radzili sobie historyozofowie katoliccy od św. Augustyna do Bossuet'a, podobnie rozumował Comte i później socyologia biologiczna ze Spencerem na czele, nie inaczej też myślał Marx, twórca materyalistycznego pojmowania dziejów.

Zanim wszakże przejdziemy do wywodów Edw. Bernsteina, który w najnowszej pracy swojej [1]) rozpatruje teoretyczne i praktyczne błędy nauki Marxa, zastanówmy się głębiej jeszcze nad swoistym charakterem nauk społecznych, nad tą mianowicie ich właści-

---

[1]) *Die Voraussetzungen und die Aufgaben* etc. — Stuttgart 1899 u J. H. W. Dietza SS.; str. X i 188.

wością, że obejść się nie mogą bez zgłębiania duchowej treści zjawisk. Paradoksalne twierdzenie, jakoby każda nauka badała tylko stosunki współistnienia lub następczości, na nic się, jako odpowiedź, nie przyda. Każda nauka potrzebuje określeń, wszelkie zaś określenie jest przedewszystkiem oznaczeniem treści. Nawet określenia ostateczne, na krańcach poznania i doświadczenia leżące, pojęcia bytu, substancyi, siły, materyi, ruchu etc., jeszcze jakąś bodajby niewyraźną treść myślową mają, jeszcze nie zupełnie są wytworem odejmowań, usuwań, ograniczeń i t. p. środków abstrakcyjnych. Cóż dopiero mówić o pojęciach i określeniach socyologicznych, ekonomicznych, etycznych, historycznych i t. d., o pojęciach dobrego i złego, prawa i bezprawia, szkody i pożytku, bogactwa, użyteczności, postępu, wolności, panowania i t. p.! To samo zauważyć można o wszelkich wogóle twierdzeniach nauk, które tu mamy na względzie. Zarówno ten, kto mówi, że rozwój posuwa się od przymusu i panowania do wolności i umowy (de Greef), jak i ten, kto utrzymuje, że z dotychczasowej moralności „unikania cierpień" wykwita moralność nowa „urzeczywistniania pragnień" (Patten), zarówno obrońca wolnej gry sił ekonomicznych, jak i apologeta szkoły bezwyznaniowej, zarówno Tylor, który widzi jądro wierzeń religijnych w animizmie, jak i Loria, który ma państwo za organizacyę panowania klas posiadających, każdy z nich ma na uwadze stronę jakościową zjawisk społecznych, i przytem ich stronę psychiczną. Inaczej zresztą być nie może, skoro społeczeństwo — w przeciwstawieniu do prostego współżycia — jest organizacyą sił psychicznych.

Ale z tej psychiczności społeczeństwa i z tej koniecznej psychiczności nauk społecznych wynikają bardzo ważne skutki. Ponieważ jednostka, która poznaje życie społeczne, sama do społeczeństwa należy i udział w rozwoju społecznym bierze, ponieważ jej myśli, uczucia, wierzenia, wyobrażenia są do pewnego stopnia powtórzeniem, dalej odbiciem, a wreszcie przeróbką myśli, uczuć, wierzeń, wyobrażeń społeczeństwa, ponieważ w jednostce myśli i czuje dane pokolenie i wiek dany, dany naród i dana jego warstwa czy klasa, więc sądy jednostki wyrażać będą — do pewnego znowu stopnia — to, czemu nadać można miano idei społecznych, idei naprzód ogólno-narodowych, potem klasowych, wyznaniowych, partyjnych i t. d. Idee społeczne, w ten sposób zindywidualizowane w umyśle badacza, w rozmaitych czasach, warunkach i miejscach rozmaitą treścią wypełniają te same stałe formy umysłowości ludzkiej i z rozmaitą kojarzą się skutecznością według tych samych stałych norm myślenia — to też nie utrudniają badań, dopóki chodzi

o badanie form i procesów myślowych, czyli o badania psychologiczne, utrudniają zaś pracę nadzwyczajnie, gdy idzie o poznawanie faktów i procesów społecznych. Wówczas właśnie treść duchowa tych procesów i faktów, czyli ta ich strona, o którą najbardziej dba socyolog, już będąc obecna, jako idea społeczna, w umyśle badacza, nadaje poznaniu piętno współczesności, a przez to samo pozbawia je w stopniu nader znacznym charakteru trwałego i bezwzględnego. Zazwyczaj dzieje się to i w stosunku do przeszłości i do przyszłości; gdy jednak błędne sądy o przeszłości łatwiej poprawiać i prostować się dadzą przez zestawianie faktów, błędne domniemania co do przyszłości uniknięte być mogą chyba przy nadzwyczajnej sile analizy i niezmiernie bystrym zmyśle krytycznym. W ten sposób, jeżeli kierunek rozwoju społecznego przyrównamy do jakiejś krzywej, każdoczasowy okres rozwoju będzie niby jedną z owych nieskończenie małych linii prostych, które w skład krzywej wchodzą, teorya zaś socyologiczna, w danym punkcie rozwoju zbudowana i dalszą drogę rozwojową przepowiadająca, teorya ta, która jest antycypacyą przyszłości, niby rzutem naprzód, najpospoliciej polega na dyatektycznem przedłużeniu drobnego odcinka krzywizny, nieskończenie małej linii prostej. I oto znów otrzymujemy n o r m a l n y r o z w ó j społeczny.... Błędy podobne są tembardziej zrozumiałe, może nawet nieuniknione, iż myśl ludzka nigdy nie zdoła przewidzieć i objąć całego mnóstwa warunków i czynników, stanowiących o przebiegu danego zjawiska. Nawet w dziedzinie zjawisk o wiele prostszych, niż procesy społeczne, prawo bywa oderwanym szematem tylko, wyrazem działania pewnej ilości sił, dobrze określonych i oznaczonych. Ale też w astronomii, w fizyce, chemii prawa nie mogą być niczem więcej, jak tylko formułą, domyślnie wyrazy: *caeteris paribus* zawierającą; nie roszczą pretensyi do wieszczeń i proroctw, są abstrakcyą. Niezłonność praw naturalnych nie na tem polega, iż zjawiska konkretne muszą przebiegać szematycznie, lecz na tem, że daną przyczynę z danym jej skutkiem wiąże stosunek stały; przywilejem zaś rzeczywistości jest posiadać ową przyczynę w pewnej chwili i w pewnym punkcie, posiadać ją obok wielu innych, które też właściwy wpływ wywrą, lub nie posiadać jej wcale. Dlatego nauki wogóle dzielą się na abstrakcyjne i konkretne: pierwsze zapomocą analizy wyszukują stosunki stałe współzależności i następstwa, wykazują związki przyczynowe, siły i przejawy sił w poszczególnych kategoryach świata rzeczywistego; drugie zapomocą syntezy określają przebieg zjawisk typowych, w których zespalają się całe grupy sił, całe sploty związków przyczynowych.

Nauki zaś czysto opisowe podciągają nieskończoną rozmaitość zjawisk i rzeczy pod owe mniej liczne typy czyli klasyfikują rzeczywistość, tłómacząc zboczenia przez wpływy drugorzędne, przypadkowe, nieprzewidziane. Systematyka roślin opiera się na morfologii, fizyologii i anatomii świata roślinnego, te zaś trzy — na chemii i fizyce, które są wspólną podstawą nauk, zmierzających do poznania świata organicznego i nieorganicznego. Mineralogia opisowa ma za podstawę krystalografię i chemię; kosmografia — astronomię i mechanikę nieba; antropologia — anatomię i psychologię i t. d.

Nie inaczej rozumiał zadanie swoje twórca socyologii Comte, który odkładał socyologię konkretną — błędnie zresztą utożsamiając ją z historyą konkretną rozmaitych społeczeństw — aż do chwili, gdy socyologia abstrakcyjna uwidoczni i ustali prawa współżycia społecznego [1]). Ważna ta przestroga poszła w niepamięć u socyologów późniejszych, a de Roberty usiłował nawet wykazać, że jest ona wprost zbyteczna. Otrzymaliśmy tedy cały szereg teoryi, które albo usiłują sprowadzić wszelkie sprawy społeczne do przejawów jednej jakiejś siły, jednego czynnika, który danemu badaczowi podoba się uważać za podstawowy (u Tarde'a popęd naśladowczy, u Durkheima podział pracy, u Gobineau rasa i t. d.), albo też chcą dedukcyjnie wyprowadzić całkowity rozwój społeczeństw z jednej jakiejś zasady (sam Comte z hypotezy trzech kolejnych stanów ducha, skrajni zwolennicy hypotezy biologicznej z pojęcia organizmu, Hauriou z przypuszczenia, że celem życia społecznego jest usuwanie sprzeczności etc.), snując systematy, które słusznie zasługują na miano metafizycznych, lubo zawierają zawsze mniej lub więcej trafne spostrzeżenia i często najtrafniej odgadują poszczególne momenta i stosunki. Tymczasem zalecenie Comte'a nie straciło nic na wartości: analiza i abstrakcya powinny w socyologii poprzedzać syntezę i wykład konkretny. Niekoniecznie wypada domagać się aż dwu osobnych nauk socyologicznych, niezbędnie wszakże nastawać należy na taki porządek badań. Dopóki bowiem nie poznamy dokładnie działania sił społecznych — nie mówiąc już o tem, że i co do sił samych nie wyczerpaliśmy jeszcze kwestyi — dopóki nie potrafimy postawić w socyologii znacznego szeregu praw, wyrażających poszczególne zależności (jak np. w fizyce, w fizyologii, w psychologii), dopóty nie zdołamy wyjaśnić następstwa okresów rozwo-

---

[1]) Ob. Em. Rigolage *La sociologie par Auguste Comte* (*résumé*) — Paryż 1897, rozd. VII.

jowych społecznych i przewidywać dalszego ich ciągu. Będziemy zawsze pozostawali na stycznej, a teorye nasze będą odbiegały od istotnej drogi dziejowej; będziemy podnosili tendencye współczesne do potęgi dążności bezwzględnie stałych, które jakoby na zawsze normować mają życie społeczeństw. Smith, porwany przez falę wzbierającego kapitalizmu, nada wolności ekonomicznej godność prawa natury, Marx — teoretyk sprzeczności kapitalistycznych — nie dojrzy innego rozwiązania kwestyi, jak tylko dojście tych sprzeczności do *absurdum*, i t. d.

Wszystko to są błędy teoretyczne. Ale poza nimi — skutkiem ścisłego związku teoryi socyologicznej z praktyką polityczną — ukrywają się nowe złudzenia. Kto przechodzi od błędnej teoryi do wskazań praktycznych, ten daje rady chybione lub szkodliwe (wpływ Rousseau na rewolucyę r. 1789, „nihilizm administracyjny" Spencera); kto przeciwnie, wychodząc z życia, z jego starć, sprzeczności, dążeń, haseł, wprowadza do teoryi postulaty polityczne jakiegoś narodu lub jakiejś klasy, choćby nawet w formie zmienionej, uzupełnionej, uświadomionej w szczegółach, ten tworzy utopię lub doktrynę. Utopię — jeżeli przypuszcza, iż możliwem jest natychmiastowe urzeczywistnienie owych postulatów, przez siebie do teoryi socyologicznej wprowadzonych (Blanqui, anarchizm nowożytny i t. p.); doktrynę — jeżeli wtłacza rozwój społeczny w ramy tendencyi sobie współczesnych i za pomocą metody dyalektycznej oznacza kolejność zjawisk dziejowych aż do chwili urzeczywistnienia się dążeń, w umyśle jego i w jego sumieniu panujących. Doktryna jest wobec utopii tem, czem błąd człowieka dojrzałego wobec błędu dziecka, czem tęskne pożądanie wobec stanowczego pragnienia, czem urojenie senne wobec mary na jawie.

Krytyka nowożytnego ustroju gospodarczego i na niej oparte pomysły socyologiczne były utopią przez czas długi i wielu wydały utopistów; od Marxa dopiero datuje się przejście ich na stopień doktryneryzmu. Nie wahajmy się tak nazwać głośnej teoryi materyalizmu historycznego wraz ze wszystkimi jej wynikami, równoleżnikami i zastosowaniami — skoro, jak mowi Bernstein, „mamy tam nie tylko przecenianie widoków akcyi politycznej.... ale i czysto spekulacyjne uprzedzanie chwili dojrzałości w rozwoju ekonomicznym i społecznym, który ledwo pierwsze puszczał pędy.... Na to, żeby się mógł ostać pierwotny szemat rozwojowy, skonstruowany na sposób heglowski, należało albo opacznie tłómaczyć rzeczywistość albo też, wykreślając drogę do zamierzanego celu, nie zachowywać zgoła miary realnej".

Zobaczmy, jakimi dowodami Bernstein popiera swą opinię.

I.

Podstawą całej nauki Marxa jest mniemanie, iż sposób produkowania dóbr materyalnych stanowi o ustroju społecznym, układzie politycznym i życiu duchowem społeczeństwa, że „nie świadomość ludzka określa byt społeczny, lecz odwrotnie, byt ten określa świadomość”. „Technologia — powiada Marx — wyjaśnia stosunek czynny ludzi do przyrody i bezpośrednie procesy wytwórcze ich życia, a zatem także ich społeczne stosunki życiowe oraz wyobrażenia duchowe, które w stosunkach tych mają źródło”. Teorya ta, której Fr. Engels nadał miano „materyalistycznego pojmowania dziejów”, chociaż — jak słusznie zauważył Barth — jest ona tylko pojmowaniem „techniczno-ekonomicznem” [1]), pociąga za sobą konieczność widzenia w dziejach gry sił niezłomnych i nieugiętych, kolei zjawisk nieuniknionych i niezbędnych. Z właściwą sobie dobitnością, w której brzmi coś więcej, niż determinizm (Bernstein powiada, że jest to „kalwinizm bez Boga”), powtarza Marx, analizując prawa wytwarzania kapitalistycznego: „ma się tu do czynienia z tendencyami, które z żelazną niezbędnością działają i w życie wchodzą”.... Kładąc tak wielki nacisk na czynniki ekonomiczne rozwoju społeczeństw, Marx i jego bezkrytyczni epigonowie musieli przez to samo odmawiać wszelkiego wpływu czynnikom duchowym lub przynajmniej wyznaczać im rolę błahą i wtórną Lecz jeżeli kiedykolwiek, to właśnie w dziejach nowożytnych rzecz musi się mieć przeciwnie. „Gdy chodzi o masy tak wielkie, jak narody nowożytne z ich właściwościami życiowemi, wyrosłemi z tysiącoletniego rozwoju, po największych bodaj przeobrażeniach stosunków własności, tem mniej spodziewać się należy szybkiej przemiany natury ludzkiej, że stosunki gospodarcze i własnościowe stanowią ledwo część środowiska społecznego, określającego charakter ludzki. Wypada też brać tu pod uwagę wiele czynników oprócz sposobu produkcyi i wymiany, do czego materyalizm historyczny głównie przywiązuje wagę, uwzględniać jeszcze między innemi stosunki ugrupowania, czyli skupienia terytoryalnego, to jest podział ludności według miejsca, i urządzenia komunikacyjne: mogą one zależeć od

---

[1]) Dr. Paul Barth. *Die Philosophie der Geschichte als Sociologie* — Lipsk 1897, tom I, str. 317.

sposobu produkcyi i wymiany, lecz skoro już są dane, wywierają same wpływ wzajemny".

Im w wyższym zaś stopniu na życie społeczeństwa wpływają inne siły prócz sił czysto ekonomicznych, tem bardziej zmienia się waga tego, co zwiemy koniecznością historyczną. W społeczeństwie nowożytnem musimy rozróżniać pod tym względem dwa wielkie prądy. Przedewszystkiem widzimy, że wzrasta pojmowanie praw rozwoju, mianowicie rozwoju ekonomicznego. Krok w krok z tą wiedzą — poczęści, jako jej przyczyna, poczęści znów, jako jej skutek — postępuje zdolność kierowania rozwojem ekonomicznym. Naturalne siły ekonomiczne, podobnie, jak fizyczne, z władców człowieka stają się jego sługami w miarę poznawania ich istoty. W ten sposób społeczeństwo jest dziś bardziej, niż kiedykolwiek, niezależnem wobec bodźców ekonomicznych, i jedynie sprzeczność, która zachodzi między interesami jednostek a interesami ogółu, utrudnia urzeczywistnienie w praktyce tej niezależności teoretycznej. Jednocześnie przecież interesy ogółu coraz bardziej zyskują na sile wobec interesów prywatnych, i stąd we wszystkich dziedzinach życia, w których się to dzieje, ustaje władza żywiołowa sił ekonomicznych. Rozwój zaczyna być przewidywany, odbywa się przeto coraz żwawiej i łatwiej, coraz znaczniejsza część życia usuwa się z pod wpływu konieczności, idącej wbrew woli człowieka.

Fakt, iż ludzie poświęcają dziś więcej uwagi czynnikom ekonomicznym, nabiera pozorów, jakoby czynniki te większą dziś odgrywały rolę, niż dawniej. Jest to złudzenie, którego źródła szukać należy w tem, iż pobudki ekonomiczne występują dzisiaj swobodnie, gdy przedtem osłaniała je zależność poddańcza i formuły ideowe. Społeczeństwo nowożytne jest owszem daleko zasobniejsze od dawnych społeczeństw w takie idee, na które ani ekonomia, ani przyroda, jako siła ekonomiczna, nie wywierają wpływu. Nauki, sztuki, wielki szereg stosunków społecznych daleko mniej zależą dziś od gospodarki, niż kiedykolwiek dawnymi czasy, mówiąc zaś zupełnie poprawnie, powiedzieć możemy, iż osiągnięty przez społeczeństwa współczesne stopień rozwoju ekonomicznego pozostawia czynnikom ideowym, a zwłaszcza etycznym coraz większe pole wolnego działania. Skutkiem tego związek przyczynowy między rozwojem techniczno-ekonomicznym a rozwojem innych urządzeń społecznych staje się coraz bardziej pośredni, skąd wynika, że ekonomiczna żywiołowość coraz mniej kieruje przeobrażeniami społeczeństwa.

Jeżeli pogląd Marxa na dzieje grzeszy jednostronnością i oschłością, analiza współczesnego życia gospodarczego nie jest

również wolna od zarzutów. Węzłem, w którym zbiegają się wszystkie nici tej analizy, jest owa słynna teorya wartości, która według powszechnego jej rozumienia głosi, jakoby miarą wartości wymiennej towarów była praca. Wartością towaru — powiada Marx w tomie I „Kapitału" — jest ilość społecznie niezbędnej do wytworzenia jego pracy, przyczem miarą pracy jest czas, praca zaś złożona lub wyższa sprowadza się do prostej lub oderwanej. Wszystko, cokolwiek przedsiębiorca wyłożył na kupno surowca, środków pomocniczych, na utrzymanie i odnawianie narzędzi i maszyn, na budowę i utrzymanie fabryki, na opłatę czynszu i t. d., wszystkie, słowem, koszta zawartej w towarze pracy ubiegłej i martwej, wchodzą w skład wartości towaru bez zmiany. Inaczej ma się rzecz z włożoną w produkcyę pracą żywą. Ta kosztowała kapitalistę tyle, ile wydał na płacę zarobną, przynosi mu zaś więcej, tyle mianowicie, ile jest warta zakupiona praca. Płaca zarobna jest równoważnikiem pieniężnym zakupionej siły roboczej, wartość pracy odpowiada włożonej przez robotnika w produkcyę ilości pracy i przewyższa płacę zarobną. Przewyżka, czyli nadwartość pozostaje w ręku przedsiębiorcy i jest źródłem jego zysku.

Trzeba wiedzieć wszakże, iż cały ten wywód misterny, który pospolicie podawany bywa za klucz do zrozumienia istoty stusunku między przedsiębiorcą a robotnikiem, zarazem zaś za punkt wyjścia wszelkich rozumowań, tyczących się podziału bogactwa narodowego i rozwoju sprzeczności ekonomicznych, że cały ten wywód dla samego Marxa był nie tyle wykładem rzeczywistego przebiegu zjawisk, ile raczej środkiem analizy i uzmysłowienia. Teorya wartości i nadwartości jest poprostu konstrukcyą logiczną, która nie dowodzi niczego i niczego dowodzić nie chce, lecz na przykładzie oderwanym pojedyńczego przedsiębiorstwa i pojedyńczego towaru przedstawia, w jaki sposób pojmował jej twórca całość produkcyi kapitalistycznej. Drugi i trzeci tomy „Kapitału" w sposób, żadnej wątpliwości nie pozostawiający, stwierdzają fakt ten, zbyt często pomijany i zapominany. W rozwiniętem społeczeństwie kapitalistycznem — mówi Marx — towary zbywane są naprawdę nie według wartości swej, mierzonej przez pracę, lecz według c e n y w y t w ó r c z e j (*Produktionspreis*), która powstaje przez dodanie do kosztów produkcyi (to jest płacy zarobnej wespół z wartością zużytej przy wytwarzaniu pracy martwej) pewnej nadwyżki; to znów odpowiada przeciętnej stopie zysków w społeczeństwie. Przeciętna zaś stopa zysków wytwórczych zależy od stosunku pomiędzy całkowitą wartością całej produkcyi społecznej a całkowitą sumą płacy

zarobnej w produkcyi, wymianie i t. d., przyczem należy brać pod uwagę podział kapitału na przemysłowy, kupiecki i bankowy, a rentę gruntową odjąć od wartości wytworów i t. d. W ten sposób wartość towarów poszczególnych traci wszelką treść konkretną i staje się konstrukcyą czysto myślową, pojęcie zaś nadwartości doznaje nowego osłabienia i rozpływa się w marę nieuchwytną.

Na pierwszy plan występuje wartość całkowitej produkcyi społecznej oraz przewyżka tej wartości ponad całkowitą sumę zarobków klasy robotniczej, czyli nie indywidualna już, lecz ogólna społeczna nadwartość. Wszystko to, co ogół robotników wytworzy w ciągu danego okresu czasu ponad przypadający mu udział, jest nadwartością społeczną, nadwartością wytwarzania społecznego, która dzieli się pomiędzy pojedyńczych kapitalistów mniej więcej równomiernie i według sumy kapitałów, włożonych w ich przedsiębiorstwa. Nadwartość owa wszakże realizuje się o tyle tylko, o ile całkowita produkcya odpowiada całkowitemu zapotrzebowaniu, czyli pojemności rynku. Patrząc na rzeczy z tego punktu widzenia, t. j. biorąc pod uwagę całość produkcyi, musimy przyjść do wniosku, iż wartość danego towaru określa się przez czas pracy niezbędny do wytworzenia w normalnych warunkach produkcyi takiej towaru tego ilości, jaką nabyć zdoła w danej chwili rynek społeczny, t. j. ogół, jako odbiorca. Ale na to właśnie niema żadnej miary; każdoczasowe ogólne zapotrzebowanie nie da się w żaden sposób oznaczyć i zmierzyć — skutkiem czego i ono samo, i oparta na niem wartość, i zależna od niej nadwartość pozostają faktami czysto myślowymi.

Marksowska teorya wartości jest więc zwodniczą dlatego naprzód, iż według niej wartość pracy zdaje się zawsze dostarczać miary do oznaczenia wyzysku robotnika przez kapitalistę (nawet stopa nadwartości nazywa się tu stopą wyzysku). Miara ta jest jednak błędna wówczas nawet, gdy bierzemy społeczeństwo, jako całość, i przeciwstawiamy całkowitą sumę płac zarobnych całkowitej sumie dochodów pozostałych. Następnie teorya wartości tak samo nie może być wskazówką sprawiedliwości lub niesprawiedliwości podziału wytworów, jak teorya atomistyczna nie może dostarczać norm do oceny piękności lub szpetności rzeźby. Robotników najlepiej płatnych, prawdziwą „arystokracyę klasy robotniczej”, spotykamy dziś właśnie w gałęziach przemysłu o bardzo wysokiej stopie nadwartości, płace zaś najnędzniejsze, „głodowe” tam gdzie stopa nadwartości jest bardzo nizka.

Na samym tylko fakcie, że robotnik najemny nie otrzymuje całej wartości wytworu swej pracy, niepodobna oprzeć naukowego uzasadnienia teoryi polityczno-społecznej Marxa. „Więc też Marx — powiada Fr. Engels w przedmowie do „Nędzy filozofii" — nigdy żądań swoich na tej podstawie nie opierał, lecz raczej na fakcie rozkładu produkcyi kapitalistycznej, która w oczach naszych z każdym dniem coraz wyraźniej podąża do ruiny".

Jesteśmy u szczytów nauki Marxa, w samym środku krytyki kapitalizmu.

II.

Gospodarstwo nowożytne, zdaniem Marxa, nagromadza kapitały w rękach niewielu przedsiębiorców, zuboża zaś masy. W przemyśle, handlu i rolnictwie odbywa się coraz to większe ześrodkowywanie przedsiębiorstw i bogactw, coraz to silniejsze wywłaszczanie drobnych kapitalistów na rzecz większych. Następują gwałtowne i coraz to zgubniejsze przesilenia peryodyczne, wywołane przez anarchiczną produkcyę i upadek zdolności nabywczej mas; przesilenia te przyśpieszują proces centralizacyi i wywłaszczania. Z jednej strony upowszechnia się kolektywistyczna forma wytwarzania w fabrykach, z drugiej — ilość „magnatów kapitalistycznych wciąż się zmniejsza". Gra sprzeczności posuwa się nieprzerwanie i niezmiennie — aż do zaprzeczenia samej sobie.

Jestże wszystko to prawdą?

Tak i nie — odpowiada Bernstein. Jest prawdą, o ile mowa o tendencyi ogólnej, a jeżeli obraz mimo to nie godzi się z rzeczywistością, przyczyny szukać należy w jego niezupełności. Marx albo zupełnie pomija czynniki, które w pewien łagodzący sposób działają na zobrazowane przez niego sprzeczności, albo też, wymieniając je wprawdzie przy sposobności, zapomina o nich później przy zestawianiu i przeciwstawianiu faktów, skutkiem czego przebieg społeczny antagonizmów wydaje się o wiele jaskrawszym, bezwzględniejszym i twardszym, niż jest wistocie. Tak np. w tomie I „Kapitału" Marx mówi o tworzeniu się nowych latorośli kapitału przez podział i t. d. („odpychanie się wzajemne pojedyńczych kapitalistów") i czyni uwagę, iż dzięki takiemu rozszczepianiu ilość kapitalistów w miarę nagromadzania się kapitałów „mniej lub więcej wzrasta". Ale w wywodach dalszych niema już wzmianki o tym wzroście ilości kapitalistów, jak gdyby wyrazy „mniej lub więcej"

wystarczały do załatwienia się z kwestyą; pod koniec tomu I mówi się już wprost o „coraz mniejszej liczbie możnowładców pieniężnych”, w tomach następnych nic się pod tym względem nie zmienia, i w kołach socyalno-demokratycznych panuje przekonanie, jakoby równolegle do koncentracyi przedsiębiorstw przemysłowych postępowała koncentracya zamożności.

Tak przecież nie jest. Forma akcyjno-spółkowa w stopniu bardzo znacznym tamuje dążność centralizacyi przedsiębiorstw do centralizowania majątków. Forma ta umożliwia bardzo głębokie rozszczepianie kapitałów, już nawetześrodkowanych, i czyni zbytecznem przywłaszczanie ich przez jedną osobę w celu ześrodkowania przedsiębiorstw przemysłowych. Aby wyrobić sobie należyte pojęcie, jak daleko sięga wpływ akcyjnej formy prowadzenia przedsiębiorstw, należałoby posiadać dokładne dane o ilości i wartości akcyi i udziałów zakładowych, uprzywilejowanych i t. d., nadto zaś o liczbie ich posiadaczy. Ale bezimienność akcyi i obligacyi czyni obliczenie takie niemożebnem, w Anglii zaś — gdzie akcye imienne przeważają — nikt jeszcze nie podjął się ułożenia stosownej statystyki. Dość wszakże wziąć pod uwagę t. zw. *trusty*, żeby spostrzedz, iż w tych nawet krańcowych wykwitach kapitalizmu ukrywają się stosunki, zgoła nie odpowiadające pospolitym sądom. Dwa ogromne *trusty* fabryk przędzalniczych liczą razem 17,754 posiadaczy udziałów, w tej liczbie aż 15,204 z udziałami niższymi od 10,000 marek. Wielki kanał manczesterski jest własnością 40,000 akcyonaryuszów; przedsiębiorstwo artykułów spożywczych pod firmą T. Lipton należy do 74,262, bazar londyński p. f. Spiers i Pond z kapitałem 26 mil. mk. do 4,650 akcyonaryuszów, z których ledwo 550 posiada udziały ponad 10,000 mk. Ogólną zaś ilość akcyonaryuszów w Wielkiej Brytanii szacują na milion [1]). Taki podział bogactwa narodowego — zamiast wyrazu: bogactwo powiedzieć można prawie bez błędu: nadwartość — odbija się też w cyfrach statystyki dochodów. W r. 1851 w Anglii istniało 300,000 rodzin z dochodem od 150 do 1,000 f. st. (średnie i drobne mieszczaństwo oraz arystokracya robotnicza), w r. 1881 rodzin takich było już 990,000. A więc ta klasa dochodowa wzrosła o 233⅓%, kiedy ludność wzrosła o 30%. Nie inaczej szły rzeczy w innych krajach. We Francyi z ogólnej

---

[1]) W roku 1896 istniało w Wielkiej Brytanii 21,223 towarzystw akcyjnych z kapitałem 22,290 mil. mk., a kapitały angielskie, umieszczone w przedsiębiorstwach zagranicznych, wynosiły 43,000 mil. mk.

ilości 8,000,000 rodzin wypada 1,700,000 na rodziny z dochodem przeciętnym po 5,200 mk. (wielkie i drobne mieszczaństwo 6,000,000 rodzin robotniczych i 160,000 zupełnie bogatych. W Prusach w r. 1854 było 16,300,000 ludności i 44,407 osób z dochodem ponad 3,000 mk., w r. 1894/5 cyfry te doszły do 33 mil. i 321,296 osób, a więc ludność się podwoiła, ilość zaś osób, dobrze położonych majątkowo, powiększyła się siedmiokrotnie. W Saksonii między r. 1879 a 1892 liczba dochodów między 800 a 3,300 mk. (drobne mieszczaństwo i dobrze płatni robotnicy) urosła od 21% do 30½% ogólnej ilości dochodów opodatkowanych.

Błędnem jest przeto z gruntu twierdzenie, jakoby rozwój współczesny pociągał za sobą względne lub choćby nawet absolutne zmniejszanie się liczby posiadaczy. Nie „mniej lub więcej", lecz poprostu wielce, to znaczy zarówno bezwzględnie, jak i względnie wzrasta liczba owa. Społeczeństwo zamiast rozpadać się coraz wyraźniej na wysoce odrębne i przeciwstawne krańcowości w uwarstnieniu swojem zawodowem i majątkowem, wykazuje coraz większe stopniowanie i różniczkowanie. Fakty, zaczerpnięte ze statystyki dochodowej i zawodowej, znajdują potwierdzenie we wnioskach dedukcyjnych z zasad gospodarki nowożytnej. Wytwarzanie kapitalistyczne polega przedewszystkiem na podnoszeniu wydajności pracy, co pociąga za sobą równie wielkie spotęgowanie produkcyi, produkcyi masowej wartości użytkowych. Gdzież się podziewa to bogactwo? albo — żeby trafić odrazu w rdzeń kwestyi — gdzież się podziewa nadwartość, stwarzana przez robotników ponad ich własne, z płacą zarobną ściśle związane spożycie? Zapotrzebowanie ze strony „możnowładców kapitalistycznych", choćby ci nawet spożywali dziesięć razy więcej i trzymali dziesięć razy tyle służby, co teraz, zaważyłoby ledwo, jak pióro na wadze. Wywożą przewyżkę.... Doskonale: lecz odbiorca zagraniczny płaci przecież ostatecznie znów towarami. W handlu wszechświatowym pieniądz kruszcowy gra bardzo małą rolę. Im zasobniejszy jest w kapitał kraj dany, tem znaczniejszy jest dowóz doń, gdyż kraje, których jest wierzycielem, nie mogą po większej części opłacać mu procentów inaczej, jak pod postacią towarów. Przesilenia i wydatki nieprodukcyjne na wojsko i t. p. pochłaniają bardzo wiele; jednak nie więcej, niż drobną cząstkę całkowitej nadwytworzonej wartości. Gdzież więc pozostaje ta masa towarów? Jeżeli nie przechodzi w ten lub ów sposób do rąk proletaryatu, musi przynajmniej iść do innych klas ludności. Albo coraz większy ubytek liczby kapitalistów i coraz wyższy dobrobyt proletaryatu, albo też liczna i coraz liczniejsza

warstwa średnia — oto jedyna alternatywa, która rozwiązuje zagadkę nieprzerwanego wzrostu produkcyi. Przeczuwał to i Marx, gdy mówił, iż rozwój „organiczny” kapitału przemysłowego polega na wzroście kapitału stałego (koszta surowców, maszyn, narzędzi, urządzeń i t. d.), a na zmniejszaniu się kapitału zmiennego (płaca zarobna) — znaczy to tyleż, co wzrastanie bezwzględne kapitału, zmniejszanie się względne proletaryatu. Jeżeli więc w społeczeństwie ma wzrastać ilość robotników, tedy kapitał musi wzrastać jeszcze prędzej.

Chodzi teraz o to tylko, jak się rozkłada ów proces między poszczególne przedsiębiorstwa: które zyskują, które tracą na owym przyroście kapitału narodowego.

Dlatego w tym z krajów europejskich, który niewątpliwie najdalej zaszedł w rozwoju kapitalistycznym, mianowicie dla Anglii brakuje powszechnej statystyki przedsiębiorstw przemysłowych; istnieją tylko wiadomości o gałęziach przemysłu, podlegających prawodawstwu fabrycznemu. Wszakże, porównywając sprawozdania inspekcyi fabrycznej oraz wykazy podatkowe, możemy przyjść do wniosku, iż obecnie przedsiębiorstwa wielkie (ponad 50 robotników) zatrudniają tu 3 ½ do 4 mil. osób, gdy średnie i małe — około 5 ½ mil. Anglia nie tak więc znów bardzo dostała się pod władzę dążności koncentracyjnej, jak się to mniema pospolicie. W stopniowaniu przedsiębiorstw spostrzegamy tu owszem wielką rozmaitość; żadna klasa nie znika, i żadnej nie brakuje. Wielkość przeciętnej fabryki, jeżeli za miarę wielkości brać będziemy liczbę robotników, wzrasta stosunkowo powoli (w r. 1870-ym na 1 tkalnię wypadało 120, w r. 1896 ledwo 136 robotników) nawet w gałęziach przemysłu, najbardziej pod względem technicznym udoskonalonych (1 przędzalnia bawełny w r. 1868 miała 156, w r. 1890-ym 208 robotników). W Niemczech (r. 1895) z 10 ¼ mil. osób, zajętych w przemyśle, wypada 3 mil. na przedsiębiorstwa wielkie, 2 ½ mil. na średnie (od 6 do 50 robotników), 4 ¾ mil. na drobne. Majstrów rzemieślniczych naliczono jeszcze 1 ¼ mil.; w 5 rzemiosłach przyrost ich liczby okazał się bezwzględnym i względnym (w porównaniu z przyrostem ludności), w 9 — tylko bezwzględnym, w 11 — liczba spadła. We Francyi na 1 mil. samodzielnych przedsiębiorców przemysłowych wypadało 3,3 mil. najmitów (1894 r.), w Anglii na 600,000 osób samodzielnych 2 ¼ mil. robotników, w Szwajcaryi na 127,000 tylko 400,000. Stany Zjednoczone posiadały w r. 1890-ym 355,415 przedsiębiorstw przemysłowych wobec 3 ½ mil. robotników, co czyni 10 osób na 1 fabrykę.

Jeżeli nieustanny postęp techniczny i ciągła centralizacya przedsiębiorstw w coraz większej ilości gałęzi przemysłu jest faktem niewątpliwym, to jednak równie oczywistą jest rzeczą, iż w bardzo wielu innych gałęziach przedsiębiorstwa drobne i średnie ostają się doskonale obok wielkich. Żadnych uogólnień szablonowych wysuwać tu nie można. Wytwarzanie najbardziej rutyniczne bardzo często trwa bez zmiany w ramach przedsiębiorstw małych lub średnich, a nieraz znów przemysł, na pewnym artyzmie oparty, i, jakby się zdawało, najwłaściwszy dla pracy rzemieślniczej, niespodzianie przeobraża się na modłę wielkofabryczną. Istnieje bowiem cały szereg czynników, które utrzymują przy życiu lub nawet do życia powołują przedsiębiorców średnich i drobnych.

Przedewszystkiem pewna liczba towarów nadaje się równie dobrze do wytwarzania w zakładach drobnych lub średnich, jak i w wielkich, gdyż korzyści produkcyi na małą skalę, zależne od jej natury, równoważą zupełnie właściwą produkcyi masowej taniość. Tyczy się to np. rozmaitych przemysłów, przerabiających kruszce, skóry i drzewo. Czasami znów ustala się jakby pewien podział pracy: zakłady przemysłowe drobne wykańczają ćwierć lub półfabrykaty, wytwarzane w przedsiębiorstwach wielkich. Powtóre, o powodzeniu przedsiębiorstw małych rozstrzyga w wielu razach stosunek ich do konsumenta, mianowicie sposób, w jaki należy dostawiać towary spożywcy. Pomyślmy choćby tylko o piekarniach. Gdyby tu wszystko zależało od techniki, dawnoby już wypiek chleba i bułek stał się udziałem wielkiego przemysłu, jednak gdzieniegdzie ledwo powstały rzeczywiste „fabryki" pieczywa i ciastek, przeważnie zaś piekarnie drobne i średnie zaspakajają potrzeby ludności. Podobnież ma się rzecz z wielu innemi gałęziami pracy, w których wytwórczość wiąże się ściśle z obsługą klienteli; takiemi są kowalstwo i ciesiołka, krawiectwo, szewstwo, rymarstwo, stolarstwo, tapicerstwo, zegarmistrzowstwo i t. d., niemałą zresztą mające podporę w przeróbkach i naprawach. Godzi się nakoniec pamiętać, choć to wcale rzecz nie najmniejsza, iż sam właśnie rozwój techniki i wytwarzania masowego przyczynia się do utrzymania przedsiębiorstw drobnych, bądź stwarzając tanie motory i dostarczając w ilości najobfitszej taniego materyału (ćwierć i półfabrykaty oraz środki pomocnicze), bądź też rozmnażając kapitały, a jednocześnie wyzwalając zbyteczne dla siebie siły robocze. Akcyonaryusze przedsiębiorstw wielkich nader często bywają twórcami i właścicielami zakładów drobnych, jak znów ludzie bogaci i najbogatsi są stałymi odbiorcami przedmiotów zbytku, wytwarzanych

w sposób rzemieślniczy (jubilerstwo, wyroby galanteryjne i t. p.). Oceniając stosunek między przedsiębiorstwami wielkiemi a drobnemi, nie należy przytem nigdy tłómaczyć danych statystycznych w sposób zbyt bezpośredni i prosty. Ktoby np., usłyszawszy, iż liczba robotników, zajętych w przemyśle wielkim, wzrosła w Niemczech między r. 1882 a 1895 o 81,8% (z 891,623 na 1,620,848), zechciał wnosić, iż fakt ten oznacza pewną stałą tendencyę rozwojową, która niezadługo usunie ze świata przemysł drobny, zdziwiłby się zapewne, spostrzegając, że w r. 1882 przedsiębiorstwa średnie zatrudniały 13, w r. 1895 już 15% ogólnej ilości robotników. Niemasz bowiem ani równoległości, ani współzależności, ani żadnego koniecznego związku między obu szeregami zjawisk, między wzrostem przedsiębiorstw wielkich a upadkiem małych. Niejednokrotnie niepodobna wprost mówić o jakiemkolwiek współzawodnictwie (ani wielkie maszyny, ani mosty kolejowe nie mogą być i nie były przedmiotem wytwarzania drobnego), czasami znów zakłady wielkie są wielkimi jedynie z wyglądu, z zajmowanego miejsca i t. p., nie zaś z organizacyi i wydajności pracy (np. budowa okrętów).

Jeżeli złudnem jest mniemanie, iż przemysł wielki zdoła doszczętnie wyrugować przedsiębiorstwa drobne, to nie mniej bezpodstawnem jest przekonanie, iż wielkie kapitalistyczne składy handlowe zrujnują prędzej czy później handel średni, drobny i najdrobniejszy. Powiedzieć nawet można, iż w handlu współzawodnictwo zakładów wielkich jest naogół mniej skuteczne i groźne, niż w przemyśle; przynajmniej sklepy średnie i małe szkodzą tu wielkim w tym samym prawie stopniu, w jakim same od nich cierpią. Kupiec czy przekupień posiada tysiączne sposoby przywiązania do siebie odbiorcy, potrafi też daleko łatwiej od przemysłowca osłaniać się przed usiłowaniamiześrodkowania handlu. W Anglii w r. 1875 było 295,000 sklepów, w r. 1886 już 366,000, w dziesięcioleciu zaś między r. 1881 a 1891 przyrost wyniósł około 50%, przyczem ilość osób, zajętych w handlu, powiększyła się jeszcze znaczniej. W Prusach między r. 1885 a 1895 liczba osób, zatrudnionych w wielkich przedsiębiorstwach handlowych (powyżej 50 osób na 1 przedsiębiorstwo; koleje i poczty nie weszły w rachubę) wzrosła wprawdzie szybciej, niż ilość osób, zajętych w zakładach średnich (od 3 do 5 i od 6—50 osób), mianowicie o 142% wobec 93,4 oraz 92,6%, jednak wynosi ledwo trochę więcej, niż 5% ogólnej ludności, która pracuje w handlu (62,056 na 1,174,902).

Przechodząc z kolei do rolnictwa i przyglądając się zmianom, jakie tu zachodzą ze względu na rozmiar przedsiębiorstw pojedyńczych w całej Europie, a poniekąd już i w Ameryce, spostrzeżemy fakty, niedwuznacznie sprzeczne z przewidywaniami krytyki socyalistycznej. Przemysł i handel posuwają się ku koncentracyi przedsiębiorstw daleko wolniej, niż chciano się spodziewać, rolnictwo zaś albo nie zdradza żadnego w kierunku tym postępu, albo wprost cofa się ku przedsiębiorstwom mniejszym [1]).

Co się tyczy Niemiec, dane statystyczne z r. 1895 w porównaniu z r. 1882 dowodzą najsilniejszego przyrostu średnich gospodarstw chłopskich (5—20 ha.): liczba ich wzrosła o 8 %, zajęty przez nie obszar — o 9%. Dla drobnych gospodarstw chłopskich takie same porównanie daje 3,5 % i 8 %, dla gospodarstw karłowatych (poniżej 2 ha.) — 5,8 % i 12 %, dla wielkich gospodarstw chłopskich (20—100 ha.) — 1 %, dla gospodarstw jeszcze większych — zaledwo 0,33 %. Z ogólnego obszaru ziemi zagospodarowanej wszystkie trzy kategorye własności chłopskiej zajmują przeszło 2/3, własność wielka — około 1/4. W Holandyi widzimy rzeczy jeszcze ciekawsze: własność wielka cofa się, na pierwszy plan występuje średnia własność chłopska, mianowicie:

Wielkość gospodarstwa w hektarach.	Ilość gospodarstw 1884	1893	Przyrost lub ubytek Absolutny.	%-wy.
1—5	66,842	77,767	+ 10,925	+ 16,2
5—10	31,552	94,199	+ 62,647	+ 198,5
10—50	48,278	51,940	+ 3,662	+ 7,6
ponad 50	3,554	3,510	— 44	— 1,2

W Belgii dążność decentralizacyjna przejawia się zarówno w uprawie ziemi, jak i w stosunkach własności. Ostatnie dane statystyczne dowodzą, że ilość właścicieli doszła w r. 1880 do 293,524 (w r. 1846-ym 201,226), ilość dzierżawców — do 616,872 (zamiast 371,320). Trzecia część uprawnego obszaru gospodarowana jest przez samych właścicieli, a rozdrobnienie ziemi przypomina niemal stosunki agrarne chińskie. We Francyi gospodarstwa wielkie (ponad 100 ha.) zajmują 1/5 lub 1/6 ogólnego obszaru ziemi, drobna zaś, średnia i duża własność chłopska — niemal 3/4. Między rokiem

[1]) Szczegółową analizę tej kwestyi czytelnicy polscy znaleźć mogą w artykule p. J. H. Targońskiego p. n. „Teraźniejszość i przyszłość rolnictwa“ w Głosie r. 1899, str. 912, 27, 42, 48 i 74.

1862 a 1882 ilość gospodarstw 5-10 hektarowych wzrosła o 24%, — 10 do 40 hektarowych o 14,3%. Spis z r. 1892 wykazuje zmniejszenie się ilości gospodarstw w obu tych kategoryach, gdyż ziemia rozdrabnia się dalej i przybywa liczba działek mniejszych. Że i angielskie stosunki rolne zwykliśmy pojmować w sposób przesadny, że i tam — w kraju olbrzymich latyfundyów — nie tylko istnieje, lecz i rozwija się gospodarka drobna, dowodzą następujące cyfry. W r. 1895 wypadało w Wielkiej Brytanii na gospodarstwa:

poniżej 2	hekt.	366,729	akrów	czyli	1.13%	uprawnego obszaru
2—5	„	1,667,647	„	„	5.12%	„ „
5—20	„	2,864,976	„	„	8.79%	„ „
20—40	„	4,885,203	„	„	15,00%	„ „
40—120	„	13,875,914	„	„	42.59%	„ „
120—200	„	5,113,945	„	„	15,70%	„ „
200—400	„	3,001,184	„	„	9,21%	„ „
ponad 400	„	801,852	„	„	2,46%	„ „

A więc z górą 66% ziemi uprawnej wchodzi w skład gospodarstw średnich (od 5—120 ha.; gospodarstwa te odpowiadają średniej i dużej własności chłopskiej na lądzie stałym), i nawet w Anglii właściwej procent ich nie spada poniżej 64, w Walii zaś dochodzi do 92. Gospodarstwa tej wielkości dążą do zyskania przewagi nad innemi, jak świadczy porównanie r. 1895 z r. 1885.

Wielkość gospodarstw w hektarach	Ilość gospodarstw 1885	1895	Przyrost lub ubytek
2—20	232,955	235.481	+ 2,526
20—40	64,715	66,625	+ 1.910
40—120	79.573	81.245	+ 1.672
120—200	13,875	12.568	— 307
ponad 200	5.489	5,219	— 270

Układ i rozwój własności ziemskiej nie może oczywiście znacznym ulegać zmianom i podążać za lądem stałym w kraju majoratów i ordynacyi, w kraju, w którym ledwo 61,014 gospodarstw o 4,6 mil. akrów prowadzonych jest przez właścicieli, kiedy 19,607 gospodarstw ma ziemię, już po części wydzierżawioną, a 439,405 istnieje na gruntach, dzierżawionych w całości. Wszakże z 33 mil. akrów, wciągniętych do „*Domesday Book*", tylko 14 mil. akr. należało do właścicieli, posiadających przeszło 3000 akr., pozostałe zaś 19 mil. akr. dzieliło się między właścicieli średnich, drobnych i najdrobniejszych.

Po wszystkiem, co powiedziano, niepodobna już wątpić, że w całej Europie zachodniej, jak zresztą i na wschodzie Stanów Zjednoczonych Ameryki, gospodarstwa rolne małe i średnie liczebnie przybywają, gospodarstwa zaś wielkie ustępują im miejsca. Zgodzić się zresztą można, iż te gospodarstwa małe są bardzo często przedsiębiorstwami kapitalistycznemi, ale nie o to tutaj chodzi. Fakt, iż koncentracya w rolnictwie się nie odbywa i nie grozi, w związku z faktem, iż w przemyśle i handlu dążności koncentracyjne nie występują również zbyt jaskrawo, pozwala wbrew domniemaniom krytyki socyalistycznej żywić uzasadnioną nadzieję utrzymania się przedsiębiorstw średnich i drobnych w walce z kapitalizmem. Nie znikają one nigdzie, bezwarunkowo nigdzie, często raczej rozwijają się i szerzą. Luki w ich szeregach zapełniają się z dostateczną szybkością, i gdyby na przewadze przedsiębiorstw wielkich opierać obawy o los nowożytnego ustroju ekonomicznego, musielibyśmy powiedzieć, iż ustrój ten w krajach najbardziej przemysłowych, w Anglii, w Niemczech, we Francyi, jest dziś równie bezpiecznym, jak na początku stulecia.

Ale dany ustrój może wyglądać trwale, może zachowywać równowagę zewnętrzną i nawet mieć zdrowe narządy, a jednak nie mieć dość sił do oparcia się wtrząśnieniom krytycznym, nie być zdolnym do ich unikania. Chodzi więc o to jeszcze, jak zachowują się społeczeństwa nowożytne wobec przesileń ekonomicznych, jak je znoszą i czego się w tym względzie obawiać mogą na przyszłość.

W kołach socyalistycznych najpopularniejszą jest teorya, która wyjaśnia przesilenia przemysłowe przez wpływ zubożenia i zbyt małej zdolności spożywczej mas. Lecz zarówno autor „Kapitału”, jak i Fryd. Engels jaknajbezwzględniej odmawiali słuszności domniemaniu temu. Niedospożycie jest wprawdzie według nich „warunkiem powstawania przesileń”, nie tłómaczy wszakże ani ich obecności w czasach najnowszych, ani też ich nieobecności dawniejszymi laty. W tomie II „Kapitału” Marx mówi: „twierdzenie, iż przesilenia powstają skutkiem braku wypłacalnych spożywców, jest tautologią”. Natomiast Marx nie porzucał wcale myśli, jakoby przesilenia były wrodzoną i nieuleczalną chorobą nowożytnego ustroju ekonomicznego, chorobą, związaną z nim w sposób nieuchronny, zależną od życia jego, będącą nawet jednym z przejawów życia tego, chorobą, której ataki, ponawiające się z gwałtownością coraz większą i z powikłaniami coraz rozleglejszemi, doprowadzą w końcu organizm do ruiny. Podobnież rozumował Engels, stawiając pytanie, czy nie „stoimy w przededniu nowego wszechświatowego

krachu niesłychanej gwałtowności", i, pozostawiając bez rozstrzygnięcia kwestyę, czy dotychczasowa mniej więcej dziesięcioletnia ostra forma przebiegu przesileń raptownych nie przeobrazi się w „bardziej chroniczną i na rozmaite kraje w różnych czasach przypadającą kolejność wątłego i względnie krótkiego ożywiania się interesów i względnie długiej a nie zabójczej depresyi". Trzydzieści lat, ubiegłych od chwili napisania słów powyższych, nie potwierdziły żadnej z alternatyw Engelsa.

Nie dostrzegamy oznak, zapowiadających „krach wszechświatowy niesłychanej gwałtowności", nie możemy też uważać istotnego polepszenia się interesów za zjawisko szczególnie „krótkotrwałe". Powstaje natomiast pytanie trzecie, mianowicie, czy potężny rozrost rynku wszechświatowego wespół z nadzwyczajnem ułatwieniem i przyśpieszeniem porozumiewania się, przewozu i wogóle komunikacyi nie zwiększyły tak dalece możliwości wyrównywania powikłań, a niepomiernie wzrosłe bogactwo europejskich państw przemysłowych wespół ze sprężyście zorganizowanym kredytem nowożytnym i rozwojem karteli w przemyśle nie zmniejszyły tak dalece wpływu powikłań miejscowych lub specyalnych na powszechny i ogólny stan interesów, że ogólne przesilenia ekonomiczne, podobne do dawniejszych, uważać należy przynajmniej na pewien dość długi czas za nieprawdopodobne.

O tem, że rozwój urządzeń kredytowych ułatwia spekulacyę, a spekulacya zwiększa niebezpieczeństwo przesileń, wiadomo wszystkim, nie wszyscy jednak pamiętają, iż niezbędnym warunkiem istnienia i działania spekulacyi jest gospodarka ślepa, gospodarka, nie zdająca sobie sprawy ze stosunku podaży do popytu. Dlatego wszelki wzrost świadomości społecznej i zapobiegliwości społecznej zmniejsza widoki powodzenia spekulantów. W krajach przemysłowo młodych i w takichże gałęziach przemysłu ani stosunki rynkowe, ani ich zmiany nie bywają oceniane w sposób należyty; to też tam spekulanci mają pole działania, przeciwnie zaś, zbyt ciasno im w warunkach produkcyi i wymiany świadomej. Zapewne, nigdy obawa spekulacyi nie może być zupełnie usunięta, gdyż współzawodnictwo między pojedyńczemi przedsiębiorstwami i rozwój techniczny wyłączają możliwość bezwzględnej kontroli rynku. Nadprodukcya jest do pewnego stopnia zjawiskiem nieuniknionem, lecz nadprodukcya w poszczególnych gałęziach przemysłu nie oznacza jeszcze przesilenia ogólnego. Żeby do niego doprowadzić mogła, musiałaby dotknąć albo takich podstawowych i powszechnie ważnych gałęzi przemysłu, które są w ścisłym związku organicznym z innemi

i zastój w nich wywołują, znalazłszy się same w zastoju, albo też musiałaby rozszerzyć się na cały ustrój ekonomiczny, paraliżując kredyt, zwężając rynek pieniężny i pochłaniając środki dalszego prowadzenia produkcyi w całym przemyśle. Otóż zrozumieć łatwo, że wypadek ostatni tem mniej będzie możliwy i prawdopodobny, im bogatszy jest kraj dany, im bardziej rozwinięty i rozległy jest dany ustrój kredytowy. Sam Marx powiada, iż skurcze rynku pieniężnego dają się łatwiej opanowywać w jego środku, niż na obwodzie, Engels zaś wyraźnie przyznaje, że udoskonalenia komunikacyjne zmniejszają obawę spekulacyi oraz przesileń nawet na rynkach pieniężnych.

W ten sposób urządzenia kredytowe są środkiem, zapobiegającym skurczowi rynku pieniężnego, brakowi gotówki i rozszerzaniu się przesileń częściowych na cały przemysł, o ile zaś mogłyby służyć spekulantom do sztucznego pędzenia w górę produkcyi lub równie sztucznego eskamotowania zapotrzebowań, o tyle spotykają się z przeciwdziałaniem ze strony samego przemysłu w postaci karteli, syndykatów lub trustów, dążących do regulowania produkcyi. Prawda, iż związki te bardzo często przynoszą szkodę spożywcom lub klasie robotniczej, nie o to jednak tu chodzi. Kartele opanowują zawsze produkcyę, czynią wytwarzanie mniej chaotycznem i bezrządnem, ustalają je i usuwają pewne przyczyny przesileń ekonomicznych. Jeżeli zważymy przytem, iż kartele są zupełnie samorzutnym środkiem obrony organizmu ekonomicznego przeciw atakom lęgnącej się w tym organizmie choroby, będziemy mieli zupełne prawo wnosić, iż nowożytny ustrój ekonomiczny znajduje się na drodze przystosowywania do wymagań hygieny społecznej i nie zdradza wcale oznak zbliżającej się śmierci. I pod tym względem prognoza Marksowska okazuje się błędną.

IV.

Bernstein wskazuje dwa źródła złudzeń Marxa, będące zarazem źródłami jego błędów. Przedewszystkiem Marx dał się uwikłać dyalektyce Hegla, z którego szkoły wyszedł. Dla Marxa, jak powiada Engels, dyalektyka owa stała się środkiem odtwarzania kolejności zmian, zachodzących w świecie zewnętrznym, mianowicie w rozwoju społecznym; życie pójść miało, na wzór heglowskiej idei, przez negacyę do syntezy. Stąd poszło nadzwyczajne skracanie czasu, potrzebnego do przeobrażania się form i stosunków, stąd

poszło rącze przecenianie dążności rozkładowych i lekkomyślne traktowanie czynników, sprzeczności łagodzących. Stąd wreszcie poszła głęboka wiara, iż przedzierżgnieniu się tezy w antytezę w przebiegu dyalektycznym idei odpowiadać musi zwrot równie gwałtowny i nagły w przebiegu dziejów. Marx nie zdołał przytem ani na chwilę uwolnić się z pod wpływu tradycyi Blankistowskich, które kazały mu przeceniać siłę twórczą polityki przewrotów, chociaż w zasadzie był gotów przyznawać, iż do zrealizowania pewnych ideałów potrzeba obecności bardzo wielu warunków ekonomicznych i cywilizacyjnych.

Wiemy już, co należy trzymać o domniemanem ziszczaniu się warunków ekonomicznych. Przedsiębiorstwo wielkie przeważa dziś wprawdzie w przemyśle, lecz nawet w kraju, tak daleko posuniętym, jak Prusy, obejmuje conajwyżej połowę ludności, zajętej wytwarzaniem. Nie inaczej mają się rzeczy w całych Niemczech i taksamo prawie w Anglii, najbardziej przemysłowym kraju europejskim. W pozostałych krajach Europy — z wyjątkiem może Belgii — stosunek ilościowy przedsiębiorstw wielkich do średnich i małych jest jeszcze mniej korzystnym. W rolnictwie zaś gospodarstwa średnie i drobne nie tylko przeważają, ale wprost umacniają się i mnożą. Podobnież w handlu.

Ześrodkowanie przedsiębiorstw, które według teoryi Marxa ma być warunkiem uspołecznienia produkcyi i wymiany, jest przeto w najbardziej nawet rozwiniętych krajach ledwo w połowie drogi, nic zaś nam nie ręczy, iż druga jej połowa istotnie przebyta zostanie, wiele owszem faktów przemawia za tem, że proces nigdy nie dobiegnie końca. Bezwzględnym wyznawcom doktryny wystarcza jednak punkt inny, mianowicie wiara we wszechmoc doraźnego aktu woli zbiorowej, za pośrednictwem państwa działającej. Akt ów, jako świadome spełnienie przepowiedzianej dyalektycznie negacyi, ma być skróceniem drogi rozwojowej, i to skróceniem koniecznem. Tak uczy tradycya blankistowska przez usta założyciela socyalizmu naukowego. Państwo i rząd w osobach doraźnych kierowników swoich wejść ma w posiadanie wszystkich, choćby nawet nie scentralizowanych jeszcze przedsiębiorstw. Ale jakiegoż ogromu przezorności, znajomości rzeczy, uzdolnienia politycznego, rozumu potrzebowałby rząd czy jakaś korporacya rządząca, aby zadaniu temu podołać, aby ująć i poprowadzić organizm tak olbrzymi? W Niemczech np. chodziłoby dzisiaj o wywłaszczenie setek tysięcy przedsiębiorstw przemysłowych i handlowych z 4 milionami zajętych tam robotników i o 5 milionów gospodarstw rolnych — tyle

bowiem pozostaje, jeżeli odliczyć w przemyśle i handlu do kategoryi „wielkich" zakłady z 20 robotnikami, w rolnictwie zagrody z 20 hektarami. Trudno zaufać dobrym jedynie chęciom osób, powołanych do przeprowadzenia reformy, co ważniejsza zaś, trudno liczyć napewno, iż osoby takie się znajdą. Nie o kilkudziesięciu czy kilkuset kandydatów do władzy prawodawczej i wykonawczej tu idzie, lecz o klasę społeczną, w której imieniu — z jej wyraźnego upoważnienia, na jej wyraźną wolę, pod naciskiem jej wyraźnie rozumianych ideałów polityczno-społecznych — akt ów miałby być dokonany.

Za taką klasę uważa się zwykle t. zw. proletaryat, czyli wszystkich ludzi, którym własność lub stanowisko uprzywilejowane nie zapewnia żadnej cząstki dochodu. Prawda, iż w krajach, najbardziej przemysłowo rozwiniętych, stanowią dziś oni większość ludności, ale ta większość jest mieszaniną żywiołów nadzwyczaj różnorodnych, mieszaniną grup, które bardziej jeszcze różnią się pomiędzy sobą, niż „lud" z r. 1789, grup, które mają, co prawda, więcej interesów wspólnych lub bodaj jednakowych, niż sprzecznych, dopóki trwają dzisiejsze stosunki posiadania, które jednak nader szybko poznałyby rozbieżność interesów i potrzeb swoich, gdyby tylko zabrakło obecnych warstw posiadających i panujących. Nawet pośród właściwych robotników przemysłowych zasadnicze różnice w stopie dochodowej i życiowej, w zajęciu i stanowisku społecznem muszą prowadzić do odmiennych zapatrywań i pożądań. W danych warunkach gospodarczych i politycznych wykształcony malarz-dekorator i tragarz, snycerz i palacz, maszynista i posługacz mogą odczuwać wspólne sympatye lub antypatye, lecz od tego bardzo daleko do solidarności ekonomicznej, zwłaszcza pod nieobecność warunków sprzyjających. Ale przypuśćmy, iż w klasie robotników przemysłowych zróżniczkowania niema lub iż nie wywiera ono wpływu na sposób myślenia i chcenia. — chociaż wogóle największym jest błędem na zasadzie pewnych formalnych podobieństw stanowiska wnosić o istotnej jednakowości postępowania — jednak pracownicy przemysłowi są dopiero cząstką ludności. Pracownicy handlowi względem pracodawcy swego są tak samo położeni, jak tamci, ale już czują się mu bliżsi. Na wsi zaś stosunki są jeszcze inne. Nie uchodzi całkiem zaliczać najemnych nawet robotników rolnych do kategoryi, wyznającej wiarę proletaryatu miejskiego. Na wsi ideałem jedynie zrozumiałym, jedynie upragnionym, jedynie odczuwanym jest własny kawałek ziemi; uspołecznienie produkcyi jest tu czczym wyrazem. W gospodarstwach dro-

bnych robotnik żyje taksamo, jak pracodawca, jak on, myśli i czuje, jednakie z nim ma troski i upodobania, natomiast zgoła nie widzi nic wspólnego między sobą a robotnikiem miejskim, nawet między sobą a swym towarzyszem. Karbowy i pastuch, fornal i żeńca najemny wcale o siebie nie dbają. Słowem, niepodobna mówić o zwartej klasie społecznej, którąby mogła wyobrażać przewidziany przez Marxa żywioł konstrukcyjny; ani w całości swej, ani w odłamach poszczególnych klasa robotnicza nie okazuje szczególnego charakteru przewrotowego. Daremnie byłoby powoływać się na przyrost liczby głosów, oddawanych w krajach parlamentarnych, np. w Niemczech, kandydatom stronnictwa. Nie ideałom ostatecznym, nie zasadom podstawowym oddawano te głosy, lecz ludziom i polityce realnej. Zresztą, jak wiadomo, ledwo 2,1 miliona wyborców stoi poza 57 posłami socyalistycznymi do parlamentu niemieckiego, gdy wszystkich robotników przemysłowych i handlowych jest 5,5 miliona. Trzy i pół miliona „proletaryatu" zachowuje się obojętnie lub nawet poczęści wrogo względem demokracyi socyalnej — a gdzież są robotnicy rolni?....

* * *

Ktoby zechciał oceniać książkę Bernsteina w sposób wyłącznie akademicki, ze stanowiska wyłącznie naukowego, ten nie zrozumiałby zgoła jej doniosłego znaczenia. Bernstein nie mówi właściwie nic tak bardzo nowego i zdumiewającego, co najwyżej umiejętne illustracye wywodów jego budzą zaciekawienie i zniewalają do namysłów. Ale o błędach teoretycznych marxizmu, tembardziej zaś o jego złudzeniach na polu praktyki politycznej wiedzieliśmy już oddawna; i materyalizm historyczny, i poszczególne kwestye z zakresu krytyki socyalistycznej nowożytnego ustroju gospodarczego posiadają przecież literaturę, nie dającą się niemal ogarnąć. „Większa część, jeżeli nie wszystko — powiada sam Bernstein — pod względem rzeczowym było już przez innych wyłuszczane lub przynajmniej zaznaczane".... Więc?

„Za legitymacyę książce mojej niech służy nie to, iżby odkrywała ona rzeczy, przedtem nieznane, lecz to, iż uznaje rzeczy odkryte.... O ile pamiętam, sam Marx powiedział kiedyś, mówiąc o losach teoryi: kochanka Moora z Moora tylko ręki zginąć może. Podobnież błędy danej nauki wtedy dopiero za obalone uchodzić mogą, gdy zostaną uznane za błędy przez jej bojowników". Bernstein zaś był nie tylko bojownikiem, lecz wodzem i kwatermistrzem

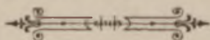
zastępów doktryny Marksowskiej. Przyjaciel i powiernik Engelsa, jeden z najstarszych i najpoważniejszych kierowników teoretycznych socyalnej demokracyi niemieckiej, twórca jej programów i herold jej haseł, ale przedewszystkiem człowiek trzeźwego umysłu, bystrego oka i otwartej głowy. Umiał dostrzedz prawdę, potrafił ją ocenić, zdobył się na samokrytykę i poważył się wytknąć stronnictwu swemu błędy, które już mścić się na niem zaczynają. Dlatego książka jest czynem, jest faktem, który posiada bardzo wielkie znaczenie polityczne, osobliwie, jeżeli zestawimy ją z głosami wielu innych członków stronnictwa, ze zmianą taktyki wobec kwestyi ogólnopaństwowych i ogólnonarodowych, z uchwałami zeszłorocznego zjazdu hanowerskiego na korzyść stowarzyszeń współdzielczych [1]), dotąd traktowanych bardziej, niż pogardliwie.

Jan Stecki.



[1]) Ob. art. p. n „Pomnik Schultzego-Delitzscha“ w Głosie z r. 1899, nr. 48.

Dwie księgi Galicyi.



Proces wielickiej kasy oszczędności—ostatnia to, da Bóg, karta „Czarnej księgi" Galicyi, dla której najnowszy wniosek sejmowy posłów Dunajewskiego i Sanguszki o reformie gminnej i wspólnej jednolitej administracyi kraju otwiera jakby pierwszą kartę nowej „Białej księgi".

W chwili tak szczerze przełomowej godzi się zaznaczyć, iż Galicyi zawcześnie dano przed 30 laty rządzić się samej na sposób społeczeństw o wyższej kulturze, nie uwzględniając, niestety, jej zupełnego w owej dobie nieprzygotowania, niedojrzałości i niewyrobienia. Nie ustawy bowiem, nie rozporządzenia, nie akty konstytucyjne wytwarzają społeczeństwa dojrzałe, zdolne do samorządu. Odwrotny jest bieg rzeczy. Społeczeństwo właśnie galicyjskie samym historycznym rozwojem cywilizacyjnym dawnej Polski nie było wcale ukształtowane ani przygotowane do odegrania roli, do podjęcia zadań, jakie mu zbiegiem okoliczności i wypadków przypadły w udziale.

Nadmierne brzemię zaciężyło też nad krajem, ani politycznie, ani pod względem oświaty, ani ekonomicznie nie wytrzymującym porównania z innemi dzielnicami dawnej Polski. Wypadki history-

czne naszego wieku nie oszczędziły też i Galicyi, traktowanej przez dawne rządy austryackie, jako bierna prowincya, jako pole do wszelkiego rodzaju możliwych i niemożliwych eksperymentów czesko-niemieckiego, centralistycznego kulturtraegerstwa, jako nowe źródło podatku i rynek zbytu dla produktów fabrycznych wszystkich innych prowincyi państwa, pod względem zaś oświaty, jako „Baerenland", któremu z łaski rzucano ledwie ochłapy kultury niemieckiej — a wszystko to za bardzo wysoką cenę podatku mienia i krwi, hojnie szafowanej na polach Węgier, Szlezwik-Holsztynu, Włoch i Czech, w ostatniej wojnie z Prusami, które, złamawszy wtedy hegemonię Austryi w Niemczech, zepchnęły ją samą siłą wypadków na szlaki innej polityki tak zewnętrznej, jak i wewnętrznej. W imię tego powołano do wspólnych rządów pojedyńcze prowincye i narody wielojęzycznej Austryi, przyznając im za drogą cenę nowych podatków *samorząd*. W rzędzie nieprzygotowanych do tej roli stanęła Galicya, jako jednostka społecznie i etnograficznie jednolita, narodowościowo jednakże, kulturalnie i ekonomicznie różniąca się w swej połaci zachodniej od wschodniej. Na tle tem zjawił się nadto nowy czynnik społeczny: równouprawniony obywatel — Żyd, pozostający aż dotąd w kulturalno-religijnem odosobnieniu, idący zawsze z rządem, który go też odrazu wcielił do wielkiego narodu Germanów, nadając mu już przy początkowej konskrypcyi ludności nowozagarniętej prowincyi nowe nazwiska niemieckie, schlebiające śmiesznym jego instynktom próżności. Manną austryackiego Syonu spadły też na rzesze Izraela nazwiska Silberkranców, Goldwasserów, Silberzweigów, Diamantsternów i Perlstammów. Te lśniące i dźwięczne nazwiska zastąpić miały brak dojrzałego przygotowania dla tego żywiołu, który, jakby w imię rewindykacyi długo zaprzeczanych mu praw, wszedł śmiało a chciwie na nową dla siebie arenę życia społecznego.

Równocześnie namiestnik ówczesny, Gołuchowski, zwalniając nieprzeliczone zastępy urzędników niemieckich i czeskich, otworzył szeroko przystęp do wszystkich urzędów dla Polaków. Mieszczaństwo było w stanie upadku, a o ludzie nie było wtedy nawet mowy; był to dotąd opodatkowany „Kanonenfutter". Szkoły zaniedbane w bezprzykładnie małej ilości; przemysłu żadnego.

Oto warunki, w jakich społeczeństwu galicyjskiemu przypadł w udziale *samorząd* bez siły wykonawczej, którą rząd zawistnie zatrzymał dla siebie. Zadanie to i praca nad siły, tem bardziej, że całe szeregi żądań, wniosków i ustaw, na które podejrzliwie patrzało zazdrosne oko rządów centralistycznych, nie mogły się doczekać w odpowiednim

czasie ani poparcia, ani przeprowadzenia. Rządzono — na papierze Mimo to dokonano w latach tych trzydziestu istotnie nad siły. Powstały szkoły, drogi, szpitale, koleje, spółki przemysłowe, handlowe, przemysł domowy, nawet zapoczątkowano fabryczny, wreszcie kopalniany. Pobudowały się miasta, opieką otoczono historyczne zabytki, stanęły muzea, biblioteki. Co prawda, podwójna ta administracya kraju zwiększyła olbrzymio stopę podatkową — a mimo to kraj nadążyć nie mógł coraz to nowszym postępom i rozwojowi stosunków ekonomiczno-społecznych zachodu.

Znaczny rozrost ludności i coraz liczniejsze działy spadkowe spychały na morgi, zagony, skiby, a wreszcie już na małe grzędy synów włościańskich, którzy, rozpijani przez Żyda w karczmie, zadłużani przez tegoż lichwą, w końcu na własność ustępować mu musieli ziemię. Jakby uwolniony z ciężaru i obowiązków, bezczynnie prawie przypatrywał się temu rząd z Wiednia. Ratunkiem miał być osławiony Bank włościański, który, obdłużywszy włościan nanowo, upadkiem swoim podkopał ich byt ekonomiczny. Pozostała jedna ucieczka: do Ameryki! Z chaosu tego korzystali nowi obywatele-Żydzi, nabywając na licytacyach obdłużone grunta i stapiając je później w większe kompleksy.

Tymczasem wśród zapotrzebowania ludzi na tylu nowo-otwartych polach pracy brakło ich ciągle. Gorączkowo niemal wydawał ich rok każdy. Mnożyła się inteligencya, rosły kulturalne jej potrzeby, na które nie wystarczały niestosunkowo małe pensye.

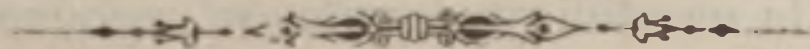
Do tego rozrost giełdy i pierwotna łatwość spekulacyi mnożyła chciwość i pogoń za lekkim zyskiem. Z ruiny nieodpowiedzialnego krachu wiedeńskiego i bezkarnego oszustwa króla kolejowego Offenheima w Wiedniu zrodziła się ogólna nadzieja bezkarności, a przykład oszukańczego sprytu stanowił zachętę dla całej falangi ludzi, polujących w kraju na większe zyski czy to w przedsiębiorstwach bankowych, czy kolejowych, czy handlowych i t. p. Dużą w tem pomocą i promocyą były mandaty poselskie do parlamentu, a stąd przy ubieganiu się o mandat praktykowano przekupstwa, czyniono daleko idące ustępstwa materyalne przez agitatorów prywatnych — a nawet przez rządowych, gdy tego wymagało położenie spraw. Do jakiego stopnia musiało to deprawować społeczeństwo! Stosunki te wyzyskiwali chętnie Żydzi — ale i nie Żydzi, polując na szeroki kredyt, który wogóle stał się w kraju synonimem pieniądza i jednym jego wykładnikiem, choćby nie było na niego pokrycia. Na budowy, przedsiębiorstwa nadużywano go gorączkowo, a względy polityczne pojedyńczych partyi

czy stronnictw kazały popierać *swoich* ludzi, choćby z uszczerbkiem i narażeniem publicznego mienia i instytucyi. To też w upadku każdej instytucyi znajdujemy z reguły względy polityczne, partyjne lub wprost osobiste grupy pewnej, wspólnym interesem związanej. I tak: demokratyczno-liberalny Zima popierał takiegoż samego Szczepanowskiego, konserwatywny Sapieha takiegoż Marchwickiego — a za przykładem wielkich poszli i mniejsi, jak Towarzystwo zaliczkowe w Sędziszowie i ostatnio kasa oszczędności w Wieliczce, i tak aż do najmniejszych, bo do funkcyonaryuszy gmin wiejskich. Rozpoczęty proces wielicki wyprowadza wprawdzie przerażającą liczebnie klikę macherów-Żydów; lecz trudno zwalać winę na nich samych, skoro głównymi sprawcami są trzej katolicy, naczelni członkowie dyrekcyi, a dwaj z pośród nich to dawni burmistrze, zatem naczelnicy samorządu krajowego.

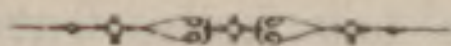
Otóż właśnie naprawy tego samorządu u dołu przez wytworzenie podstawowych, silnych gmin zbiorowych, poddania ich pod ścisłą kontrolę, zespolenia dotychczasowych władz samorządu z organami rządu państwowego w jedną krajową władzę administracyjną domagano się oddawna z ław konserwatywnych sejmu. Dotychczasowe jednak usiłowania spotykały się z niechęcią i opozycyą. Aż w końcu okazało się, iż dalej tak iść niemoże, bo rozsprzęgała się już budowa społeczna, grożąc upadkiem i przytłoczeniem zdrowych jeszcze i żywych. Rok ostatni dopełnił miary. Odczuto grozę położenia. I oto w chwili takiej mężowie, zasłużeni w służbie kraju i państwa, posłowie Dunajewski i Sanguszko występują imieniem partyi krakowskiej z wnioskiem, żądającym gruntownej reformy rządu krajowego przez utworzenie zbiorowych gmin okręgowych, przez połączenie władz autonomicznych i rządowych kraju w jedną sprężystą władzę administracyi publicznej Wniosek przyjęto powszechnie, jako jedyny ratunek z położenia bez wyjścia.

I oto pierwsza karta nowej „Białej księgi" galicyjskiej, która odtąd zapisywać będzie dodatnie momenta normalnego rozwoju i postępu kraju.

Juliusz Bandrowski.



Z POZNAŃSKIEGO.



I.

Upadek Bismarcka, jako kanclerza, sprowadził w Niemczech t. zw. erę Caprivi'ego, która szczególnie w stosunkach prusko-polskich zaznaczyła się prądem ugodowym. Nowy cesarz i nowy kanclerz, jak we wszystkich innych sprawach, tak i w stosunkach prusko-polskich zamierzali pójść nowemi drogami w przeciwieństwie do wypadłego z łask olbrzyma. Ks. Bismarck nienawidził Polaków, prześladował ich; teraz miało się pokazać, że z Polakami łatwiej sobie poczynać łagodnością. Spodziewano się, że ujęci lepszą wolą łatwiej się przywiążą do państwa i tronu i mogą się stać dla nich żywiołem zachowawczym. Nawiązały się stąd różne stosunki osobiste między dworem a Polakami, pozwolono im zbliżać się do tronu, uwzględniano różne osobiste życzenia, a ostatecznie, skoro osierociało arcybiskupstwo gnieźnieńskie po Niemcu, którego polityka Bismarcka osadziła na stolicy prymasów, zgodzono się znów na Polaka, ks. dr. Stablewskiego, posła, który dotąd w sejmie najgorliwiej występował w obronie Kościoła i narodowości polskiej. W Rzymie taki obrót rzeczy uważano poprostu za cud, w Berlinie była świadomość, że przez to zrobiono wielkie ustępstwo dla Polaków.

W rozmowie z ks. Caprivim zauważył ktoś, że, byle życzliwość i względność rządu posunęła się ku Polakom o centymetr, oni w ugodowym kierunku gotowi się posuwać o całe metry. Na to odpowiedział kanclerz: „Być może, ale proszę zważyć, że arcybiskup polski nie jest centymetrem".

Dziwna rzecz, że, kiedy zatem dwie strony interesowane, to jest Rzym i Berlin, były przeświadczone o wielkości zrobionego dla Polaków ustępstwa, w kraju samym pod tym względem zdania podzielone były. Żywioły t. zw. ugodowe tryumfowały, że udało się im uzyskać tak znaczne ustępstwo, ale nie brakło i takich, którzy ustępstwo to lekceważyły bądź szczerze, bądź dla przekory. Pewna część wysokiej i majętnej szlachty zawistnem okiem patrzała na „politycznego dorobkiewicza", nie należącego do przodujących klanów, a niesmak ten znalazł sprzymierzeńca w dwu gatunkach liberalizmu. Jeden prąd, „inteligentny", obawiał się przewagi kościoła nad sprawami narodowemi, drugi, t. zw. ludowy, widząc się zdystansowanym przez szczęśliwsze usiłowanie ugodowe, zawrzał gniewem przeciw wszystkiemu, co było rezultatem ugodowości. Trzeba bowiem wiedzieć, że u kolebki t. zw. ruchu ludowego zamierzano właśnie pójść zupełnie odmienną drogą od dawnej polityki protestu. Potępiano tę politykę we wszystkich jej objawach, mianowicie też parlamentarnych i czekano tylko na chwilę stosowną, żeby wywiesić otwarcie sztandar ugodowy wobec rządu pruskiego w nadziei, że się przez to lepiej posłuży zachowaniu narodowości polskiej, niż przez szersze protesty i opozycyę zasadniczą.

Brak bystrości u przewódców ruchu ludowego sprawił jednak, że chwili tej znaleźć nie mogli, a brak zmysłu nie tylko politycznego, ale i polskiego, sprawił dalej, że nowy kierunek, zanim zdołał wystąpić, jako czynnik polityczny, już się przed własną opinią skompromitował. Zamiast przygotowywać umysły do powolnego przejścia z polityki protestu do polityki ugodowej, zaczął kierunek ten sławić pruskie rządy, a bezcześcić wszystko, co polskie, i kalać własne gniazdo. Za tem poszło, że, kiedy po upadku ks. Bismarcka inny wiatr powiał w Berlinie, nie ci zrozumieli ducha chwili politycznej, którzy jej oddawna pragnęli, lecz ci, którzy dotąd stali w opozycyi, a słuszne mieli powody przypuszczać, że w danych okolicznościach warto popróbować z rządem pruskim innej maniery.

Ciężki to był zawód dla tych, którzy oddawna rozumieli „lepszą politykę" i przekonani byli, że im wyłącznie przypaść powinna sława i korzyść tej nowej polityki. Widząc się wysadzonymi z siodła, w gniewie politycznej namiętności przesiedli się odrazu na zupełnie

świeżego i inną szkołą chodzącego rumaka. Ci, którzy ugodowość uważali za swój przywilej i swoją zdobycz ewolucyjną, przerzucili się do skrajnej opozycyi, zaczęli lżyć ugodowców, pomawiać ich o zbezczeszczenie godności narodowej. Stąd powstały tak śmieszne sytuacye, że politycy ruchu ludowego, klnąc się niejednokrotnie na najbezwzględniejszą lojalność, równocześnie najzawzięciej występowali przeciwko tym, którzy tę samą lojalność propagowali z innego końca, zawsze jednak z uwzględnieniem wymagań tradycyjnego poczucia polskiego.

Poszło zatem, że największa zdobycz polityki ugodowej, to jest obsadzenie stolicy gnieźnieńskiej, przedstawiano, jako fakt, zupełnie nie mający znaczenia, co przeciwników stawiało w fałszywe położenie. Jeżeli sami odmawiać będziemy faktowi temu znaczenia, to jąkąż inną się popiszą zdobyczą politycy ugodowi? a jeżeli fakt ten podnosić będą do właściwego znaczenia, to z niemieckiej strony powiedzą im: przyznajecie sami, że tak wielkie wam zrobiliśmy ustępstwo, nie naprzykrzajcie się ciągle innemi i nowemi żądaniami.

Żądania takie stawiać w dalszym ciągu dla polityki ugodowej było jednak rzeczą nieodzowną. Raz, że rzeczywiście głośne ustępstwa i zmiany były tylko osobiste. Dano arcybiskupa, dawano tu i owdzie urząd, notaryaty i t. d. — wrócono tego lub owego nauczyciela lub urzędnika z wygnania albo nie wysłano go w obczyznę, ale na polu zasadniczem, mianowicie prawodawczem, nie można się było dopatrzeć zmiany na lepsze. Więc i na tem polu chcieli nasi politycy ugodowi doświadczyć swych sił. Parła ich do tego opinia antiugodowa, wykazująca, że my z polskiej strony wszelkie możliwe robimy ustępstwa, narażamy nawet godność swą na szwank, a druga strona w niczem a niczem nie ustępuje. Właśnie nadarzała się sposobność do targów, ponieważ rząd potrzebował w parlamencie głosów przychylnych dla przeprowadzenia swych zamiarów wojskowych i marynarskich. Chcąc te głosy posiąść, musiał albo zrobić ustępstwa zasadnicze, albo przynajmniej robić obietnice, mniej lub więcej obowiązujące. Niestety, obietnic było więcej, niż rzeczywistych danych, a sangwinizm polski zaczął się niemi uspakajać zbyt pochopnie. Chodziło mianowicie o ustępstwa na polu szkolnictwa, języka narodowego w nauce elementarnej. Obiecywano po trosze złote góry, byle tylko postępować systematycznie i stopniowo, nie obcesem. Zaczęto od przyznania językowi polskiemu prawa do nauki fakultatywnej. Rezultat tej nauki miał wykazać jej nieodzowną potrzebę. Liczono na polską opieszałość i nie zawiedziono się. Z początku jako tako korzystano z fakulta-

tywnej polskiej nauki, ale gdy stąd urosły nowe ciężary i opłaty, gorliwość ustawała. A właśnie gdy najgłośniej posłowie nasi dopominali się o język, minister mógł im statystycznie wykazać zawstydzający fakt, że w całem Księstwie tylko w 40 szkołach utrzymywano kosztem interesowanych rodziców fakultatywną naukę języka polskiego.

Zdołano jednak przekonać rząd, że fakt ten nie upoważnia go do zaniechania wszelkich ustępstw, albowiem trudno żądać od biednych, podatkami przyciśniętych ludzi, żeby osobno płacili za naukę swego języka, kiedy Niemcy ją dla swego mają darmo. Niepodobna żądać, iżby Polacy płacili osobno za to, co szkoła powinna dawać z zasady bezpłatnie. Trzeba więc było zamiast niemożebnej na stałe fakultatywności postawić inną zasadę.

Zasada ta była kościelno-religijną. Wykazać się musiało, że przy zupełnym braku nauki języka polskiego najbardziej szwankuje wychowanie kościelne, religia, moralność. Bez nauki języka polskiego prawie niepodobna uczyć katechizmu i przygotowywać dzieci do sakramentu pokuty. Więc po wielu targach zgodził się rząd znów na drobne ustępstwa, które sprawiły, że w najniższych oddziałach szkół elementarnych przyznano wykład religii w języku polskim, żeby się dzieci nauczyć mogły jako tako katechizmu po polsku, gdy jeszcze tak dalece nie postąpiły w języku niemieckim, żeby w tym języku mogły pobierać naukę swej wiary. Te okruchy, w różnych zresztą jeszcze stopniowaniach, utrzymały się do dziś dnia, głównie jednak w Księstwie, a i to tylko tam, gdzie jeszcze jest nauczyciel, umiejący po polsku. A skoro go niema, i sąsiad go także wyręczyć nie może, tam nikt o to nie pyta, czy się dzieci czegoś po polsku nauczą lub nie. Rzecz jest księdza, żeby chociaż katechizmu nauczył na pamięć. Oto cała zdobycz polityki ugodowej na polu szkolnictwa.

Jeżeli rząd pruski pojmiemy, jako wyraźnego i stanowczego reprezentanta niemczyzny i protestantyzmu, zbytnio dziwić się nie można, że na tem najważniejszum i najdraźliwszem polu starał się usiłowania nasze paraliżować i zbywać byle czem. Było rzeczą naszą nie pozwalać i nie poddawać się czczym obietnicom.

Ale oporność rządu miała jeszcze inne źródła. Poniekąd liczyć się musiał z wyrabiającym się coraz więcej szowinizmem opinii niemieckiej, która argusowem okiem pilnowała, żeby, broń Boże, rząd nie zrobił Polakom jakiegokolwiek szczerego i rzetelnego ustępstwa. Z drugiej strony jednak najwięcej ułatwiało oporność rządu zachowanie się opinii i szowinizmu polskiego. Na wszystkie natarczywo-

ści reprezentantów naszych, napierających o wykonanie obietnic, odpowiadano *unisono:* nie macie prawa występować w imieniu życzeń społeczeństwa waszego, bo w społeczeństwie tem nie macie miru, szkalują was, lżą, wypierają się waszej działalności i waszego stanowiska, przy pierwszych wyborach wyrzucą was z mandatów, jakżeż mamy z wami paktować?

W tej mierze rząd miał racyę. Szowinizm polski, narodowo-opozycyjny *quand même*, bądź też ludowcowy udany z powodów, które powyżej wytknęliśmy, mógł służyć rządowi za parawan antipolski, za zbroję antipolską, o którą bezsilnie się odbijały wszystkie pociski naszych reprezentantów i działaczy. Prasa niemiecka najskwapliwiej podejmowała każdą zaczepkę, każdą insynuacyę, każdą denuncyacyę prasy polskiej szczerze lub złośliwie antiugodowej i wytwarzała w opinii niemieckiej mniemanie, że polscy reprezentanci, paktujący i wojujący z rządem, nie mają w kraju żadnego albo prawie żadnego oparcia i poparcia. Gdyby nie to rozbicie polskiego obozu, zupełnie inaczej wyglądałyby zdobycze polityki ugodowej.

Zatem twierdzić można z czystem sumieniem, że, jak tylekroć w historyi naszej, tak i teraz szowinizm polski odegrał tu destruktywną rolę. Dziwić się dopiero szowinizmowi niemieckiemu, że wszystkie wytężał siły, żeby przerwać wszelkie nici, nawiązane między rządem a Polakami. I on pracował na swój sposób, żeby szerzyć w rządzie i wyżej jeszcze nieufność do Polaków, przestrzegał przed ich mniemaną chytrością i intrygami.

Już od początku ery Capriviego starano się z obydwu stron sprowadzać się do przyjaznej, wspólnej działalności i pracy na tak zw. „polu neutralnem". Wciągano Polaków do towarzystw, tworzono nowe towarzystwa międzynarodowo-niemiecko - polskie, ale niebawem żywioły, które się do siebie zbliżyły, zaczęły poza formami wspólności czuć obustronnie niechęć i podejrzliwość, z czego wyniknąć musiało zobojętnienie dla „wspólnych celów". Z niemieckiej mianowicie strony podejmowano wszelkie możliwe usiłowania, żeby ostatecznie ze skutkiem podkopać resztę zaufania do Polaków u cesarza i ministrów.

Przy wielkiej dyskretności byłego kanclerza, hr. Capriviego, dotychczas publicznie nie została wyjaśniona przyczyna jego upadku, ale zdaje się nie ulegać wątpliwości, że krecia praca poprzednika zdołała mu wykopać grób właśnie na niwie polityki polskiej.

Skoro padł Caprivi, nie długo czekać trzeba było na zupełną i odwrotną zmianę polityki niemieckiej w sprawach polskich. Hasło

do tej zmiany dał sam cesarz w mowie, wygłoszonej w Toruniu, w tym samym Toruniu, w którym politykę ugodową zainaugurował dzisiejszy arcybiskup gnieźnieński mową, wypowiedzianą na wiecu katolickim. Mowa pierwsza dała powód do wyboru arcybiskupa-Polaka, mowa druga dała powód do powstania *hakatyzmu*. Chrzest tego nowotworu politycznego uroczyście dokonanym został w siedzibie ks. Bismarcka, dokąd w politycznej pielgrzymce wybrało się kilka tysięcy Niemców z Księstwa i Prus Zachodnich. Złożyli Bismarckowi hołd, a on ich nauczył nowożytnej maffii antipolskiej, która jednych obywateli państwa zamieniła na prześladowców drugich i nałożyła na nich obowiązek prześladowania polskości na każdym kroku.

Na czele ruchu tego stanęli w Poznańskiem trzej działacze bismarckowscy: Hansemann, Tiedemann i Kenneman. Pierwszy—syn bankiera z Berlina, który się okupił korzystnie w południowej części Księstwa, drugi—członek dawnej biurokratycznej i ziemiańskiej rodziny, trzeci—właściciel wielkich latyfundyów, które zdobył niby własną pracą, ale za pieniądze, na bardzo nizki procent albo i bez procentu od rządu mu dostarczone. Od początkowych liter tych trzech działaczy nazwano ich kierunek HaKaTyzmem.

Kierunek ten, zrazu ograniczający działalność swą na Księstwo i Prusy Zachodnie, rychło rozpostarł swe sieci na całe Niemcy, w ślady Krzyżaków. Rycerze krzyża w imię wojny z pogaństwem ściągali datki pieniężne i siły rycerskie z całych Niemiec i całego świata chrześcijańskiego. Hakatyści także opodatkowali przez swoje filie całe Niemcy, żeby mieć poddostatkiem pieniędzy na utrzymywanie antipolskich agitatorów, na osiedlanie niemieckich lekarzy, adwokatów, kupców i rzemieślników, obowiązanych współzawodnictwem podkopywać byt polskich kolegów-współobywateli. Prawie większa połowa polskich lekarzy straciła niemiecką klientelę, tak samo kupcy i przemysłowcy. Urządzono najdalej sięgający bojkot przeciwko polskiej zarobkowości. Możnaby wymienić warsztaty i fabryki polskie, które dawniej cieszyły się rozległą klientelą niemiecką, a następnie straciły ją zupełnie.

Wobec takich stosunków ustać musiały nie tylko chęci do pielęgnowania wspólności polsko-niemieckej, ale i polityka ugodowa stała się niemożebną. Szowinizm narodowy i ludowy polski zamiast wziąć udział w spokojnem i solidarnem wycofaniu się z pozycyi politycznej, której nie można było utrzymać, rzucił się z wściekłością na t. z. ugodowców i zasypywał ich zarzutami odstępstwa i zdrady, a przedewszystkiem głupoty. Nie trwożyło to polityków naszych ludowych,

że czas względnej łagodności rządów się skończył, a rozpocznie się nowa era prześladowań, lecz owszem, podnosili najkrzykliwsze tryumfy z powodu, że ugodowcy przegrali, powinni więc być w opinii srogo ukarani za swą łatwowierność i głupotę.

Ci jednak nie pozwolili się zbić z tropu, lecz owszem, przekonawszy się, że dalej polityki ugodowej i polityki popierania rządu prowadzić nie można, najprzód w parlamencie złożyli ostrzegawczą deklaracyę, a następnie, przy pierwszem ważniejszem głosowaniu w sprawie marynarki przeszli do opozycyi. Krok ten powinien był uspokoić obawy polityków ludowcowych i sprowadzić wszystkie kierunki znów do jednego mianownika opozycyi. Pełna godności deklaracya koła polskiego, t. z. deklaracya Komierowskiego, była najoczywistszym dowodem, że t. z. polityka ugodowa nie była owocem abdykacyi i służalstwa, lecz poprostu środkiem, którego użyto w stosownych okolicznościach, a który porzucono, skoro się te okoliczności odmieniły.

I znów się powtórzyła tragi-komedya z czasów nastania polityki ugodowej. Najzaciętszymi zrazu nieprzyjaciółmi jej stali się ci, którzy aż drżeli do niej, ale czuli się zdystansowani przez dawnych polityków protestu. Teraz zwrot opozycyjny, wykonany bardzo zręcznie i zgodnie z opinią ogółu przez samychże działaczy polityki ugodowej, przeciwnie, do gniewu doprowadził jałowych opozycyonistów, którzy ciągle wszystko umieli krytykować, ale nie umieli czynnie przodować w dalszym rozwoju spraw politycznych. Mianowicie prasa ludowcowa całkiem nie chciała akceptować stanowiska opozycyjnej deklaracyi Komierowskiego, usiłowała ją zdyskredytować lub zabić milczeniem, bo sobie znów przypisywała wyłączne prawo do wykonania zwrotu opozycyjnego. I znów się stało, że opozycyoniści zaczęli nim zwalczać tych, którzy wrócili do tak niby upragnionej opozycyi. Nazywało się, że taki zwrot mogą tylko wykonać zupełnie nowi ludzie, wzbudzający zaufanie, że nigdy już nie zboczą na drogi ugodowe. Tymczasem w polityce wyraz „nigdy" zupełnie nie ma znaczenia, o czem doskonale wiedzą nasi ludowcy, a dzisiejsi secesyoniści...

Kara na ugodowców wymierzoną być miała przy ostatnich wyborach. Główni ich reprezentanci, nie wyłączając tych, którzy wykonali zwrot opozycyjny, mieli zostać usunięci z mandatów, a mieli ich zastąpić „ludzie nowi", nieposzlakowani w opozycyjności. Hasło do tego ostracyzmu wyszło ze skrajnego skrzydła koła polskiego w Berlinie, na którego czele stoi poseł Leon Czarliński.

Jednakże akcya, która pod tem hasłem się rozwinęła,

bardzo niedołężnie została przeprowadzoną. Zasadzać się ona miała nie tylko na usunięciu posłów ugodowych, ale już przedtem na wydobyciu „Dziennika Poznańskiego" z rąk obecnej redakcyi, która nowatorom wielce stała na przeszkodzie. Jakie w tej mierze urządzano intrygi, nie warto wyszczególniać. Dosyć, że w żadnym punkcie nowe hasło nie zdobyło pola. „Dziennik" został „Dziennikiem", jakim jest, a na polu parlamentarnem wytrawna opinia wyborców także nie dopuściła nowatorstw. Wybrano znanych, wypróbowanych parlamentaryuszów, a mianowicie wszystkich dawniejszych ugodowców, którzy podpisali i wnieśli opozycyjną deklaracyę Komierowskiego. Polityka lewego skrzydła koła polskiego poniosła fatalną klęskę, i to podwójną. W Księstwie nie wybrano ani jednej „nowej siły", która się do wyboru napierała.

Gorzej jeszcze wydarzyło się w Prusach, skąd kierunek opozycyjny wpływał bardzo energicznie na wybory całej prowincyi. W Prusach Zachodnich, gdzie naczelnik opozycyi, p. Leon Czarliński zblizka kierował maszyną wyborczą sam i przez swych działaczy, pp. Brejskiego, redaktora „Gazety Toruńskiej", i p. Kulerskiego, redaktora „Gazety Grudziądzkiej", straciliśmy aż 6 mandatów. Nawet sam Czarliński przepadł we własnym okręgu i wcale nie byłby się dostał do parlamentu, gdyby nie był znalazł gościnności wyborczej w Księstwie, w okręgu szulsko-wyrzyskim, dotąd reprezentowanym przez Niemca.

Zatem zdawałoby się, że, jak od dawna, tak i przy ostatnich wyborach parlamentarnych, walczyły z sobą dwa stronnictwa polskie, jedno opozycyjne i drugie ugodowe. Tymczasem taka charakterystyka „stronnictw" zupełnie jest mylną, a przedewszystkiem mylą się ci publicyści i politycy zakordonowi, którym się zdaje, że pod zewnętrznymi objawami walk i zawichrzeń wewnętrznych u nas ukrywają się różnice wielkich zasad, zacofania i postępu, konserwatyzmu i liberalizmu, tradycyi i aspiracyi ludowych. Nic z tego wszystkiego. Więc np. między przeciwnikami polityki ugodowej są właśnie „ugodowcy" najczystszej wody; wrzawa ich opozycyjna jest blichtrem, którym pokrywają tylko swe osobiste niechęci i zawiści. A nawet dziś, kiedy o polityce ugodowej nikt nie marzy, wmawiają w przeciwników, że ciągle jeszcze są ugodowcami, bo inaczej musieliby się zgodzić na dawniejsze ich stanowisko, zaprzestać walki i wichrzeń; a tego nie chcą i nie mogą, bo straciliby zupełnie na znaczeniu. Doprawdy dziś, kiedy Niemcy nas prześladują najzajadlej, kiedy my coraz więcej opozycyjne zajmujemy i zajmować musimy stanowisko, komiczne robi wrażenie, skoro t. z. prasa

ludowcowa wciąż wojuje z ugodowcami „ad absurdum" i pod pręgierz ich stawia. Już to samo chyba powinnoby przekonać wszystkich, że tu nie chodzi o zasadę, tylko o dziecinne spory, zacietrzewienie i ciemnotę polityczną, której chyba nigdzie na świecie w podobnym gatunku nie znajdzie. Przedewszystkiem ludowi naszemu ani się śni o zdobywaniu pozycyi, do których mu niby bronią przystępu szlachta i inteligencya. Walkę taką zmyślono, żeby nią podszczuwać ciemniejsze warstwy. To też tylko tam się ona objawia, gdzie ktoś zarzewie rozdmuchuje; gdzie niema dmuchających, tam lud trzyma się swych przyrodzonych powag. Kto czyta poznańskie pisma ludowcowe, mógłby np. mniemać, że duchowieństwo nasze, zwłaszcza najwyższe składa się z samych zdrajców i odstępców narodowych. Zdawaćby się mogło, że lud wszędzie odwraca się od tego duchowieństwa. Tymczasem w rzeczywistości lud ten swe duchowieństwo otacza wszędzie największą czcią, a nad zaczepkami, umieszczanemi w pismach ludowcowych, przechodzi do porządku dziennego, bo ich prawie zupełnie nie rozumie, tak, jak wielu innych wichrzeń.

Całe nasze zaburzenia wewnętrzne są tedy poprostu burzą w szklance wody, burzą, którąby wcale nie była szkodliwą, gdyby przeciwnicy narodowi nie korzystali z niej na naszą szkodę. I tak np. za czasów polityki ugodowej ciągle politykom ugodowym wytykano, że lud ich nie popiera, że lud ich nie uznaje, bo pisma ludowcowe pełne są na nich wycieczek, pełne są najskrajniejszej opozycyjności, zaczem nie mogą oni brać odpowiedzialności za lud i jego organa.

Jesteśmy teraz bądźcobądź w tem fatalnem położeniu, że cała niemczyzna skonsolidowała się, skrystalizowała przeciwko nam w hakatyzmie, a my jesteśmy podzieleni na „stronnictwa", nie mające podstawy, i walczymy ze wspólnym nieprzyjacielem na osobnika rękami, podczas gdy nogami kopiemy siebie nawzajem. Ostatnie wybory wykazały, że polski szowinizm secesyjny stracił zupełnie uznanie w nieco światlejszych kołach warstw średnich i u ludu. Przemysłowcy, kupcy, rzemieślnicy i wogóle ludzie średniej inteligencyi z małymi wyjątkami odstręczyli się od ludowcowej secesyjności, zatem szukać ona musi pola dla siebie w coraz szerszych warstwach społecznych i znajduje posłuch już tylko u mas robotniczych, które łatwo zbałamucić bądź obietnicami, bądź ostrością wystąpienia. Czy te warstwy tak samo sobie uprzykrzą bezsilną i bezowocną walkę, jak wyższe warstwy ludu, czas dopiero pokaże.

Takie są nasze stosunki wewnętrzne.

Hakatyści obmyślają coraz nowe środki i sposoby antipolskie. Prąd ten zrobił kolosalne postępy. Z hakatyzmu wyrobiła się u nich

już ogólna tak zw. „polityka narodowa", która się zasadza na tem, żeby na każdym kroku zwalczać to, co polskie, co się więc „narodowej polityce" niemieckiej sprzeciwia. Prąd ten ogarnął najzupełniej sfery rządowe, ministeryalne, tak samo parlamentarne i wszelkiego ruchu publicznego. Niemiec, pospolity nawet, skoro odbiera Polakowi chleb, spełnia obowiązek polityki narodowej. Poczucie słuszności i sprawiedliwości gaśnie w całym nieledwie narodzie niemieckim.

Ostatnia kampania parlamentarna wykazała, że niema najmniejszych widoków na złagodzenie systemu ekstyrpacyjnego. Póki palec Boży nie zawiśnie nad nowożytnymi Krzyżakami, pycha ich się nie upokorzy. Twierdzą oni, że popełniliby samobójstwo, gdyby się skłonili do jakichkolwiek ustępstw dla żywiołu, psującego narodową jednolitość rzeszy niemieckiej.

Nie tylko, że nie myślą o ustępstwach, ale już naradzają się, żeby wykupić całą własność polską, zakazać gazetom pisać po polsku, żołnierzy, którzy przez dwa lata służby nie wyuczą się dokładnie języka niemieckiego, wbrew prawu zatrzymywać dłużej pod bronią, ograniczyć przyjmowanie uczniów polskich do szkół, albowiem, jak dziś mówią, szerzenie kultury ma skutek obosieczny, bo usposabia Polaków do silniejszego oporu.

W tak rozpaczliwem położeniu jedno tylko jest pocieszające, że lud wyrabia się na wiecach i występuje już samowiednie i samodzielnie. Gdyby nawet kolonizacya zjadła całą większą własność, co niemożebne, lud nie okazałby się osieroconym, bo już śmiało i umiejętnie umie radzić o sobie. Ale o tem później.

Drogomir.



KRONIKA EKONOMICZNA.

Oznaki przesilenia na rynku wszechświatowym. — Syndykaty przemysłowe.—Gospodarka kapitalistyczna w koloniach.—Wędrówki robotników rolnych.

Pomimo ogólnego ożywienia, jakie dotąd trwa na rynku wszechświatowym, mnożą się głosy, ostrzegające przed zbytnim optymizmem, a przypominające starą prawdę o latach chudych, które pożerają tłuste. Jednym z najciekawszych przejawów tego budzącego się pesymizmu było zapewne monitum, udzielone przemysłowcom w półurzędowym organie niemieckim „Norddeutsche Allgemeine Zeitung" w końcu marca; ciekawe nie tyle ze względu na treść, ile ze względu na miejsce, gdzie zostało wypowiedziane. Boć dziwnem jest, że organ, którym posługuje się półurzędownie rząd niemiecki, ten sam rząd, którego przedstawiciele w parlamencie powoływali się na świetną konjunkturę w przemyśle i handlu, kiedy chodziło o uspokojenie umysłów co do nowych ciężarów militarnych, nakładanych na społeczeństwo z powodu powiększenia marynarki, że organ ten, powiadamy, wyraża obawy co do trwałości obecnej konjunktury. W artykule wspomnianym czytamy:

„Jakie były powody, sprowadzające w dawniejszych okresach szybki koniec pomyślnej konjunktury ekonomicznej? Najgłówniejszym z nich niezawodnie było anormalne podwyższanie cen towarów i kursów papierów wartościowych. Znaczny popyt na materya-

ły surowe, szczególniej na węgle i żelazo, był pokusą dla producentów do nadużyć; wyzyskiwali oni bezwzględnie położenie odbiorców, a w ten sposób wszystkie gałęzie wytwórczości zostały porwane w wir nadprodukcyi, która zakończyć się musiała zawsze strasznym kryzysem.... Gdyby obecny rozkwit ekonomiczny miał doprowadzić do takiego końca, klęski byłyby dotkliwsze, niż kiedykolwiek. Od dziesięcioleci bowiem cały świat zarówno w gospodarstwie prywatnem, jak w publicznem, przywykł do wzrastających stale dochodów. Budżety rodzin, jak zarówno gmin i państwa, zostały przykrojone do tego stanu rzeczy. Państwo, które dawniej mniej bywało dotknięte przez kryzys—przynajmniej bezpośrednio, gdyż czerpało środki z podatków dochodowych, gruntowych i podymnego, teraz, jako największy wytwórca, odczułoby w finansach swoich kryzys w sposób złowrogi. Już sama przerwa w dalszym wzroście komunikacyi, a tembardziej zmniejszenie ruchu kolejowego pozbawiłoby państwo znacznej pozycyi dochodów, czerpanych z kolei państwowych, wobec czego zabrakłoby niechybnie środków na opędzenie potrzeb, uznanych dotąd za konieczne."

Organ półurzędowy pociesza się wszakże tem, że obecnie istnieje czynnik, przeciwdziałający kryzysom, mianowicie syndykaty przemysłowców, które rzekomo nie dopuszczą do zbytniego napięcia struny, i wobec tego nawołuje tylko świat przemysłowy, aby nie utrudniał tego zadania kierownikom syndykatów.

Tymczasem taki pogląd na działalność syndykatów jest pozbawiony wszelkiej podstawy, gdyż właśnie syndykaty na całym świecie, a przedewszystkiem doskonale zorganizowane syndykaty producentów węgla i żelaza w Niemczech, podwyższały ceny bez skrupułów najmniejszych. Niema co do tego faktu najmniejszej wątpliwości, gdyż cyfry tu mówią same za siebie. Według wykazów giełdy węglowej w Essen, gdzie ceny reguluje syndykat westfalsko-nadreński, ceny za węgiel opałowy (Flammkohle) wynosiły w roku 1893, kiedy założony został syndykat, 7,58 marek za 1000 kilogramów, obecnie zaś wynoszą 11,50 marek. Ceny żelaza pudlingowego (Puddelroteisen), które naznacza również zgoła dowolnie syndykat, wynosiły za 1000 kilogramów: w roku 1894 — 45 marek, 1896 — 47 m., 1897—57 m., 1898—59 m., 1899—59 m., na rok 1900 syndykat zawierał kontrakty na dostawę po 79 marek; na początku zaś roku bieżącego postawiono konsumentom ultimatum: zakontraktować całą ilość, potrzebną im na rok 1901 po 90 marek lub wyrzec się nadziei otrzymania surowca, na który syndykat ma w każdym razie odbyt zapewniony. Wobec takich cyfr trzeba mieć odwagę nielada,

aby mówić o zbawiennym wpływie syndykatów, przeciwdziałających zwyżce cen.

Co się zaś tyczy spekulacyi, którą potępia organ urzędowy, to ciekawem było obserwować wrażenie, jakie wywarł alarmujący artykuł. Nazajutrz po wydrukowaniu artykułu na giełdzie berlińskiej notowano znaczną zwyżkę akcyi tych przedsiębiorstw przemysłowych, które należą do syndykatów! Skutek niespodziewany zapewne dla autora artykułu, lecz bardzo zrozumiały dla każdego, kto starał się zrozumieć cokolwiek psychikę giełdy. Giełda nie liczy się z etyką, więc obawy przed klęską społeczną, jaką spowoduje kryzys, na nią nie podziałały; giełda nie lubi też teoretycznych rozumowań i nie sięga nigdy wzrokiem w przyszłość daleką, lecz rządzi się tak zwanym „zdrowym rozsądkiem" i pyta: jaki będzie kurs papierów w terminie najbliższym. Zdrowy zaś rozsądek odpowiedział: „syndykaty cieszą się zaufaniem bezgranicznem, co wypowiada się w artykule organu półurzędowego, ergo — należy kupować akcye przedsiębiorstw, któremi kierują syndykaty." Logika szwankuje cokolwiek, lecz „zdrowy rozsądek" inaczej rozumować nie jest w stanie.

Tymczasem w miesiąc później spekulanci zapłacili haracz sowity za to kupno akcyi, podyktowane zaufaniem do syndykatów — kurs akcyi przedsiębiorstw kopalnianych i hutniczych spadł na giełdzie berlińskiej w sposób niebywały! A stało się to tak: na giełdzie w New-Yorku zaszedł run, kurs akcyi przedsiębiorstw hutniczych spadł gwałtownie, notowano też niebywale nizkie ceny za żelazo amerykańskie; spadek kursów podziałał najpierw na giełdę w Londynie, a potem powstała panika na giełdzie berlińskiej. Powodem zaś zniżki gwałtownej w New-Yorku była operacya jednego z najpotężniejszych syndykatów, o której pisze jedna z gazet tamtejszych: „W kołach handlarzy żelazem i stalą panuje wielkie oburzenie przeciw panu John W. Gates, dyrektorowi *American Steel and Wire Company*, ponieważ ten pan nagle zarządził zamknięcie 12 wielkich fabryk drutu i gwoździ, które produkują 3—4000 ton dziennie. Krok taki pan Gates motywuje grożącą nadprodukcyą. Wszelako twierdzą, że operacya ta miała na celu obniżenie cen surowca, obiegają nawet pogłoski, że pan Gates miał na widoku li tylko grę giełdową, gdyż, spekulując na zniżkę, zarobił znaczne sumy." Oto co znaczy potęga syndykatu! Pan Gates dla takich czy innych względów zamyka w Stanach Zjednoczonych kilka fabryk i z tej racyi tracą giełdowicze, co w Berlinie zaufali mądrości „Norddeut-

sche Allgemeine". Stracili zaś niemało, gdyż pomiędzy 23 kwietnia a pierwszym maja zaszły straty na kursach po 10—20 procent.

Teraz pisma giełdowe zapewniają, że ta panika giełdowa jest najzupełniej „przypadkową", że „podstawy życia ekonomicznego są najzupełniej zdrowe." Otóż tej zdrowotności nie należy zbytnio dowierzać, gdyż doświadczenie uczy, że zawsze dotąd bezpośrednio przed wybuchem kryzysu na ogół stan interesów przedstawiał się świetnie. Już sam fakt, że jeden manewr giełdowy może wywołać takie zaniepokojenie na całej linii śród spekulantów, świadczy o tem, że przeżywamy okres niezmiernie napiętych wskutek spekulacyi stosunków. Należy zatem sięgnąć nieco głębiej, by wytworzyć sobie pojęcie o sytuacyi rzeczywistej i najbliższych ewentualnościach.

Mieliśmy już sposobność wyjaśnić, że ton na rynku w obecnym okresie nadaje przemysł żelazny; wskutek ogromnego zapotrzebowania materyału dla budowy dróg, otwarcia nowych rynków, rozwoju budownictwa, forsownych zbrojeń morskich wzrosło zapotrzebowanie na żelazo i węgiel; zwiększony w jednej gałęzi produkcyi popyt wpłynął na ożywienie spekulacyi orazna rozwój w innych gałęziach, i ludność robocza wielkiego przemysłu wystąpiła ze zwiększonym popytem na przedmioty pierwszej potrzeby, kupiec detaliczny nabiera otuchy i czyni obstalunki, słowem — ruch powstał na całej linii. Jak więc teraz przedstawia się sytuacya w tym właśnie przemyśle żelaznym, skąd ruch ten wziął początek? Jednym z najpoważniejszych producentów żelaza jest Ameryka północna Popyt zwiększony pobudził tam ogromne siły produkcyjne, o jakich nie myślano nawet.

Oto kilka cyfr, wykazujących ten wzrost: produkcya węgla w roku 1898 wynosiła 149,876,000 ton, w roku 1899 — 170,411,000 ton. W roku 1896 wyprodukowano stali (system Siemensa) 1,298,700 ton, w roku 1898—2,230,300 ton, w roku 1899—2,947,300 ton; produkcya wzrosła zatem w okresie trzyletnim o 125 procent. Produkcya surowca w roku 1899 wyniosła 13,620,736 ton, o 15 procent więcej, niż w roku poprzednim, przyczem w pierwszej połowie roku ubiegłego wyprodukowano 6,289,167, w drugiej zaś 7,331,546, co świadczy, że dopiero w drugiej połowie nowowybudowane wielkie piece dostarczyły towaru. Jest to bezprzykładny rzeczywiście rozwój produkcyi, i końca jej dotąd nie widać, gdyż produkcya za marzec ubiegły, wynosząca 1,205,544 ton, przewyższyła produkcyę za luty o 12,300 ton, a zawsze jeszcze są w robocie wielkie piece, które dopiero mają wziąć udział w produkcyi. Z początku te olbrzymie ilości

żelaza i stali znajdowały odbyt natychmiast: nie można nawet było pokryć zapotrzebowania, i ceny jeszcze w roku zeszłym wzrastały nieprzerwanie. Teraz wszakże nastał zwrot: podaż przewyższa popyt, producenci nie są w stanie sprzedać wszystkiego żelaza, gdyż pomimo szybkiego rozwoju przemysłu produkcya ta okazuje się nadmierną.

Istnieje więc nadprodukcya, towar nagromadza się na składach; trzeba go się pozbyć, pozbyć natychmiast. I oto zachodzi zwrot na rynku wszechświatowym — żelazo amerykańskie szuka odbytu i oczywiście wywalcza go zniżką cen. Że może ono konkurować z europejskiem, tego dowodzą cyfry. Jedno z pism fachowych „*Iron Coal Trades Review*" oblicza bowiem koszta produkcyi za tonę żelaza Bessemerowskiego w sposób następujący:

Francya (Loire)	2	funty	ster.	17	szylingów 9	pensów
Belgia (Liège)	2	„	„	13	„ 0	„
Niemcy (Westfalia)	2	„	„	12	„ 3	„
Anglia (Cleveland)	2	„	„	09	„ 6	„
Hiszpania (Bilbao)	1	„	„	19	„ 9	„
Stany Zjedn. (Pittsburg)	1	„	„	17	„ 6	„

Zaczynają się tedy pojawiać alarmujące wieści w rodzaju następujących: „w tygodniu ubiegłym znaczna ilość żelaza amerykańskiego przybyła do Glasgow; w opracowaniu okazało ono się doskonałej jakości..." „W Hamburgu ofiarowują żelazo amerykańskie po cenie 77,6 szylingów w nieograniczonych ilościach."

Lecz nie tylko żelazo amerykańskie szuka zbytu w Europie— zaczyna przybywać stamtąd węgiel! Niedawno donoszono o wielkich transportach węgla amerykańskiego, przeznaczonego dla kolei parysko-lyońskiej, a świeżo czytamy w „Frankfurter Zeitung": „Dowiadujemy się o układach pomiędzy jednym z hurtowników naszych a producentami amerykańskimi o dostawę węgla; oferta amerykańska jest o bardzo niewiele już tylko wyższą od cen niemieckich. Liczyć zaś należy na to, że Ameryka będzie mogła oddać jeszcze taniej. Dotąd bowiem trudność polega na tem, że statki parowe, kursujące obecnie, niezupełnie są dogodne dla transportu węgla. Obecnie przewóz kosztuje 10 do 12 marek za tonę, jeżeli zaś uda obniżyć się tę cenę do 8 marek, węgiel amerykański może wytrzymać konkurencyę. To też, jak słyszymy, istnieje zamiar zbudowania kilku statków, specyalnie zastosowanych do przewozu węgla, mogących

pomieścić po 10,000 ton." Obiegają też pogłoski o zakupieniu 200,000 ton z Alabamy do—Odessy.

Otóż wobec tych faktów panika giełdowa staje się zrozumiałą: Zaczął się bój na śmierć z olbrzymem transatlantyckim, i giełdę dreszcz przebiegł.

Możnaby było jeszcze nie obawiać się nadto tej konkurencyi, gdyby rynki europejskie były w równowadze, lecz okazuje się, że i tu zaczyna się już reakcya. W Anglii pomimo intensywnej pracy fabryk broni i okrętów pismo specyalne „*Ironmonger*" zaznacza tendencyę zniżkową; w Niemczech pismo, będące na usługach syndykatów węglowego i żelaznego, „*Rheinisch-Westfälische Zeitung*", opuściło nagle z tonu i przyznaje teraz, że wygórowane ceny żelaza spowodowały zmniejszenie popytu. Jest to zeznanie tem ciekawsze, że właśnie syndykaty spowodowały taką zwyżkę cen, przyczem kierowały się jedynie pogonią za wygórowaną dywidendą. W rzeczy samej popyt zmniejszył się poczęści z powodu wysokich cen, poczęści zaś wskutek utrudnionego położenia na rynku pieniężnym. W kronice styczniowej wskazywaliśmy, że w Niemczech i Anglii liczą na uszczuplenie ruchu budowlanego w roku bieżącym dla utrudnionego kredytu, i rzeczywiście obecnie pisma fachowe zaznaczają zmniejszenie zapotrzebowania żelaza dla budowli. To samo zjawisko powtarza się też w Rosyi, jak zaznacza „*Torgowo-Fromyszlennaja Gazeta*" w numerze z 9 (22) marca roku bieżęcego.

Tak więc konjunktura w miarodajnej gałęzi przemysłu nagle zmniejszyła się na gorsze, i położenie jest tu rzeczywiście niesłychanie naprężone. Jeżeli ceny w Ameryce poczną dalej spadać, może tam wybuchnąć nagłe przesilenie, a doświadczenie dostatecznie już pouczyło o tem, jakie spustoszenia sprawia tam każdy run giełdowy. Przesilenie zaś w Ameryce niechybnie sprawi spustoszenia na giełdach europejskich, i cała sytuacya, przedstawiająca się obecnie jeszcze w barwach ponętnych, w mgnieniu oka może się zmienić. Nie ulega zaś kwestyi, że zdanie, wypowiedziane w półurzędowym organie niemieckim, jest najzupełniej uzasadnione. Klęski, jakie sprawi przyszłe przesilenie ekonomiczne, będą nad wyraz dotkliwe.

Przyjrzawszy się bliżej owej konkurencyi amerykańskiej na rynkach europejskich, zauważymy przedewszystkiem fakt znamienny: żelazo i węgiel amerykański pomimo kosztów transportu są tańsze w Glasgow, Hamburgu i Lyonie, aniżeli na rynkach wewnętrznych Unii. Wyjaśnienie tego zjawiska jest nader proste—mamy tu do czynienia z polityką handlową trustów amerykańskich.

Cała bowiem produkcya węgla i żelaza dziś jest w rękach wielkich trustów. W r. 1899 powstał trust, obejmujący kopalnie pensylwańskie, o ile rozwożą one węgiel kolejami, połączono tu 104 przedsiębiorstwa kopalniane w stowarzyszenie *Pittsburg Coal Company* rozporządzające kapitałem 64 milionów dolarów. Drugi trust, powstały w roku 1898, obejmuje te kopalnie pensylwańskie, które korzystają z nader dogodnej komunikacyi wodnej; trust ten *Monongahela River Company* rozporządza kapitałem 30 milionów dolarów. Prócz tego pensylwańskie kopalnie antracytu zostały zakupione przez towarzystwa kolejowe, i wraz z koncentracyą, jaka się tu odbyła, kopalnie zostały skoncentrowane w rękach dwu miliarderów — Morgana i Vanderbildta, a ci podobno doszli już do porozumienia między sobą. Kopalnie w Ohio i wschodniej Wirginii dziś są również złączone w trusty. Podobnie w produkcyi żelaza: dwa wielkie trusty — *Carnegie Rochefeller*, oraz *Federal Steel Company* — panują dziś nad rynkiem, dyktując samowładnie ceny.

Rezultatem tej olbrzymiej koncentracyi była zwyżka cen: tona węgla kosztowała w Pittsburgu dnia 1 października 1899 r. 95 centów, po utworzeniu nowego trustu i porozumieniu pomiędzy nimi cena wyniosła 1 grudnia 130 i na tym poziomie utrzymała się dotąd. Ceny zaś żelaza i stali w Pittsburgu w roku ubiegłym wzrosły o 100 procent.

Są to ceny ogromnie przewyższające koszta produkcyi, zapewniające olbrzymie zyski. Jasnem więc jest, że kierownicy trustów wszelkimi środkami będą się starali utrzymać na tym poziomie ceny; w tym celu zaś trzeba się pozbyć nadmiaru produkcyi w chwili, kiedy popyt zaczyna się zmniejszać, a środkiem ku temu jest wysyłanie węgla i żelaza na rynki obce, chociażby wypadło zrzec się zysków. Oto dobroczynny wpływ koalicyi przedsiębiorców, koalicyi, w których półurzędowy organ niemiecki upatruje zbawienie ustroju ekonomicznego od wstrząśnień!

Taka polityka nie jest wszakże bynajmniej cechą wyłącznie trustów amerykańskich; absolutnie tak samo postępują syndykaty niemieckie, przedewszystkiem syndykat węglowy westfalsko-nadreński. Tu doszło nawet do tego, że w czasie faktycznego braku węgla, który powodował bezrobocie przymusowe w fabrykach i narażał ludność miast w Niemczech zachodnich na dotkliwy brak opału w ostatnią zimę, syndykat wywoził węgiel w coraz większych ilościach do Holandyi, Francyi i Szwajcaryi. Wprost niezrozumiałem wobec tego faktu jest postępowanie rządu pruskiego, który pomimo

nawoływania izb handlowych nie zdecydował się na zniesienie tanich wywozowych taryf na kolejach żelaznych.

Fakty tego rodzaju zaostrzą zapewne jeszcze bardziej dyskusyę nad trustami, która toczy się obecnie w Stanach Zjednoczonych, gdzie walka przeciw trustom została postawiona, jako hasło wyborcze ze strony partyi demokratycznej na czas zbliżającej się kampanii wyborczej, i nie można odmówić zręczności tym, którzy tę kwestyę obrali za hasło. W rzeczy samej: drobny producent, który w cięższej coraz walce o byt z trudnością broni swego stanowiska, czuje się zagrożonym przez ową olbrzymią potęgę nowożytną; konsument słusznie w trustach upatruje przyczynę wzrastającej drożyzny, a robotnik widzi wyraźnie, że wobec potęgi skoalizowanych przedsiębiorców jest on bezsilnym, gdyż przedstawiciele trustu rozstrzygają samowolnie o jego płacy, a przeciw tej samowoli nie pomoże nawet środek rozpaczliwy—strejk, gdyż na każdą próbę w tym kierunku trust odpowie ogólnym *lock-out*— pozbawieniem pracy wszystkich robotników danej gałęzi produkcyi, co może przeprowadzić dla braku konkurencyi. Trusty zaś obejmują coraz to nowe dziedziny wytwarzania. Niedawno jedno z pism w New-Yorku podawało spis syndykatów i kapitałów, jakimi rozporządzają. Jakkolwiek cyfry, tu podane, zdają się być zbyt wygórowane, podajemy je poniżej:

Trusty	producentów	nafty	z kapitałem	153	mil. dol.
„	„	żelaza i stali . . .	„	$347\frac{2}{3}$	„
„	„	węgla	„	$161\frac{3}{4}$	„
„	„	gazu świetlnego .	„	$431\frac{3}{4}$	„
„	„	cukru	„	115	„
„	„	tytuniu	„	$108\frac{1}{2}$	„
„	przedsiębiorstw	telefenicznych .	„	$56\frac{3}{4}$	„
„	„	elektrotechnicz.	„	$139\frac{1}{8}$	„
„	producentów	alkoholu	„	$67\frac{3}{10}$	„
„	pomniejsze	. . . .	„	$1334\frac{1}{4}$	„

Ostatnia pozycya obejmuje trusty w tych gałęziach produkcyi, w których istnieje jeden tylko samodzielny trust (cyfry w nawiasie wyrażają miliony dolarów kapitału trustowego). Syndykat mączny (150), syndykat garbarzy (125), syndykat fabrykantów cygar (75), związek fabrykantów biszkoptów (55), związek handlarzy kukurydzą (100), związek handlarzy drzewa budulcowego (45), syndykat fabryk wyrobów kauczukowych (40), stowarzyszenie eksporterów mięsa (50), syndykat fabryk blachy miedzianej (40), syndykat eksporterów tytuniu ($33\frac{1}{2}$), syndykat fabryk papieru (45), syndykat

fabryk kwasów i chemikalii (50), związek handlarzy chmielu (20), syndykat fabryk wyrobów srebrnych (30), ołowianych (30), pończoszniczych (30), związek fabrykantów okuć do drzwi i okien (20), syndykat fabryk obić papierowych (20), papierosów (25), maszyn do pisania (18), syndykat hut szklanych (18), fabrykantów trumien i przedsiębiorstw pogrzebowych (15), syndykat fabryk wyrobów garncarskich (15), wyrobów mosiężnych (25), wstążek jedwabnych (18), tkanin gumowych (12), wyrobów nożowniczych (15), śrub stalowych (15), syndykat zakładów litograficznych (11½), papierni, wyrabiających papier dla gazet (10), fabryk powroźniczych (12), fabryk celuloidu (8), związek warzelni soli (5), związek tartaków (5), syndykat fabryk nici do szycia (12), fabryk mebli giętych (12), związek zakładów przewozowych (13), syndykat fabryk zapałek (11), fabryk lodu sztucznego (10), fabryk luster (10), fabryk broni i nabojów (10), fabryk krochmalu (10½), związek handlarzy ryb (10), syndykat fabryk czcionek drukarskich (10), fabryk sprzętów kuchennych (8), fabryk tektury ($6^6/_{10}$); prócz tego szereg mniejszych syndykatów z kapitałem 2—5 milionów.

Wszystkie te syndykaty skorzystały z pomyślnej konjunktury i podwyższały ceny swoich wyrobów, o ile zaś starczyło im sił, starały się wysadzić z siodła współzawodników, przedsiębiorców, stawiających opór organizacyi, przez obniżenie chwilowe cen na tym specyalnie rynku, gdzie toczyła się walka współzawodnicza.

Obrońcy syndykatów twierdzą, że syndykat powstaje zwykle tam, gdzie współzawodnictwo obniżyło nadmiernie ceny, a wzrost cen po zawiązaniu syndykatu świadczy tylko o tem, że doprowadzono ceny do „poziomu normalnego". Twierdzenie to wszelako utrzymać się nie da ani dla trustów amerykańskich, ani dla syndykatów niemieckich. Zarówno bowiem w Stanach Zjednoczonych, jak i w Niemczech właśnie w czasie najbardziej pomyślnej konjunktury, w ostatnich dwu latach powstało mnóstwo tego rodzaju związków przedsiębiorczych, i ceny, przez nie wyznaczone na towary, po większej części należy uznać za anormalnie wysokie w stosunku do kosztów produkcyi. Dziś nie ulega już kwestyi, że celem wyraźnym zupełnie większości syndykatów jest wyzysk konsumentów. Prócz tego fakty ostatniej doby zadają też kłam twierdzeniu, jakoby syndykaty przeciwdziałać mogły przesileniom ekonomicznym. Teoretycznie możność taka istnieje. Gdyby bowiem syndykaty postawiły sobie za zadanie śledzić z całą dokładnością stan rynku, mogłyby one rzeczywiście oceniać daleko dokładniej, niż ktokolwiek inny stan rynku, mogłyby zatem zastosowywać produkcyę do zapotrzebowa-

nia, rozszerzać ją w miarę wzrastającego popytu, uszczuplać, gdy popyt słabnie. Warunkiem wszakże byłoby, aby w rzeczy samej ceny, naznaczane przez syndykat, były „normalne", t. j. odpowiadały ściśle kosztom produkcyi plus przeciętny umiarkowany zysk. Z chwilą bowiem, gdy syndykaty, korzystając z konjunktury, podniosą ceny, wprowadzają one same czynnik, pobudzający do spekulacyi i nadprodukcyi, a gdy potem są zmuszone zniżać ceny z powodu braku popytu, powodują zamęt na rynku, a przynajmniej potęgują ten zamęt. Praktyki zaś takie, jak wywóz nadmiaru produkcyi na rynki zagraniczne, bezwarunkowo przyczyniają się tembardziej do wybuchu kryzysu, gdyż dziś faktycznie istnieje jeden rynek międzynarodowy, i zamęt, wszczęty w jednym jego zakątku, oddziaływa na całą produkcyę. Tymczasem nie ulega już dziś kwestyi, że najpoważniejsze syndykaty dopuszczały się wprost hazardownej gry w wyzyskiwaniu konjunktury, że bez względu na przyszłość podwyższały ceny i rozszerzały produkcyę do możliwych granic. Tak zaś postępując, utraciły one bezwarunkowo możność przeciwdziałania przesileniu. Cóż bowiem mogą uczynić? Jedno tylko—ograniczyć produkcyę, lecz przez to właśnie zaostrzą kryzys! Postaramy się to twierdzenie wyjaśnić na przykładzie konkretnym.

Przypuśćmy, że istnieje w danym kraju syndykat węglowy oraz syndykat fabrykantów przędzy, podczas gdy w przemyśle tkackim panuje wolne współzawodnictwo; przypuszczenie, odpowiadające ogólnemu położeniu, gdyż, jak się okazuje, najbardziej syndykaty opanowały produkcyę materyałów surowych i pomocniczych, najmniej produkcyę artykułów bezpośredniego zbytu. Weźmy teraz pod uwagę losy tkalni, zależnej od syndykatów, przyczem przypuśćmy, że mamy do czynienia z zakładem większych rozmiarów, ufundowanym, jako przedsiębiorstwo akcyjne. Konjunktura ogólna jest pomyślną, tkalnia nasza musi zatem liczyć się ze zwyżką cen węgla i przędzy. Ponieważ wszakże popyt na tkaniny jest również znaczny, ma ona możność podnieść ceny swoich wyrobów oraz zwiększyć obrót, t. j. pomnożyć produkcyę; rok zakończył się dobrze, kurs akcyi wzrasta. Podobnie, jak z tym jednym, działo się z innymi zakładami tej gałęzi — ceny wzrosły, produkcya została rozszerzoną; powstało też wiele zakładów nowych; w całym przemyśle tkackim znać ożywienie. Lokowano tu nowe kapitały, stawiano nowe gmachy fabryczne, zakupywano maszyny, kontraktowano pożyczki, wydawano emisyę nowych akcyi. Następuje zwrot konjunktury, i syndykaty chwytają się jedynego środka, jaki im pozostał; ograniczają produkcyę dla podtrzymania wysokich cen. Tkalnie rzeczywi-

ście będą płaciły takie ceny, gdyż każda z nich musi ubiegać się wszystkiemi siłami o utrzymanie produkcyi w dawnych rozmiarach, inaczej grozi ruina wskutek odsetek, jakie płacić trzeba za ulokowany w przedsiębiorstwie kapitał. Syndykaty więc będą pobierały ceny jeszcze wyższe, niż poprzednio, tkalnie zaś będą pracowały ze stratą, gdyż, zapłaciwszy wysokie ceny za materyał surowy, będą zmuszone sprzedawać tkaniny po cenach zniżonych wskutek zmiany konjunktury, a w dodatku będą musiały uszczuplić produkcyę dla braku przędzy i węgla, uszczuplenie zaś produkcyi jest równoznacznem z powiększeniem kosztów produkcyi. Ta niezgodność pomiędzy kosztami produkcyi, utrzymanymi na wysokim poziomie wskutek właśnie operacyi syndykatów, a ceną sprzedażną w końcu sprowadzi upadłości, straty kapitałów, spadek kursów na giełdzie, przymusowe bezrobocie robotników—słowem, kryzys wybucha z całą gwałtownością. Zapewne, gdyby węgle i przędza nie były sztucznie podtrzymywane w cenie i gdyby produkcyę ich ograniczono, przesilenie nastąpiłoby tak samo, lecz producenci węgla i przędzy musieliby obniżyć ceny wraz ze zniżką cen na tkaniny, gdyż w tym razie nie byłoby dla tkanin przymusu do płacenia wysokich cen wtedy, kiedy te ceny nie odpowiadają już konjunkturze, i dlatego właśnie przebieg cały przybrałby mniej ostry charakter.

Syndykaty więc nie zapobiegną kryzysowi, mogą one spowodować tylko, że dla ich uczestników straty, powstające z przesilenia, będą mniejsze; działają one dla swoich członków podobnie, jak towarzystwa asekuracyjne. O zasługach społecznych syndykatów zatem nie może być mowy, a tem samem haracz, nakładany przez nie na konsumentów, staje się tem większą krzywdą społeczną, i opozycya przeciw syndykatom staje się zrozumiałą.

Inna wszakże rzecz, czy i jak można znieść istniejące trusty. W Stanach Zjednoczonych walka przeciw trustom była dotąd zgoła bezpłodną głównie dla przyczyn następujących: kongres w Waszyngtonie nie ma prawa wtrącać się w prawodawstwo handlowe poszczególnych Stanów; o tyle tylko, o ile prawo jakieś dotyczy spraw wspólnych dla wszystkich lub kilku przynajmniej Stanów, kongres jest kompetentnym. To też, kiedy kongres w roku 1890 uchwalił prawo, ustanawiające kontrolę nad trustami, sądy uznały, że to prawo może znaleźć zastosowanie li tylko względem trustów kolejowych, o ile koleje, objęte trustem, przechodzą przez kilka stanów Unii. Prawodawcy oddzielnych Stanów zaś są bezsilni, gdyż prawo amerykańskie, wzorowane na angielskiem, przyznaje osobie prawnej wszystkie przywileje osoby prywatnej; dopóki więc istnieje

chociażby jeden tylko Stan, który pozwoli na tworzenie trustów w formie stowarzyszeń akcyjnych, każdy trust, tam utworzony, może już bezpiecznie działać w każdym ze Stanów Unii, ponieważ fundamentalnem prawem jest, że każdy obywatel może operować w każdym Stanie, stowarzyszeniu zaś—jak powiedzieliśmy — przysługują prawa obywatelskie. To też dziś trusty zostają utworzone i zaniesione do ksiąg handlowych w Stanach New-York lub Delavare, które trudności nie robią, a potem uprawiają interesa w Pittsburgu lub Chicago bez względu na obowiązujące tu zakazy tworzenia trustów. W obecnej kampanii Bryan, kandydat partyi demokratycznej na urząd prezydenta, oświadczył się za takiem rozwiązaniem kwestyi: 1) każda korporacya może być zmuszoną do poddania się prawodawstwu każdego Stanu, w którym chce operować; 2) jedno stowarzyszenie nie ma prawa władać akcyami innego stowarzyszenia w tej samej gałęzi handlu lub wytwórczości; 3) każde stowarzyszenie, dążące do usunięcia konkurencyi, jest bezprawnem. Trudność tego planu polega na tem, że dla urzeczywistnienia go trzeba zmienić konstytucyę, i niewiadomo, czy znajdzie się potrzebna ku temu większość, nawet w razie zwycięstwa kandydata demokratycznego. Lecz gdyby przyjęto rzeczywiście podobne prawo, to utrudni ono tylko poczęści tworzenie się nowych trustów, tam zaś, gdzie już są zacządki organizacyi, okaże się ono bezsilnem, gdyż każdy z istniejących trustów może uczynić krok dalszy — przeprowadzić zupełne zjednoczenie, tworząc na miejsce kilku złączonych stowarzyszeń jedno tylko towarzystwo akcyjne, dowieść zaś członkom takiego stowarzyszenia, że wykraczają przeciw punktowi trzeciemu, będzie niezmiernie trudnem.

Wogóle sądzimy, że prawno-policyjne środki są tu absolutnie bezskutecznymi. Chcąc zapobiedz koalicyom przedsiębiorców, trzebaby znieść prawne firmy stowarzyszeń handlowych wogóle, a ku temu niema już dziś żadnej możności. Zdaje się istnieć jeden tylko środek, pozwalający usunąć złe strony nowych ustrojów ekonomicznych, jakimi są syndykaty: udział państwa bezpośrednio w naznaczaniu cen i normowaniu produkcyi. Można np. wyobrazić sobie pewnego rodzaju parlament ekonomiczny, w którym głos mieliby przedstawiciele wytwórców, przedsiębiorców i robotników, rozstrzygający o tych kwestyach, o jakich dziś rozstrzygają arbitralnie kierownicy trustów i syndykatów. Lecz są to sprawy dalekie, i wolimy zastosować się do przykazania naukowego: „nie będziesz smażył recept dla garkuchni przyszłości.”

Spekulacya giełdowa od czasu wybuchu wojny transwaalskiej utraciła jeden z ulubionych objektów gry: kopalnie w Witwatersrand przestały funkcyonować, i wskutek tego na „rynku Kafrów”, t. j. na rynku akcyami tych kopalń zapanował spokój. Spekulacya zatem, która próżnować nie lubi, wynalazła sobie naprędce nowy objekt — akcye towarzystw kolonialnych. Główmem siedliskiem tej gry jest giełda w Brukselli, hazardują się tu akcyami rozmaitych towarzystw, operujących w Congo, w koloniach francuskich, angielskich i niemieckich. W jaki sposób odbywa się to wyłudzanie od publiczności pieniędzy, wykazał jeden z najświeższych wypadków, dotyczących akcyi niemieckiego stowarzyszenia południowo-kameruńskiego. Urząd do spraw kolonialnych w Berlinie udzielił temu towarzystwu koncesyi na posiadanie obszarów w kolonii Kamerunu na przestrzeni 77,000 kilometrów kwadratowych, to jest mniej więcej $^{3}/_{5}$ obszarów Królestwa Polskiego; był to poprostu dar, gdyż towarzystwo obowiązuje się tylko wypłacać państwu dziesiątą część dochodów czystych, pozostających po oprocentowaniu kapitału. Kapitał zakładowy wynosił dwa miliony marek, lecz członkowie założyciele wnieśli tylko czwartą część tej sumy; założywszy zaś towarzystwo, pośpieszyli do Brukseli, uzyskali tam pomoc jednego z doświadczonych spekulantów w sprawach egzotycznych i puścili w obieg swoje akcye, przyczem sprzedano je z agio, wynoszącem sto procent; 5,000 akcyi po 500 franków nominalnej wartości sprzedano za 5,000,000; prócz tego wydano jeszcze 15,000 bonów po 900 franków, co czyni 15,500,000, czyli zebrano razem 18,500,000 franków, odliczywszy 500,000, które wnieśli założyciele, pozostaje „zarobku” 18,000,000. Tymczasem cała przestrzeń, darowana towarzystwu, jest do dziś dnia, co się zowie, *terra incognita*, na której nie postała jeszcze noga Europejczyka, o eksploatacyi ewentualnie zawartych tam bogactw, o zakładaniu plantacyi nie może być mowy w bliskiej przyszłości; to też operacye towarzystwa mają tymczasowo polegać na handlu z tuziemcami, koczującymi po tych obszarach. Jak z tego handlu może być wydobyty zysk, zapewniający oprocentowanie 18 milionów franków, to sekret owych afrykańskich krzewicieli kultury.

Lecz oto rozwiązanie tej zagadki: w sejmie belgijskim poseł Vandervelde przytaczał słowa jednego z oficerów, który pojechał do Congo, jako agent handlowy: „Mam tu—mówił ten jegomość—25,000 naboi karabinowych, przedstawiają one wartość 25,000 kil. kauczuku!”

A oto komentarz do tych słów: trzeciego kwietnia roku bieżącego gazeta brukselska *Petit-bleu*, zajmująca przychylne względem

zarządu niezależnego państwa *Congo* stanowisko, doniosła, że „plemię murzyńskie *budjha* zbuntowało się z powodu okrucieństw, jakich dopuszczają się względem niego agenci handlowi". Pismo podało, powołując się na przesłany mu duplikat protokułu oficera, który prowadził śledztwo, następujące szczegóły o tych okrucieństwach: Murzynom nakazuje się zbierać kauczuk i dostawić go do stacyi agentury; kiedy przybywają Murzyni, otaczają ich żołnierze i odbywa się kontrola; jeżeli w koszu niema 5 kilogramów kauczuku, Murzyn zostaje wychłostany, jeżeli waga jest w porządku, otrzymuje kawałek perkalu, paciorki szklane, nóż lub podobny towar, jako zapłatę. Jeżeli policzono, że we wsi jest 100 ludzi, a tylko 50 dostarczyło kauczuk, czeka przybyłych chłosta, wieś zaś zostaje zburzoną, i zaczyna się pościg za tymi, co nie spełnili nakazu. Przy tych wyprawach uzbraja się Murzynów w oszczepy i pozwala im się pożerać zabitych zbiegów. Dalej przytacza się, że agent, niejaki Vaneycken, kazał spalić wszystkie wsie pewnego okręgu i wyrżnąć całą ludność. Kazał on wbijać na pal kobiety i dzieci. Wysyłając swoich zbrojnych podwładnych dla ukarania wsi za niedostawienie kauczuku, rozkazywał ucinać głowy i ręce pomordowanym i przynosić je sobie dla kontroli.

Administracya niezależnego państwa Congo potwierdziła, że Murzyni buntują się, że „jest to plemię, odznaczające się dzikością, plemię ludożerców"; o praktykach przy handlu kauczukiem nie powiedziano nic, dodano wszelako, że „śledztwo w toku". W kilka dni później, ósmego kwietnia pismo *Nieuwe Gazet* w Antwerpii powtórzyło owe fakty i wydrukowało list, skierowany przez niejakiego pana Lacroix do prokuratoryi, w którym wszystkie szczegóły podane przez *Petit-Bleu*, znajdują potwierdzenie.

Lacroix twierdzi mianowicie, że kiedy w listopadzie roku ubiegłego znajdował się na posterunku, jako komendant siły zbrojnej w Monba w państwie Congo, otrzymał rozkaz zburzyć pewną wieś murzyńską i powystrzelać wszystkich mieszkańców. Rozkaz spełniono: pomiędzy zabitymi było 22 kobiet i dwoje dzieci. Rzeź tę nakazano dlatego, że wieś nie dostarczyła łodzi na transport kauczuku. Oskarża on dalej jednego z agentów towarzystwa *Société Anversois du Commerse au Congo*, że kazał pewnego razu zakuć w kajdany 60 kobiet i pozostawić je w zburzonej wsi, gdzie pomarły z głodu; była to kara za niedostarczenie kauczuku! W kilka dni później toż samo pismo podało rozmowę „z jednym z najlepszych znawców spraw afrykańskich", który oświadczył, że najzupełniej jest przekonany o prawdziwości podanych przez pana Lacroix fak-

tów, które mu potwierdzono z innych ust. „Fakty takie — dodał — nie są nowością; opowiadano mi o większych jeszcze bezeceństwach, które pozostały bezkarne”.

Przy tej sposobności pisma podały szczegóły o handlu kauczukiem: dobywanie tego produktu nie jest łatwem; trzeba w gąszczach leśnych wyszukiwać drzewa kauczukowe, nacinać je i zbierać sok wyciekający; ażeby zebrać kilogram kauczuku, musi Murzyn pracować ciężko przez kilka dni, otrzymuje zaś w zamian za kosz kauczuku towary, wartujące kilka centymów; ponieważ zaś kilogram kauczuku dla agentów handlowych przedstawia wartość kilku franków, zyski są sowite, a jeżeli Murzyni nie zechcą spełniać pracy, to nie żal stracić kilka naboi karabinowych dla zachęty. Bezeceństwo, powiada czytelnik? Może, lecz za to akcye *Société du Commerce au Congo* są opłacane po 500% nad pari!

Jaką bestyą staje się człowiek biały pod gorącem niebem Afryki, o tem opowiada w *Revue des Revues* deputowany francuski *Vigné d'Octon*, który spędził w Afryce kilka lat, jako lekarz wojskowy. Jako regułę, powiada on, należy uważać, że spokojny wieśniak bretoński, który w wiosce ojczystej uważałby za łajdactwo pastwić się nad psem lub bydlęciem, pod piekącem słońcem równika, śród trudów na marszach zabójczych, staje się zwierzęciem krwiożerczem i myśli tylko o tem, jakby dać ujście swej furyi, mszcząc się na „kanalii murzyńskiej” za „psi żywot w tym kraju piekielnym”. Powołując się na świadectwo jednego z byłych komisarzów kolonialnych, którego nazwisko przytacza, opowiada on fakt następujący: „Pewnego razu europejczycy udali się na łowy nocne; jako przynętę użyto tym razem nie jagnięcia lub kozy beczącej, lecz dziesięcioletniej Murzynki, którą uwiązano na mrowisku. Dziecko wrzeszczało przez całą noc, dopóki nie skonało od ukąszeń zjadliwych wielkich mrówek afrykańskich”. O tak, my spełniamy misyę cywilizacyjną w Afryce!

Znieśliśmy niewolnictwo, powiadają. Złudzenie! Niedawno jeden z podróżnych stwierdził, że na całem wybrzeżu gwinejskiem odbywa się handel niewolnikami niemal pod okiem władz angielskich, niemieckich i francuskich. Misyonarz zaś niemiecki, Bohner, ponowił w tym roku twierdzenie, że w kolonii niemieckiej Kamerun „handel niewolników kwitnie w najlepsze, odbywają się łowy na niewolników z całem okrucieństwem... Wzdłuż rzek Mungo, Wuri i Sanaga (a więc, gdzie znajdują się posterunki siły zbrojnej pod komendą oficerów niemieckich!) przewożą niewolników, i ci niewolnicy stanowią przedmiot zamiany w kolonii!. W innych znów miejscach

powstał handel ludźmi na innych, nowożytnych, kapitalistycznych podstawach. W świeżo wydanej książce „*La colonisation française en Annam et au Tonkin*”, podróżny *Joleand-Barral* opisuje, w jaki sposób agenci handlowi wywożą ludzi z Annamu do Nowej Kaledonii, gdzie brak robotników: „Jest to, powiada on, prawie niczem już nie maskowany handel niewolnikami”.

Istnieją uroczyście zawarte traktaty państw europejskich, w których obowiązują się one uroczyście ścigać wszelkimi środkami handel niewolnikami w Afryce. Dlaczego tego nie wypełniają? Oto dlaczego: handlarzami niewolników są prawie w całej Afryce potomkowie przybyszów arabskich, Sudańczycy; w ich też rękach koncentruje się cały handel wybrzeży z wnętrzem lądu; te same karawany, co prowadzą niewolników, transportują towary, i niewolnicy właśnie są tragarzami przy tym transporcie. Wypowiedzieć zatem wojnę handlowi niewolnikami, to znaczy zabić handel, a tego nie uczynią zarządy kolonialne, dbające przedewszystkiem o rozwój faktoryi handlowych.

Pominąwszy wszelako bezpośredni handel ludźmi, można stwierdzić łatwo, że, o ile w Afryce istnieją plantacye, są one uprawiane przeważnie pracą przymusową tuziemców. Tak samo, jak agenci handlowi w Congo zmuszają Murzynów do zbierania kauczuku, tak samo w innych miejscach zmuszają ich do pracy na plantacyach za dowolnie wyznaczone wynagrodzenie.

Europejczycy dla swoich plantacyi zaprowadzają w Afryce nowe formy niewolnictwa.

W sprawozdaniach np. urzędowych, składanych parlamentowi niemieckiemu, mówi się o umowach, „zawartych z naczelnikami plemion, którzy zobowiązali się dostarczyć ludzi do pracy na plantacyach”. Tymczasem każdy etnograf wie doskonale, że śród plemion tubylczych afrykańskich nie może być mowy o stosunku zwierzchnictwa, na zasadzie którego „naczelnik” mógłby zmuszać członków plemienia do pracy. „Naczelnik” bowiem taki jest li tylko przywódcą na łowach i wyprawach wojennych, niczem więcej; tam tylko, gdzie przybysze obcoplemienni, Arabowie sudańscy, ujarzmili ludność tubylczą, mógł wytworzyć się taki stosunek niewolniczy. Europejczycy zatem albo wchodzą w stosunek z rabusiami, co przywłaszczywszy sobie władzę, uczynili niewolnikami ludzi wolnych, albo podżegają owych naczelników do uzurpacyi władzy nad współplemieńcami. Jedno i drugie w celu zmuszenia ludności do nienawistnej jej pracy przymusowej, gwoli — dywidendy, wypłacanej na giełdach europejskich od akcyi towarzystw plantatorskich.

Nie należy się tedy dziwić owym nieprzerwanym bojom, jakie toczą się na obszarze całego lądu afrykańskiego; nie należy się dziwić temu, że, biorąc do ręki jakiekolwiek pismo, poświęcone sprawom kolonialnym, czy to angielskim, francuskim, belgijskim, czy niemieckim, w każdym numerze znajdujemy wieści o buntach, rzeziach, okrucieństwach i „ekspedycyach karnych". W danej chwili wieści afrykańskie brzmią: w posiadłości angielskiej na wybrzeżu gwinejskiem wybuchło powstanie Aszantów; w Kamerunie plantacye opustoszały, gdyż Kafrowie z plemienia Buli odmówili pracy i napadają na wszystkich Negrów, którzy chcą pracować. O Aszantach *Manchester Guardian* donosi, że przyczyną powstania jest zaprowadzenie nowej formy niewolnictwa, t. j. przymusowa, aczkolwiek płatna praca: zmuszają tuziemców do pracy przy budowie kolei żelaznej i dróg. O Bulach podróżny Wolf pisze w *Berliner Tageblatt*, że buntują się, ponieważ plantatorzy głodem ich morzą, a *Vorwärts* doniósł, że chodzi tu o przymusową pracę. A rządy? Rząd angielski oświadczył, że niema powodów do obaw, gdyż starczy siły zbrojnej na stłumienie rokoszu; rząd niemiecki zażądał od parlamentu nowych środków na powiększenie siły zbrojnej! Tak zawsze: tubylcy, doprowadzeni do ostateczności, podnoszą rokosz, dopuszczają się gwałtów, reprezentanci cywilizacyi tłumią rokosz, „wymierzają sprawiedliwość".

A oto, jak wygląda wymiar owej egzotycznej sprawiedliwości. Holenderski publicysta *van Kol* pisze: w Sandakonie (na wyspie Borneo) brat naczelnika policyi wziął nałożnicę z plemienia Dajaków. Ponieważ wszakże więcej lubił gorzałkę, niż dziewczynę, i katował ją po pijanemu, dziewczyna uciekła; władca jej poszedł szukać po lasach i nie wrócił. Wtedy naczelnik policyi wziął oddział zbrojnych Dajaków i poszedł szukać śladów brata; znalazł trupa jego we wsi Liwataboeng i, wściekły złością, nakazał Dajakom—„*pohang kopala*"—ucinać głowy! Rozkaz spełniono, porznięto mężów, starców i dzieci. Dziesięcioro tylko pozostawiono przy życiu, aby opowiadali, jak mszczą się ludzie biali... A oto, co czytamy w jednym z najnowszych numerów urzędowego niemieckiego organu kolonialnego. W Nowej-Gwinei niemieckiej tubylcy dopuścili się kradzieży względem misyonarzy; gubernator, doktór Schnee, postanowił ich ukarać i pisze o swojej wyprawie: „Kazałem spalić chaty, których mieszkańcy brali udział w kradzieży". Oto sprawiedliwość, gdzie oskarżyciel jest sędzią zarazem i katem! przytem sędzią, który ani słowa nie rozumie z języka oskarżonych.

Przed pięćdziesięciu laty *Multatuli* (pseudonim *Douwes-Dek-*

ker) w powieści „Max Havellar", piętnującej gospodarkę Holendrów na Sumatrze, napisał: „Buchnęła łuna; to płonęła wieś, *ponieważ* wkroczyli do niej żołnierze holenderscy". Wówczas w całej prasie holenderskiej i w parlamencie debatowano gorąco nad tem, czy autor miał prawo użyć tego „ponieważ", piętnującego Europejczyków. Był to okres, kiedy Europa w zapędzie szlachetnego uniesienia wzięła gorąco do serca sprawę niewolników i ludów tubylczych w koloniach. Dziś w urzędowych sprawozdaniach na każdej karcie regestruje się fakty zupełnie podobne do tych, jakie poeta rzucał Europie, jako akt oskarżenia i—Europa milczy; dziś prowadzimy politykę realną. Jednakże—miewamy jeszcze i dziś zapędy humanitarne: w kwietniu odbył się w Londynie zjazd międzynarodowy celem obmyślenia środków, zapobiegających w Afryce zagładzie — zwierzyny.

Oportuniści znaleźli wszakże argument dla uspokojenia sumienia publicznego wobec bezeceństw, dokonywanych w koloniach. Zapewne—powiadają oni — krzywda dzieje się dziś ludom egzotycznych, śród których zakładamy kolonie, jednakże z czasem błogosławieństwa naszej kultury i tam plon wydadzą obfity. Sofizmat! Na ostatnim międzynarodowym kongresie geografów w Berlinie profesor Luschau mówił o kulturze szczepu Murzynów, zamieszkujących kraj Benin w Afryce zachodniej. Badacz ten stwierdził, że w wieku XVI i XVII Benin miał rozległe stosunki handlowe, że posiada odwieczną kulturę, o czem świadczą wyroby rękodzieł, odnalezione w grobowcach; dziś Anglicy wywożą do Benin gorzałkę i karabiny, ludność zdziczała, kraj jest pustkowiem. „Zamiast asymilować kulturę nam obcą — kończył swoje przemówienie Luschau — umiemy tylko łamać i burzyć". Zresztą odpowiedzią jaskrawą na ów sofizmat jest położenie obecne w Indyach.

Gdy mowa o tym kraju, przeciętnemu czytelnikowi roją się cuda i dziwy nieprzebrane, kraina mlekiem i miodem płynąca, raj ziemski! W tym raju obecnie 61 milionów ludzi cierpi głód! Odpowiadają na to: nieurodzaj i głód są oddawna udziałem tego kraju; zależą od warunków klimatycznych. A dalej powiadają: od czasu utrwalenia potęgi angielskiej w Indyach ustały mordercze napady plemion rozbójniczych na spokojną ludność; bezpieczeństwo życia jest większe, niż kiedykolwiek, wymiar sprawiedliwości jest ustalony, handel wzmaga się. To wszystko słuszne, i jeżeli chodzi o ocenę działalności kolonizatorskiej, to przyznać należy, że Anglicy wykazali pod tym względem głęboką mądrość stanu, że żadne inne mocarstwo nie dokazałoby tego, co dokonała Anglia

w Indyach. Tylko, że — „nasz system posiada wiele stron ujemnych — powiada publicysta angielski Hyndman—które niweczą wszystkie strony dodatnie. Faktem pozostaje, że ani historya zbrodni Rzymu w czasie jego władzy imperyalnej, ani historya okrutnego panowania Hiszpanii nad Meksykiem i Brazylią nie są tak straszne, jak historya ekonomicznej, społecznej i politycznej ruiny, o jaką przyprawiliśmy, my, Anglicy, Indye wschodnie". Nieurodzaje Indyi są spowodowane prawie zawsze suszą anormalną, brakiem deszczu w okresie deszczowym; przeciwdziałać temu można jedynie przez zakładanie rezerwoarów wodnych i kanałów, oraz tem, że się nagromadza żywność w latach obfitych według starej recepty Józefa w Egipcie. Hyndman tedy powiada: „Jako Anglik, nie przestanę ponawiać oskarżenia przeciw rządowi angielskiemu, twierdząc, że klęski głodowe w Indyach, które stały się regułą, nie są skutkiem braku deszczu, ani nadmiernego wzrostu ludności, ani braku gospodarczości Indusów, lecz są spowodowane naszym systemem administracyjnym. Ludność indyjska jest opodatkowaną nadmiernie, odebrano jej temsamem wszelką możność czynienia zapasów na lata nieurodzajne; systematycznie przyprawiamy ich o ubóstwo, i dlatego, kiedy ziemia nie urodzi, nie mają oni możności walczyć z klęską". Dawniej, wyjaśnia nam Hyndman, za czasów panowania dynastyi tuziemnych, pomimo wszystkich krzywd, jakie przyczyniano ludowi, lud ten był zasobniejszym, i rząd zawsze dbał o zapełnienie śpichlerzy na wypadek nieurodzaju. Ten system zniósł rząd angielski, utrzymując, że, skoro zostały pobudowane koleje żelazne, zawsze będzie można dostarczać żywności w krainy, zagrożone głodem. Stało się inaczej: koleje te wywożą cały plon w latach żyznych, z czego zyski czerpią wielkie przedsiębiorstwa handlowe, w czasie zaś głodu ludność pozostaje bez wszelkich zapasów i bez możności kupienia ich, chociażby dostawiono je kolejami. Po głodzie w roku 1878 pomyślano o utworzeniu funduszu, jako rezerwy, na czasy nieurodzaju, i w tym celu pobierano co rocznie specyalnego podatku 1,500,000 funtów sterlingów; lecz wkrótce fundusz został zużyty na — wojny kresowe. „W taki sposób — powiada Hyndman — powodujemy dziś głód w Indyach naszym systemem ekonomicznym i zaostrzamy go naszą administracyą".

Na dowód, jak ludność jest przeciążona podatkami, autor nasz cytuje przykład budżetu rodziny indyjskiej z wywiadów oficyalnych, sporządzonych w r. 1888; przykład tak wymowny, że warto przytoczyć go dosłownie: „Abe Ram, lat 40, rodzina—5 główʼ; uprawia około 9 akrów ziemi. Kiedy jest zboże, rodzina zjada 5 „seerów" dziennie

(seer—931 gramów), w innym czasie, np. teraz, kiedy zboże podrożało, 3 „seery” lub mniej. Jadali proso indyjskie, zanim dojrzało. Nie mieli kołdry”. Obrachunek zaś dochodów i wydatków przedstawia się tak: *dochód* —ze sprzedaży ziemiopłodów $70^{13}/_{48}$ rupii, ze sprzedaży mleka 18 r., zarobki z pracy najemnej 15 r.; *wydatki* — podatek od roli $68^{15}/_{16}$ rupii, nasiona $9^{1}/_{2}$ r., żywność 44 r., odzież $7^{1}/_{2}$ r.; zatem deficyt—$26^{2}/_{3}$ rupii. Urzędnik, spisujący ten budżet, dodaje: „Rodzina ta nie zdaje się cierpieć niedostatku.” Nie mieli kołdry, jadali proso niedojrzałe, lecz nie cierpieli niedostatku! Dochód wynosił $103^{13}/_{48}$ rupii, a rząd pobrał $68^{15}/_{16}$ rupii podatku. Sądzimy, że każdy komentarz osłabiłby tylko wrażenie.

Obecnie poczęliśmy narzucać swoją kulturę prastaremu państwu Chin. Najświeższe stamtąd wieści donoszą o napadach Chińczyków na inżynierów i robotników, budujących drogi żelazne; wieści te komentują kuryerki, objaśniając, że „są to objawy nienawiści przeciw postępom kultury”. Światły czytelnik przyjmuje to do wiadomości i powiada: „barbarzyńcy!” Gdyby wszakże ów „światły czytelnik” zechciał przy tej okazyi sięgnąć do encyklopedyi, owego źródła mieszczańskiej mądrości, dowiedziałby się stamtąd dwu rzeczy, mających związek z budową kolei w Chinach: 1) Każdy zakątek ziemi w Chinach jest uprawiony mrówczą pracą ludności; 2) Chińczyk przestrzega niesłychanie sumiennie kultu zmarłych; grzebią zaś tych zmarłych nie na wspólnych cmentarzyskach, jak u nas, lecz każda rodzina ma swoje miejsce pogrzebowe, czczone głęboko, pielęgnowane pieszczotliwie; cały kraj jest usiany takiemi miejscami uświęconemi. Otóż dla wytknięcia linii kolejowej trzeba wydziedziczyć tysiące posiadaczy takich drobnych parcel, a powtóre, niepodobieństwo prowadzić toru ciągłym zygzakiem, wymijając wszystkie owe miejsca pogrzebowe. „Światły” czytelnik powinien stąd zrozumieć, że owi „barbarzyńcy” w nienawiści swej przeciw kolejom przedewszystkiem kierują się głębokiem, szlachetnem uczuciem czci dla zmarłych przodków i rzną „białych dyabłów” za to przedewszystkiem, że ci odważają się poruszać święte kości ojców. Gdyby zaś ów „światły” czytelnik, zanim wyda sąd, zechciał jeszcze — czego wymagać wprawdzie trudno--zajrzeć do jakiego dzieła poważnego o Chinach, to znalazłby tam wiadomości o formach władania ziemi w tem państwie, które więcej jeszcze dałyby mu do myślenia. A mianowicie: w Chinach niema prawa własności ziemi; ziemia nominalnie jest własnością cesarza; o posiadaniu jej przez jednostkę stanowi gmina; oddaje ona jedne grunta w posiadanie na prawach podobnych do naszych czynszów wieczystych, inne rozdaje tylko na krót-

kie terminy. Ponieważ uprawa roli wymaga tam całego, niezmiernie kunsztownie przeprowadzonego systemu irygacyi, prawa posiadania są bajecznie skomplikowane. Inne prawa obowiązują posiadaczy parceli przy kanałach głównych, inne przy drogach; cały szereg zobowiązań podobnych do naszych serwitutów ciąży na posiadaczu; każdy posiadacz ma ziemię, w różnych działach położoną. Teraz wyobraźmy sobie, co powstaje przy założeniu nasypu kolejowego na tej misternej siatce, jaką przedstawia własność pewnej gminy! Ten wał, brutalnie rzucony śród sieci kanałów i kanalików, czyni połowę ziemi bezwartościową, burzy wszelkie pojęcia o prawach uświęconych, musi wywołać całą rewolucyę społeczną. Oto, co powoduje rozpaczliwe wybuchy Chińczyków, skierowane przeciw szerzycielom kultury.

A podobnie, jak z koleją, rzecz ma się z wielu innymi przedmiotami naszej kultury: burzą, rewolucyonizują porządek odwieczny. Ponieważ zaś tak jest, a żaden układ społeczny nie może znieść podobnych zaburzeń bez rozkiełznania dzikiej namiętności tłumów, wiele krwi, ocean krwi popłynie, zanim narzucimy naszą kulturę synom państwa niebieskiego. A czy będzie im z tem lepiej? czy będzie nam z tem lepiej?... Lecz po co pytać: *Compagnie de chemins de fer Tshang-Ling-Yssan-ts-Kiau, à septembre 248 ${}^{1}/_{2}$! qui prends?!* Ten okrzyk giełdy brukselskiej rozstrzyga wszystko. Krew krwią, na papierkach jej nie znać, giełdziarzy wszak nie rzną.

„40,000 robotników i robotnic z Galicyi i Królestwa Polskiego do robót rolnych, cegielni i fabryk w każdym czasie dostarcza (w partyach po najmniej 20 ludzi z jednym dozorcą) za opłatą miesięczną zł i na akord, pod gwarancyą, że nie zbiegną, biuro stręczeń Adolfa Lück w Landsbergu na Górnym Szląsku.” Tak brzmi dosłownie ogłoszenie, umieszczane od kilku miesięcy w pismach rolniczych w Niemczech. Czyż można znaleźć wymowniejszy dokument w piekącej sprawie wędrówek ludności rolniczej? W roku bieżącym liczba „obieżysasów”, o ile wnosić można z dorywczych doniesień, wzrosła znów znacznie. Z Księstwa Poznańskiego donoszą, że do 100,000 robotników puściło się na „Saksy”, jak brzmi ten termin w gwarze ludowej; ilu powędrowało z Królestwa i Galicyi, niewiadomo, lecz musi być ich jeszcze znacznie więcej. Docierają oni coraz dalej na zachód, o czem świadczy np. reskrypt rządu badeńskiego, wydany w sprawie mieszkań i meldunków robotników rolnych, przybywających z Królestwa i Galicyi i donoszą też o zakontraktowaniu

znacznej liczby robotników polskich do cegielni i torfiarni w Bawaryi i w Alzacyi.

Zadaniem naszej kroniki nie może być rozstrząsanie zasadnicze tej sprawy; pragniemy tylko zaregestrować kilka nowych danych, mogących posłużyć do jej wyświetlenia. W piśmie „Zeitschrift für Medizinalbeamte" lekarz powiatowy w Querfurt, doktór Schilling, pisze o swoich obserwacyach nad obieżysasami. Oto niektóre wyniki:

„Odżywianie obieżysasów jest bardzo liche i nie może wystarczyć przy ciężkiej pracy, jaką pełnią. Rano dostają gorącą kawę, lecz i to nie wszędzie, przytem bez chleba, gdyż ten sami kupują; na obiad jadają często suchy chleb, gdyż nie wszędzie wynoszą strawę na pole, wieczerza również bywa zimna, lub — jeżeli na obiad nie było ciepłej strawy — kartofle ze śledziem, groch lub ryż. Mięso zwykle jadają tylko w niedzielę"...

„Widywałem często chłopaków i dziewczęta, które co do wzrostu i sił wyrównywają zaledwie naszym dzieciom szkolnym dwunastoletnim. Nie są oni w stanie wydołać ciężkiej pracy i marnują się fizycznie i moralnie.

Wielka ilość słabych i zbyt młodych robotników staje się przyczyną licznych nieszczęśliwych wypadków: „Niejednego nieszczęścia przy maszynach i wskutek nieostrożnego obchodzenia się z końmi i bydłem możnaby uniknąć, gdyby nie zatrudniano zbyt młodych, niedoświadczonych, prędko wyczerpujących siły parobków i dziewcząt".

Opieka nad chorymi jest niedostateczną, zasłabnięcia zaś są częste, szczególniej panują choroby kiszek żołądka. „Tylko bardzo niewielu robotników nie chorowało w ciągu pobytu, większość zasłabła kilkakrotnie".

W „Przeglądzie Wszechpolskim" doktór Tadeusz Kudelka podał kilka cyfr o płacach, zaczerpniętych ze sprawozdań izb rolniczych. Według tego w Saksonii płacono robotnikom z Prus:

		z ciepłym wiktem	z ordynaryą
dniówka w zwykłym czasie:	mężczyźni	1,40 — 1,70 marek.	1,50 — 1,75 marek
	kobiety i chłopcy	0,90 — 1,10 „	1,00 — 1.70 „
	wyrostki	1.10 — 1,40 „	1,25 — 1,50 „
dniówka w czasie żniw:	mężczyźni	1,75 — 2,00 „	2,00 — 2,25 „
	kobiety i chłopcy	1,00 — 1,50 „	1,50
	wyrostki	1,25 — 1,50 „	1,50 — 1,75 „

Ordynarya składa się z 25 funtów kartofli i litra mleka zbieranego. Robotnicy z Królestwa i Galicyi pobierają zwykle o 10 fenigów mniej. Większą część robót wszakże płaci się na wydział (system akordowy) według normy następującej od morgi pruskiej:

skoszenie oziminy lub rzepaku	3,00 — 4,00 marek
związanie i sprzęt oziminy i rzepaku	3,00 — 4,00 "
skoszenie jarego zboża	1,50 — 2,00 "
związanie i sprzęt jarego zboża	1,00 — 1,50 "
skoszenie koniczyny lub trawy	1,50 — 2,00 "
skręcenie kopy powróseł ze słomy	0,05 — 0,07 "

Przy okopywaniu buraków:

pierwsze motykowanie	2,00 — 3,00 "
przekopywanie	1,00 — 1,50 "
przerywanie (ręczne)	2.00 — 3,00 "
drugie i trzecie okopywanie	2,50 — 3,00 "
okopywanie zboża	2,00 — 3,00 "
okopywanie ziemiaków	2,00

Przy kopaniu buraków:

dobycie buraków, obcięcie liści, złożenie w 2 kopce (na morgę) i przykrycie ziemią na stopę grubości	10,00 — 12,00 "
jeżeli się nie kopcuje, tylko znosi na kupki buraki oraz liście	8,00 — 10,00 "
(jeżeli przytem poruszono buraki poprzednio maszyną, płaca obniża się o 2 marki)	
Obsypanie kopców ziemią	0,50 — 1,00 "

Jako normę umowy z robotnikami polskimi, wchodzącą coraz więcej w życie, podaje Kudelka kontrakt, opracowany przez biuro stręczeń pracy przy izbie rolniczej w Halli: czas roboczy trwa od wiosny do jesieni od 5 rano do 7 wieczór z przerwą półgodzinną na śniadanie i podwieczorek i godzinną na obiad; za nadliczbowe godziny dopłaca się 10 fenigów mężczyznom, 8 kobietom; świętowanie świąt katolickich jest zastrzeżone. Płaca miesięczna wynosi:

dla mężczyzn	18 — 22 marek
" wyrostków	15 — 18 "
" chłopaków	13 — 16 "
" kobiet i dziewcząt	15 — 18 "

W czasie żniw zapłaty się nie podwyższa. Roboty wydziałowe płaci się podług osobnej umowy. Żywności wyznacza się tygodniowo dla mężczyzn 10 funtów (5 kilogramów) chleba, dla kobiet i chłopców 8 funtów; dalej bez różnicy płci na głowę po jednym funcie — bobu, fasoli, grochu, ryżu, tłuszczu, wieprzowego mięsa, 25 funtów kartofli, 3½ litra maślanki, 3½ litra mleka zbieranego, ¼ funta mąki, soli według potrzeby. Ognisko kuchenne wydziela się wspólne; kuchnią zajmować się ma jedna z robotnic lub żona dozorcy, która zarazem utrzymuje w porządku mieszkania; izby wyznacza się oddzielne dla każdej płci; każda osoba otrzymuje siennik i wełnianą derę.

Wśród ziemian pruskich i szląskich skargi na brak robotnika coraz głośniej się rozlegają, gdyż robotnicy, przybywający z Królestwa i Galicyi, nie napływają jeszcze w liczbie dostatecznej, ażeby zastąpić tych, co powędrowali do Saksonii. Przytem owi wzgardzeni robotnicy polscy nauczyli się już stawiać żądania: za mniejszą płacę, niż ta, jaką otrzymują w Saksonii, pracować nie chcą, wymagają też mieszkań porządnych. W prasie agrarczyków tedy uporczywie powtarza się twierdzenie, że takich płac nie mogą płacić właściciele majątków, że „niebywały wzrost płacy roboczej" przyprawia ich o ruinę. Powołują się na obliczenia profesora Wernera, z których wynika, że w 5 wschodnich prowincyach Prus płaca przeciętna robotnika rolnego wynosiła: w roku 1849 — 67 fenigów, w roku 1873 — 137 fenigów, w roku 1892 — 170 fenigów. W odpowiedzi na to jedno z pism berlińskich obliczyło przyrost dochodów z roli, biorąc za normę dzierżawy, płacone w pruskich dominiach, które wynosiły w roku 1849 — 13,96 marek za hektar, w roku 1874 — 32,34 m., w roku 1892 — 41,55 m. Procentowe obliczenie daje zatem rezultat taki:

	1849	1872 (względnie 1874)	1882
płace robocze rolne	100%	204%	254%
dochody rolnicze	101%	232%	296%

Lecz argumentami takimi daremnie się walczy, i śród agrarczyków nie ustaje wołanie o interwencyę państwa w sprawie braku robotnika. Żądają ni mniej ni więcej, jak zniesienia prawa wolnego pobytu (Freizügigheit), a więc przywrócenia robotników rolnych do dawnego stanu *glebae adscripti*. Oczywi-

ście nic z tego nie będzie, i trzeba za zasługę poczytać Kołu polskiemu, że podczas rozpraw parlamentarnych w sejmie pruskim wręcz oświadczyło się przeciw wszelkim tego rodzaju tendencyom.

Tymczasem technika czyni swoje: na wystawie rolniczej we Frankfurcie nad Menem roku 1899 wystawiono maszynę do kopania buraków (system Behrens), zaopatrzoną w przyrząd do obcinania naci. Maszyna ta, wymagająca siły trzech koni, obcina nać, odrzuca ją na bok, dobywa burak z gruntu, oczyszcza go zgruba w bębnie odpowiednim i odrzuca na bok; jest w stanie obrobić hektar dziennie. To także przyczynek do kwestyi robotniczej na wsi.

J. B. M.



RUCH ARTYSTYCZNY.

Pięćdziesięciolecie działalności muzycznej Adama Münchheimera. — Nieco o Meyerbeer'ze. — „Mazepa" — tragedya muzyczna w pięciu aktach. — Libretto p. Maksymiliana Radziszewskiego. — Charakterystyka muzyki.

W dniu 1 maja r. b., jako w pięćdziesiątą rocznicę działalności artystycznej Adama Münchheimera, Teatr Wielki wystawił ostatnie jego dzieło, napisane przez piętnastu jeszcze laty: „Mazepę", operę w pięciu aktach. Dzieło to nie dzisiejsze, bo i Adam Münchheimer nie jest kompozytorem dzisiejszym. Urodzony w r. 1830, dn. 23 grudnia, w zaraniu już życia okazywał zdolności muzyczne. Jako siedmioletnie dziecko, popisywał się grą skrzypcową, a równocześnie też uprawiał fortepian. Po ukończeniu szkół średnich uczył się zasad harmonii i kompozycii u Augusta Freyera w Warszawie, następnie zaś uzupełnił swoją wiedzę muzyczną w Berlinie pod kierunkiem Marx'a. Mając lat dwadzieścia, zasiadł przy pierwszym pulpicie skrzypcowym w orkiestrze teatralnej i odtąd służył teatrowi warszawskiemu bez przerwy pół wieku, już jako skrzypek-solista (r. 1850), już jako dyrektor orkiestry baletowej (r. 1864), już też jako dyrektor opery (r. 1872), którym pozostawał do r. 1891, już też jako kompozytor. W dwudziestym trzecim roku życia zaczął pisać pierwszą swoją operę, p. t.: „Otton Łucznik" do słów Jana Chęcińskiego, którą też ukończył niebawem. Opera ta, wystawiona w r. 1864, za staraniem Juliana Dobrskiego, cieszyła się narazie

dużem powodzeniem, zwłaszcza że Dobrski, jako tenor znakomity, umiał swojej partyi nadać znaczenie odpowiednie. Z chwilą jednak, gdy Dobrski zszedł ze sceny, co nastąpiło wkrótce po wystawieniu „Ottona Łucznika”, i Otton Łucznik” przeszedł do historyi. Druga opera Münchheimera: „Stradyota”, napisana do słów Jasińskiego, a wystawiona za staraniem Cezara Trombiniego w r. 1876, równie krótko trzymała się na scenie. Przyczynił się do tego brak tenora bohaterskiego w składzie naszego teatru, a Münchheimer, wzorem kompozytorów dawniejszych, pisze opery dla śpiewaków. I w „Mazepie” też partye głosowe wyindywidualizowane są nad miarę, wskutek czego powodzenie opery zależne jest od większego lub mniejszego uzdolnienia wykonawców, a zwłaszcza tenorzysty, występującego w roli Mazepy, i sopranistki, odtwarzającej cudowną postać Amelii, co przedstawia wielkie niebezpieczeństwo dla opery samej. Lecz „Mazepa” nie jest ostatniem dziełem Münchheimera. Posiada on jeszcze w tece operę dwuaktową, p. t. „Mściciel” (*Vendicatore*) z tekstem włoskim p. Władysława Millera, przetłómaczonym na język polski przez p. Maksymiliana Radziszewskiego. Poza tem Münchheimer jest autorem wielu kompozycyi większych lub mniejszych — na orkiestrę, chóry, instrumenty solowe i głosy ludzkie — z których jednak trwałem powodzeniem cieszy się tylko chór p. t. „Flisacy”.

Wszystkie kompozycye Münchheimera, a przedewszystkiem opery, posiadają znamię tej epoki przejściowej, w której panował wszechwładnie *eklektyzm muzyczny*, a której przedstawicielem najcharaktystyczniejszym jest Meyerbeer ze swoimi trzema stylami: włoskim, niemieckim i francuskim, ze swojem umiłowaniem przedmiotów wielkich: historii i religii w operze — i ze swoim talentem wyzyskiwania efektów zarówno dekoracyjno-scenicznych, jak i wokalno-instrumentalnych.

Można być lub nie być *Wagnerzystą*, trzeba jednak przyznać, iż, z uwagi na psychologię i logikę, ostatnim wyrazem opery jest dramat muzyczny Wagner'a. Przed Wagnerem historya zaznacza trzy tylko momenty rozwoju opery: wzruszenie głębokie, obejmujące całego człowieka u Gluck'a, zmysłowość naiwną u Mozart'a, i swywolność u Rossini'ego. Co zaś do Weber'a, którego twórczość, opartą na pieśni ludowej, przeciwstawiają Rossini'emu, to stanowi on tylko zwrot do wyrazu uczuć prostych i jest uzupełnieniem Mozart'a. Obok tych trzech momentów istnieje jeszcze czwarty, jako mieszanina mechaniczna trzech poprzednich, którego przedstawicielem znakomitym jest Meyerbeer.

Każdego muzyka genialnego poznać można odrazu po jakiemś znamieniu wyraźnem, które też zarazem stanowi cechę muzyki narodowej. Weber jest nawskroś Niemcem, Auber Francuzem Rossini Włochem, Moniuszko Polakiem. Tej oryginalności Meyerbeer nie posiada. Właściwie mówiąc, nie posiada on nawet swojego stylu. Z początku naśladował Weber'a, potem Rossini'ego, potem Auber'a i w końcu stworzył sobie *manierę*, złożoną ze wszystkich stylów. Prawda, iż chwilami, jak w „Robercie Dyable", jak w „Proroku" (Fides), jak w „Hugonotach" (duet Walentyny z Raulem), muzyka jego jest wyrazem głębokiego wzruszenia. Poza tem jednak bohaterowie jego dramatów muzycznych mówią wszystkimi znanymi językami świata. I Gluck łączył w sobie głębię uczucia niemieckiego z jasnością umysłu francuskiego. I u Mozart'a tkliwa pieśń germańska przemieniła się w zmysłową melodyę włoską. Lecz Meyerbeer, przyswajając sobie style obce, nie zdołał w ogniu swojego temperamentu przetopić ich na metal własny. Stąd w jego operach najdziwaczniejsze zestawienia języków różnorodnych. Po aryi czysto włoskiej następuje szał efektów instrumentalnych, po szale orkiestry następuje piosnka francuska, a po piosnce francuskiej następuje bezpośrednio wybuch uczucia wzniosłego w śpiewie chóralnym, jak u Händl'a lub Gluck'a, i to w jednej i tej samej operze. Potrafi on, co prawda, charakteryzować stronę zewnętrzną duszy ludzkiej, uwypuklać rysy znamienne postaci, nadawać barwę miejscową scenom, i to w sposób niezmiernie dosadny; lecz ta jego zdolność przedstawiania rzeczy w świetle właściwem nie przekracza prawie nigdy sfery środków realistycznych. Bohaterowie jego dramatów nie wypowiadają się z siebie do głębi. Mowa ich uczuć jest płytka, i gdyby nie orkiestra, która za pomocą rysów grubych dodaje jej wyrazu, nie zdołałaby ona już dzisiaj wzruszyć nikogo. Ale bo też i Meyerbeer sam nie był nigdy wzruszony do głębi. Więcej muzyk, niż artysta, więcej dekorator, niż poeta, więcej dramaturg, niż psycholog, łączył świadomie a mozolnie wszystkie efekty sztuki muzyczno-scenicznej w jedną całość i tworzył opery różnolite zarówno pod względem nastroju, jak i form zewnętrznych. Żadnej szczerości uczuć, żadnego polotu wyobraźni, żadnego wybuchu temperamentu! Nic — prócz rozumowania w zakresie form i efektów. Trzeba jednak przyznać, iż rozumowaniu jego nie zbywa na ścisłości, a efektom na sile. Jako eklektyk, i to pozbawiony temperamentu ognistego, Meyerbeer nie stworzył dzieła, któreby stanowiło epokę w historyi dramatu muzycznego. Niemniej jednak zwrócił on uwagę kompozytorów na

doniosłość charakterystyki zewnętrznej za pomocą środków realistycznych (pewnych kombinacyi instrumentów z głosami ludzkimi i pewnych przyborów koloraturowych śpiewu) i na znaczenie przedmiotu w operze — i to po wsze czasy stanowić będzie niespożytą zasługę jego talentu, może nie oryginalnego w pomyśle, może nie indywidualnego w wyrazie, może nie głębokiego w odczuciu tajni duszy ludzkiej, ale wielostronnego i szlachetnego. Nie był to poeta, któremu w duszy dźwięczy głos wewnętrzny ideału, ale znakomity rękodzielnik-wirtuoz, który, hołdując modzie wszechwładnej i na razie panującej, tworzy dzieło z kawałków. Jeżeli jednak te kawałki trzymają się całości, to tylko dlatego, iż akcya dramatyczna stanowi kręgosłup tego organizmu sztucznego. Część powodzenia oper meyerbeer'owskich przypada w udziale librecistom, choć ci nieraz, ulegając woli niezłomnej muzyka, goniącego za efektami, musieli poświęcać dla efektu prawdę historyczną, wynikliwość dramatu psychologicznego, logikę. Bądź jak bądź jednak, zarówno „Robert Dyabeł", jak „Prorok", jak „Hugonoci", to dramaty, imponujące rozmiarami kompozycyi i doniosłością przedmiotu. Zapewne — Meyerbeer przejął od Niemców harmonizacyę, od Włochów melodyę, od Francuzów rytmikę; lecz wprowadzenie nanowo opery na tor dramatu muzycznego, jak za czasów Gluck'a, to jego zasługa. Odtąd libretto przestało być stekiem niedorzeczności rymowanych, podzielonych na sceny mniej lub więcej efektowne z uwzględnieniem jedynie sytuacyi, a opera wiązanką aryi, duetów, tercetów czy kwartetów z dodatkiem chóru przy końcu aktu. Nie muzyka bowiem Bellini'ch, Donizetti'ch, Rossini'ch, Auber'ów przestarzała się w nastroju czy w wyrazie, ale treść ich oper, które, jako melodramaty czy krotochwile, nie budzą już dziś żadnego interesu. Tylko taki geniusz, jak Mozart, mógł samorzutnością pomysłów muzycznych i szczerością uczucia ocalić od zagłady wiecznej libretto „Don Juana", ramotę, odtwarzającą dziecinnie dramat pożądań zmysłowych.

Adam Münchheimer, wstępując w ślady Meyerbeer'a, na którym zresztą wzorował formę muzyczną swoich kompozycyi, postanowił również przemawiać do wyobraźni słuchaczów rozmiarami kompozycyi i doniosłością przedmiotu. Tym razem jednak już nie, jak w „Ottonie Łuczniku", już nie, jak w „Stradyocie", sięgnął po natchnienie do skarbnicy poezyi swojskiej.

Tragedya Słowackiego: „Mazepa", ze swoją pomysłowością zuchwałą, ze swoimi obrazami barwnymi i ponurymi, wreszcie ze swoją charakterystyką dosadną, a pełną kontrastów, wybornie pod

muzykę się nadawała. A przytem cóż łatwiejszego, jak utwór, obfitujący w sytuacye dramatyczne, a potężny w kształtach i w wyrazie uczuć, choć słaby w budowie, przerobić na libretto pod każdym względem znakomite? Wszystkie sytuacye są tu doprowadzone do krańca dramatyczności, wszystkie postaci narysowane dosadnie, wszystkie momenty psychiczne wyzyskane doskonale, a język tak bogaty w rymy i rytmy, tak dźwięczny i obrazowy, iż czytelnik sam go śpiewa sobie w duszy. Dość byłoby skrócić tragedyę mechanicznie, a więc jedne sceny usunąć, drugie zaś przesunąć, dość byłoby tu i owdzie zmienić miarę wiersza, a rymy żeńskie zastąpić męskimi, dość byłoby gdzieniegdzie dla przedłużenia obrazu wtrącić zwrotkę okolicznościową, którąby pozwoliła muzykowi szybować w przestworzu wyobraźni pokrętniejszym narazie, niż u poety, szlakiem, aby libretto stało się arcydziełem tragedyi zarówno w ogólnym zarysie sytuacyi, jak i w charakterystyce dramatu psychologicznego, i zarazem nie przestało być „poematem, ubranym w dawny rym królewski".

Tak mniej więcej postąpił sobie p. Ludomir German, przerabiając „Balladynę" Słowackiego na „Goplanę" — dla Żeleńskiego, i jeżeli nie stworzył arcydzieła dramatu pod muzykę, to tylko dlatego, iż przez cześć dla poety nie dokonał zmian gwałtownych w budowie scen. Więcej liczył się z wyobraźnią poety, niż z efektami sztuki teatralnej i muzycznej, i przez to zamiast dać pole swobodne muzykowi do wypowiedzenia się z uczuć, skrępował skrzydła jego fantazyi dokładnością obrazowania myśli.

Tragedya poety to drzewo wspaniałe, którego konary rozłożyste, gałęzie rozliczne, liście bujne i kwiecie barwne, przesłaniają rysunek pnia. Libretto muzyka to pień tego drzewa, zredukowany w kształtach i pozbawiony celowo mnóstwa ozdób. Pan German, ucinając pień od góry, nie poprzycinał równocześnie konarów, nie przetrzebił gałęzi, nie otrząsł w miarę liści i kwiatów. Stąd brak jasności i symetryi w kompozycyi. Koloryt obrazu grzeszy nadmiarem szczegółów barwnych, a rysunek pnia ginie w natłoku gałęzi ukwieconych zresztą niepotrzebnie przy muzyce.

Inaczej postąpił sobie p. Maksymilian Radziszewski, przerabiając „Mazepę" na libretto dla Münchheimera. Licząc się jedynie z warunkami sceny, doskonale zredukował ramy tragedyi i w miarę uprościł kontury postaci, przez co dramat zarysowuje się wyraźnie, i akcya toczy się żywo. Szkoda tylko, iż p. Radziszewski, ulegając woli kompozytora, szukającego motywu do rozwinięcia efektów czysto muzycznych, zepsuł niektóre momenty dramatu sce-

nami, wtrąconemi niepotrzebnie. Pierwsza zaraz zwada Zbigniewa z Mazepą na początku aktu pierwszego jest całkiem zbędna, a przytem niewłaściwa wobec niewiast, znajdujących się w sali. To samo zresztą powtarza się w końcu aktu, lecz tu przynajmniej obaj współzawodnicy do serca Amelii znajdują się sam na sam. A te sceny wtrącone rażą nie tyle jeszcze istotą swoją, ile formą. Są tu całe arye, duety, tercety czy kwartety, którym zbywa na polocie wyobraźni i na sile wyrazu. Ale bo też i poza tem, tam nawet, gdzie można było i należało uwzględnić język Słowackiego, p. Radziszewski myśl poety wyrażał swojemi słowami, swoim rytmem i swoim rymem. Münchheimer, wzorując twórczość swoją na formie Meyerbeer'a, domagał się widocznie słów do aryi samodzielnych, do duetów, tercetów, czy chórów zaokrąglonych w budowie technicznej. Stąd potrzeba zwrotek krótkich, rytmicznie jednostajnych, jak w krakowiaczkach lub piosnkach ludowych, jakkolwiek moda budowania okresów muzycznych, podzielonych równomiernie na cztery, ośm czy szesnaście taktów, minęła już dawno. Dzisiejsi kompozytorowie, na szczęście dla poezyi i muzyki, snują melodyę niezależnie od ilości taktów i dlatego właśnie unikają niedorzeczności rymowanych w tekście. Lecz Münchheimer nie jest kompozytorem dzisiejszym i nie pozwoliłby sobie nigdy zawrzeć melodyi w pięciu czy w dziewięciu taktach, skoro dawna miara, prawidłowa, łatwiej przypada do słuchu. Z tego też powodu p. Radziszewski niemal wszędzie, nawet w chwilach lirycznych, jak np., kiedy Amelia wypowiada się z tajnych uczuć swoich lub kiedy „na Chrystusowe rany i na matki duszę, na wycierpiane teraz krzyżowe katusze, przysięga, że niewinnie była posądzona", przykroił język Słowackiego, to cudowne narzędzie namiętności niepohamowanej i wyobraźni lotnej, do miary wiersza kupletowego. Że p. Radziszewski pień tragedyi Słowackiego skrócił, konary do ram libretta poprzycinał, a gałęzie przetrzebił — to dobrze. Że jednak wspaniałe drzewo otrząsł do szczętu niemal z liści żywych i kwiecia barwnego poezyi, a natomiast obwiesił je listkami sztucznymi i kwiatkami spłowiałymi stylistyki pospolitej, tego mu za zasługę poczytać nie można.

To właśnie, mimo iż sam przedmiot tragedyi nie uległ zmianie zasadniczej, przyczynia się w znacznej części do słabego powodzenia opery. Dekoracye barwne i stroje narodowe nie mogą już dziś zastąpić rzeczy, jak w tym razie — poezyi, i publiczność nasza doskonale to odczuwa.

Operę poprzedza wstęp krótki. Nie jest to uwertura, streszczająca w sobie, jak dawniej bywało, momenty wydatne dramatu

muzycznego, lecz przygrywka, złożona z dwu części różnorodnych, mechanicznie z sobą związanych. Część pierwsza wywołuje w duszy słuchaczów nastrój rzewny melodyą tkliwą, odpowiadającą charakterowi Amelii, druga zaś uspasabia wesoło rytmem skocznym piosnki ukraińskiej, odzwierciedlającej junactwo Mazepy. Lecz obie te części nie łączą się wcale, a przytem o ile część pierwsza, instrumentowana barwnie, uwydatnia doskonale żałość duszy i przez to odpowiada celowi przygrywki, o tyle druga, zarysowana niby żart niewczesny, razi powszedniością rytmu i harmonizacyi. Pierwszy dźwięk w orkiestrze, to jakiś szmer, wywołany buczeniem kontrabasu w połączeniu z brzękiem talerzy blaszanych. Ani to piękne, ani efektowne. Następnie jednak melodya zarysowuje się jasno w lamencie waltorni, rożka angielskiego i wiolonczeli i płynie spokojnie wprost z piersi, przejętej uczuciem, może nie głębokiem, może nie indywidualnem, ale szczerem. Naraz, nistąd nizowąd, odzywa się wyrwas Mazepy, po którym następuje znów lament Amelii i lament ten trwa do końca przygrywki. Wreszcie zasłona się podnosi i na scenie ukazuje się drużyna wesoła Wojewody. Orkiestra fanfarą energiczną w rytmie a krzykliwą w nastroju daje hasło do pieśni biesiadnej.

Scena przedstawia salę wspaniałą, jasno dekorowaną, kapiącą od złota, wspartą na sześciu potężnych kolumnach, rzęsiście oświetloną. Podwoje sali wychodzą na wirydarz, w którym znowu ciągną się rzędem nieprzerwanym różnobarwne lampiony weneckie, przymykające w końcu do chłodniczka zgrabnego w stylu wschodnim. Oko doznaje rozkoszy na widok tego przepychu pomiarkowanego w tonie, którego powaga doskonale odbija od jaskrawej barwności strojów staropolskich, w jakie odziana jest drużyna Wojewody.

Na scenie wszyscy się weselą. Dzban przechodzi z ręki do ręki; usta drgają pieśnią: „Będą tany, będą gody, bo dziś gościem Wojewody, Miłościwy Pan!" Melodya tej pieśni biesiadnej, intonowanej przez Chmarę, a przerywanej miarowo przez chór panów braci szlachty, jest prosta, wesoła i żywa; lecz pieśń sama jest tak pospolita w rytmie a przez to operetkowa w nastroju, iż budzi niesmak. Zapewne, z pieśnią podobną możnaby się i dziś jeszcze spotkać gdzieś na wsi na godach weselnych: odzwierciedla ona dobrze rubaszność szlachecką; lecz ton jej nie odpowiada charakterowi otoczenia w operze. Na szczęście Wojewoda daje znak, i wszyscy wychodzą za scenę powitać dostojnego gościa u bram podwórza zamkowego. „Gość w dom, Pan Bóg w dom — zapomnieć o tem wielki srom!"

Następnie w orkiestrze rozbrzmiewają dźwięki jakiejś pogawędki bałamutnej między instrumentami, i na scenie zjawiają się dwie postaci niewieście: urocza Amelia i przesadnie zalotna Kasztelanowa. Amelia radaby wyjść na spotkanie gościa, którym jest Jan Kazimierz we własnej osobie, jakkolwiek na afiszu niewiadomo czemu figuruje on, jako Książę, lecz Kasztelanowa zatrzymuje ją w sali i przestrzega o niebezpieczeństwie spotkania się z „panem Mazepą”. Co zacz pan Mazepa? Słowacki powiedziałby:

...Zobaczysz to sama.
Serce jego otwarte, jak przejezdna brama,
Jedna wjeżdża, a druga wyjeżdża za wrota.
Spojrzenia jego nakształt kowalskiego młota
Ciągle w biedne serduszka uderzają, tłuką
Na miazgę. Niech to będzie Asińdzce nauką.

Librecista załatwia się z charakterystyką krócej, zwłaszcza że i rytm szczególny piosnki pod muzykę nie pozwola mu rozwinąć skrzydeł fantazyi: „Młody, piękny, jak na wzór, ten pogromca Ewy cór, ma spojrzenie, co, jak młot, ich serduszka kruszy w lot!” Lecz *arietta* Kasztelanowej wybornie odzwierciedla jej płochość i zalotność nadmierną. Zgrabna w rysunku melodyi, lekka w rytmie żywym, w miarę przyozdobiona figlami technicznymi koloratury, przejrzysta w harmonii i dowcipnie uwypuklona instrumentacyą ruchliwą fletni i skrzypców, przypomina wdzięk gawota francuskiego na dawną modłę, jakby ją Thomas, mistrz charakterystyki rytmicznej, twórca „Mignon”, dla pokazania zalotności swojej Filiny skomponował. Jest to arya popisowa, zwłaszcza dla śpiewaczki, posiadającej technikę koloraturową. Szkoda tylko, iż zarówno w rytmie, jak i w technice przypomina zbyt wyraźnie aryę Filiny z Mignon.

Naraz odzywa się za sceną huk strzału armatniego. Obie białogłowy, acz przelęknione, nastawiają ucha, a i okiem też zerkają ciekawie w stronę podwórca zamkowego. W orkiestrze rozbrzmiewają dźwięki harfy, a za sceną odzywa się głos tenorzysty. To Mazepa, wtórując sobie na bandurze, wywodzi trele serenady marzycielsko-miłosnej pod oknem. Nastrój serenady jest rzewny, choć rytm podrywany, niemal skoczny — ale to już taki wyraz duszy kozaczej: „Po wawrzyny z Ukrainy jedzie chłopiec zuch; umie dyablo rąbać szablą, kochać się za dwóch!” I pieśń, napoły smutna, napoły namiętna, płynie a płynie pod oknem swobodnie i wraża się w duszę słuchacza melodyą jasną i rytmiką dosadną a charakte-

rystyczną. Nie można jednak powiedzieć, aby serenada ta była nawskroś oryginalna. Wprawdzie w rytmie wyraźnym a jednostajnym czuć tętno dumki ukraińskiej, lecz rysunek melodyi przypomina barkarolę Gounod'a: *Où voulez-vous aller?* A przytem, jako cząstka opery, jest ona harmonizowana zbyt skromnie: ujmuje jej to wdzięku artystycznego i nie dodaje znamienia oryginalności. Zresztą sam rytm w muzyce dziś już nie wystarcza. A rytm tej serenady będzie się w ciągu opery często powtarzał, gdyż stanowi on cechę zewnętrzną, charakterystykę realistyczną, „znak szczególny" partyi „pana Mazepy".

I pan Mazepa, jak w tragedyi Słowackiego, wpada do sali balowej przez okno. Tu spotyka się niepotrzebnie ze Zbigniewem. Obaj młodzieńcy biorą się odrazu do szabli. Na szczęście w tej chwili zjawia się na scenie Jan Kazimierz z całym dworem i zaraz na wstępie, po kilku słowach zachwytu nad wdziękami Amelii, wyraża zdziwienie, iż zastał tu już Mazepę. Mazepa usprawiedliwia się, iż „jak motyl dworu, przyfrunął tu przez okno". — „Strzeż się, strzeż, bo wypaść można też" — odpowiada ironicznie Gość dostojny i wnet z zalotnością sobie właściwą podaje rękę Wojewodzinie; Wojewoda bowiem kazał w tej chwili kapeli swojej grać „polskiego". I dwór cały idzie parami w tany.

Jest to ustęp najwydatniejszy i zarazem najpiękniejszy w akcie pierwszym.

Münchheimer nie posiada talentu ilustrowania sceny środkami dekoratywnymi orkiestracyi. Dyalogi prowadzone są u niego pospolicie, a tło, mimo że instrumenty wciąż są w ruchu, nie uwypukla zgoła ich rysów. Jedynie może Wojewoda, odznaczający się krewkością i jakimś niepokojem nerwowym, wyraża się dosadniej i charakterystyczniej, niż inni. To też wszystkie rozmowy i wszystkie sceny w „Mazepie" dłużą się słuchaczom, a i Münchheimer sam kwapi się do form zaokrąglonych w całości. Zresztą, jeżeli chodzi o dyalog w operze, to nikt pod tym względem nie dorównywa Francuzom (Boildieu, Auber, Thomas, Gounod); co zaś do charakterystyki sceny zapomocą harmonizacyi i orkiestracyi, to jest ona wyrazem przygotowania psychologicznego w muzyce (Berlioz, Wagner, a poczęści i Verdi w ostatniej dobie swojej twórczości) i poczucia nastroju w poezyi. Nasza muzyka dramatyczna, oparta przeważnie na wylewie lirycznym uczucia, nie obfituje zgoła w momenty, charakteryzujące nastrój dramatyczny sceny. Opowiadanie i arya Halki w czwartym akcie, poswarek ojców w *Verbum nobile*, chór końcowy w akcie drugim „Strasznego Dworu", wreszcie „Goplana"

Żeleńskiego — oto wszystko. Wprawdzie Münchheimer przejął od Meyerbeer'a tajemnicę charakteryzowania indywidualności bohaterów zapomocą pewnych szczegółów instrumentacyi, lecz charakterystyka ta ogranicza się szczegółami realistycznymi — przepierowaniem fletów, jękiem wiolonczeli lub waltorni, pokrzykiem trąb czy poświstem skrzypców — i jest czysto zewnętrzna. Nic z głębi duszy bohaterów, jak arya dramatyczna w akcie czwartym „Halki", jak cała partya Balladyny w „Goplanie". Natomiast Münchheimerowi nie zbywa na wyrazie, gdy chodzi o oddanie uczucia łagodnego w formie, rozwiniętej na dawną modłę.

Jego polonez w akcie pierwszym „Mazepy" ma w sobie coś epickiego. Jest on polski, czysto polski nie tylko w rytmie, co stanowiłoby cechę fizyczną muzyki, ale i w nastroju uczucia. Od czasu Ogińskiego, a poniekąd i Kurpińskiego, jak o tem z przygrywki, wstawionej do drugiego aktu „Zamku na Czorsztynie" przekonać się można, poloneza podobnego nie było. Moniuszko, wyrażając całą rzewność uczucia i całą butę usposobienia polskiego w tej formie, tworzył poematy liryczne. Münchheimer stworzył poemat opisowy, w którym więcej gra wyobraźnia, niż serce. Słuchając poloneza Münchheimera, widzi się korowód szlachty, szukającej wypoczynku w tańcu, widzi się obraz barwny obyczajów, słyszy się głosy zabawy zzewnątrz. Przedewszystkiem w budowie swojej przypomina on polonezy archaiczne, kiedy to każda z trzech części stanowiła całość zaokrągloną, a część trzecia nadto różniła się nastrojem lirycznym lub bohaterskim od części pierwszej, charakterystycznie zalotnej lub napuszonej. Jest on czysto instrumentalny: chór urozmaica tylko miarowo, co pewien czas, harmonię orkiestry. Melodya w nim, jak za dawnych czasów, stanowi wszystko. A nie jest to ów wylew dźwięków, płynny a płytki, w którym, jak w aryach Bellini'ego, od początku do końca brzmi jedna i ta sama nuta duszy, bezmyślnie rozśpiewanej, ale objaw uczucia samorzutnego, który co chwila, stosownie do okoliczności, nabiera innego wyrazu. I melodya ta, dzięki rysunkowi wytwornemu na tle harmonii prostej, to skupia się w kilku dźwiękach, rytmicznie obok siebie zestawionych, to przewija się wężem długim, a wiotkim od taktu do taktu, od okresu do okresu, to drga humorem, iskrzącym się w przedźwiękach fletni i instrumentów smyczkowych, to wybucha płomieniem szerokim, gdy myśl tancerzy na wspomnienie bojów, przebytych z Tatarem, nabiera rozmachu bohaterskiego, to wreszcie mieni się uśmiechem zalotnym, gdy pary, stając oko w oko, wzajem sobie west-

chnienia miłosne przesyłają — a wszystko na modłę muzyki staropolskiej, szlachetnie w nastroju, pomiarkowanie w wyrazie. Być może, iż, jak na kompozycyę szerszych rozmiarów, niezwykle długą, harmonizacya jest tu zbyt jednostajna. Bądź jak bądź jednak, polonez ten wywiera wrażenie duże: poddaje wyobraźni wspomnienie czegoś niezmiernie pięknego, pogodnego, spokojnego, a mimo to żywego.

Pary przy dźwiękach „kadencyi konającej" poloneza wychodzą za scenę. W sali zostaje Zbigniew sam i oddaje się marzeniu napoły smutnemu, napoły namiętnemu. To wylew miłości nieszczęsnej. Psychologicznie jest on usprawiedliwiony, a muzycznie za pomocą harmonii dysonującej dobrze uwydatniony. Czemu jednak pierwsza część tego monologu jest powtórzeniem trzeciej części poloneza — zgadnąć trudno. Druga część przypomina zbyt wyraźnie aryę z kurantem ze „Strasznego Dworu", a mianowicie chwilę, gdy Zbigniew „słyszy, jak matka, niepewna, czy ojciec wróci, wzywa Boga".

Potem następuje duet Mazepy z Amelią. Jest on zgoła niepotrzebny, a i w nastroju też mało interesujący, zwłaszcza, iż uczucia nie są wyindywidualizowane w wyrazie. W śpiewie Mazepy nie czuć namiętności, wybuchającej z siłą żywiołową, a śpiew Amelii wyraża raczej zmysłowość, chytrze tajoną, niż naiwność i pogodę duszy. W końcu oboje śpiewają jedną i tę samą melodyę, co jest chyba przeciwne naturze ludzi, różniących się między sobą temperamentami.

W chwilę potem Zbigniew, wiedziony instynktem zazdrości, wchodzi na scenę i wyzywa Mazepę na rękę. Wejście dworu przerywa rozprawę orężną. Dyalog prowadzony jest bezbarwnie, a orkiestra nie przyczynia się wcale do podniesienia tonu, jakkolwiek teraz do zwady dwu młodzieńców wmieszał się już i Wojewoda ze swoim temperamentem krewkim. Słuchacze czekają tylko chwili, rychło ta scena się skończy. Książę wydaje rozkaz, iż Mazepa ma się udać niezwłocznie z jego listami do Warszawy. Wiadomość ta wywołuje zadowolenie powszechne: soliści łączą się w oktet, chór zbija się w gromadę, i następuje finał energiczny w rytmie a potężny w brzmieniu. Czuć tu, iż Münchheimer na wzór Meyerbeer'a, umie władać czynnikami czysto muzycznymi, niezależnie od napięcia dramatycznego sytuacyi, niezależnie od wyrazu psychologicznego.

Tak się kończy akt pierwszy, utrzymany w tonie raczej gawędy szlacheckiej, niż dramatu. Muzyka nie odpowiada tu zgoła duchowi tragedyi Słowackiego, a i polonez, ze względu na rozwlekłość kompozycyi i jednostajność harmonii, nie mieści się w tych ramach. Przypadałby on lepiej, jako ilustracya muzyczna, do jakiegoś rapsodu w duchu Wincentego Pola.

Akt drugi rozpada się na dwa obrazy. Obraz pierwszy przedstawia salę gotycką, niezmiernie malowniczą, a mimo to poważną, gdyż ton ogólny utrzymany jest w barwach przyćmionych. Rzecz rozpoczyna się balem. Kompozytor, gwoli wymaganiom przedstawienia teatralnego, dał tu na początek muzykę baletową. Jest to wiązanka mechaniczna trzech tańców narodowych: mazura, oberka i krakowiaka. W mazurze nie czuć rozmachu temperamentu, który w pochutnywaniu rytmicznem szuka ujścia, a krakowiak, przełożony wprost z motywu ludowego na orkiestrę, razi pospolitością nastroju. Część druga tego krakowiaka przypomina marsza weselnego z „Hamleta” Thomas'a, i jest podobnie instrumentowana: melodyę prowadzi trąbka. Natomiast oberek, wirujący jakimś szalonym, zawrotnym pędem dokoła sali, posiada cechę typową tego tańca. Malownicze stroje tancerzy i tancerek dodają scenie życia; mimo to tańce dłużą się słuchaczom: za mało w nich, z wyjątkiem króciutkiego oberka, fantazyi muzycznej i buńczuczności.

Po balu goście rozchodzą się. Książę przy dźwiękach trzeciej części krakowiaka, której melodyę prowadzi trąbka, co przypomina jeszcze bardziej scenę odpowiednią w „Hamlecie” Thomas'a, idzie do sypialni pisać listy, a Wojewoda z Chmarą udaje się na podwórzec zamkowy, aby sprawdzić, czy kto przypadkiem nie zakradł się pod okno Wojewodziny.

W chwilę potem na scenę wchodzi Mazepa i marzy o Amelii. „Jej oczęta dwa bławatki, a buziaczek świeży, gładki” nie dają mu spać spokojnie. Jest to arya, rozwinięta szeroko na dawną modłę, tchnąca liryzmem szczerym, acz nie głębokim. Zwłaszcza druga jej część, przypominająca nastrojem dumkę ukraińską, dobrze charakteryzuje duszę Kozaka, zdecydowanego na wszystko, byle porwać Laszkę i uciec z nią na krańce Zaporoża. W końcu aryi namiętność przejawia się z taką siłą, iż wzruszenie udziela się słuchaczowi. A i sam Mazepa jest wzruszony. Czuje, iż w powietrzu coś niedobrego się święci. Czeka, — „lecz zbyt długo pisze listy jego Najmiłościwszy Pan; w tem *interes* jest nieczysty, on tam knuje jakiś plan!” Taka poezya nie może podniecić fantazyi muzyka. Mazepa, dowiedziawszy się z listu rozpieczętowanego, iż Miłościwy

Pan postanowił uwięzić go podstępnie, a Wojewodzinę porwać, przedzierzga się nagle z kochanka w rycerza, występującego w obronie czci niewieściej. Mimo naprężenie sytuacyi, bo i Miłościwy Pan otrzymuje sztych w rękę pod oknem Wojewodziny, muzyka tu nie odtwarza barwnie nastroju chwili. Münchheimer nie potrafi do akcentu słowa dodać zgrzytu instrumentów. To też obraz pierwszy przechodzi bez wrażenia.

Obraz drugi przedstawia komnatę obszerną z alkową w głębi. Ściany komnaty wyłożone są gobelinami malowniczymi, ale zbyt surowymi w tonie. „Wszędzie cisza, śpią w zamczysku, nigdzie światła ani błysku”. Mazepa zakradł się tu, aby ostrzedz Amelię o grożącem jej niebezpieczeństwie. Spłoszony szelestem zzewnątrz, kryje się w alkowie. Na scenę wchodzi Amelia w towarzystwie Zbigniewa. Następuje duet, w którym uczucia bohaterów wyindywidualizowane są doskonale: śpiew Amelii odznacza się tkliwością, a uczucie Zbigniewa przepojone jest goryczą. Zbigniew zapewnia Amelię, iż „pragnie znaleźć zgon”, a Amelia prosi go tylko, aby „nie zapomniał o jej łzach”. Jest to redukcya słów poety: „ja waćpanu nie mogę dać nic, prócz łez — ja sama cierpię!” I Zbigniew pada zemdlony u stóp Amelii. Cały ten duet brzmi pięknie; lecz cóż z tego, kiedy liryzm Amelii tchnie słodyczą cavatiny włoskiej, a marzycielstwo Zbigniewa jest odbiciem czułostkowej pieśni niemieckiej w typowych jej przejawach, jak u Abt'a lub Bendl'a. Ani odrobiny w tem uczucia polskiego, które ma swój akcent, swój ton, swoje interwale, swój rytm!

Na tę chwilę wchodzi Wojewoda — i teraz rozgrywa się najdramatyczniejsza w całej tragedyi scena. Wojewoda wytropił tu Mazepę, lecz Amelia, nieświadoma rzeczy, zadaje kłam jego słowom. Z początku dyalog prowadzony jest barwnie, gdyż Wojewoda rytmem nerwowym swoich wybuchów nadaje mu ton. Następnie jednak wszystko się rozłazi. Wina to instrumentacyi, która, zostawiona opustą, jak w dawnych operach czy melodramatach, kiedy to kontrabasy i fagoty buczą jakimś jednym dźwiękiem ponurym, a skrzypce i wiolonczele tremolują tajemniczo, nie charakteryzuje sytuacyi, nie uzmysławia dramatu. Dopiero z chwilą, gdy szmer zza kotary doleciał uszu Wojewody, powstaje ruch na scenie, i muzyka zabarwia się odcieniem dramatycznym. Przyczynia się do tego niepomiernie ustawiczna zmiana tempa i rytmu w partyach pojedyńczych. Jest to zresztą wyborne przygotowanie, jako efekt przeciwstawny, do sceny przysięgi. Przysięga mogłaby być melopeją — powtarzaniem rytmicznem jednego dźwięku lub jednego

frazesu muzycznego na tle harmonii, przelewającej się spokojnie od akordu do akordu, a jest prawie pieśnią, jak w modlitwie, kiedy uczucie bolesne szuka ukojenia w dźwiękach. Mimo to niepodobna oprzeć się wrażeniu chwili. Kompozytor, idąc za głosem natchnienia, potrafił wzruszyć tu słuchacza pogodą nastroju, w którym mieni się łza uczucia szczerego. Wrażenie byłoby jeszcze większe, gdyby nie to, iż librecista wiersz cudowny Słowackiego przykroił do miary rytmicznej kupletu:

Na zbawienie mej duszy,
Na niewiast naszych cześć,
Na ten ogrom katuszy,
Jakie tu muszę znieść,
Jeślim winna sromoty,
Ty sądź mię, skarż i słysz,
Męczenniku z Golgoty,
Na Twój przysięgam krzyż!"

Nie! Tylko dawniejsi kompozytorowie, tworzący opery, a raczej piszący arye samodzielne, po za poezyą, potrafili dorabiać muzykę do słów podobnych. Dziś to już nie uchodzi. Następnie, jak w tragedyi, Wojewoda wydaje rozkaz zamurowania alkowy. Podczas tej sceny w głosach ludzkich i instrumentalnych porywa się burza namiętności, bo oto i Amelia zawodzi rozgłośnie, i Wojewoda daje folgę swemu temperamentowi niepohamowanemu w krewkości, i Zbigniew jęczy żałośnie, i cały chór wtóruje im wyraziście w okrzykach współczucia lub oburzenia, a orkiestra podnosi nastrój grozy rytmem niespokojnym, akcentami dosadnymi, poświstem ruchliwym smyczków, brzękiem jaskrawym instrumentów miedzianych. Ustęp to muzycznie świetny. Jedno mu tylko zarzucić można, iż ruch jest tu powstrzymany dwa czy trzy razy, aby Mazepie, zamurowanemu już w alkowie, dać możność odezwania się z kilkoma słowami skargi czy przerażenia. Taki efekt przeciwstawny siły, na krańcach jej przejawów, jest dobry na papierze; w praktyce jednak grzeszy brakiem wyrazu. Zresztą słuchacze nie domyślają się nawet, co tam czy kto tam *barzęczy* za sceną. A przytem — w dramacie jest on całkiem niepotrzebny. To też należałoby go usunąć z partycyi, a przynajmniej zatrzeć hukiem orkiestry. Inaczej, zamiast wzruszać, będzie on tylko dziwił lub śmieszył.

Akt trzeci, rozpadający się również na dwa obrazy, to kulminacyjny punkt opery. Scena przedstawia izbę więzienną, w której

znajduje się Amelia. Orkiestra na wstępie powtarza w całości melodyę żałosną z przygrywki pierwszej, następnie jednak, gdy Amelia zaczyna śpiewać, podporządkowuje się zupełnie jej głosowi. Jest to „medytacya” tak poetyczna, tak pełna wyrazu, tak szlachetna w nastroju, tak melodyjnie płynna, iż słucha się jej, jak marzenia własnego z lat dziecinnych. Zresztą i wiersz tu nie jest pozbawiony wdzięku:

Gdzież są te lata, te błogie chwile,
Gdym ja, dziewczynką swobodna, mała,
W ogródku swoim igrając mile,
W barwach różanych przyszłość widziała.

A przytem ustęp ten pod względem urozmaicenia harmonii, przechodzącej od tonacyi minorowej do majorowej, pod względem barwności instrumentacyi, nie pozostawia nic do życzenia. Czuć tu rękę wirtuoza, który na palecie kolorystycznej akordów pokrewnych umie znaleźć ton odpowiedni i tonem tym uwypukla subtelnie rysunek melodyi, a w końcu, by uczynić zadość poczuciu czysto muzycznemu, tę samą zwrotkę melodyi przesłania arabeską koronkową kontrapunktu w orkiestrze, co zresztą podnosi zewnętrznie wartość całego tego ustępu, nie ujmując mu czaru wewnętrznego pieśni szczerej, swobodnej, płynnej. Szkoda tylko, iż motyw tej „medytacyi” przypomina piosnkę Moniuszki: „Latem brzózka mała z liściem rozmawiała” (śpiewnik pierwszy). Dzięki temu wprawdzie czuć w niej odcień liryzmu swojskiego, lecz wzamian za to nie posiada ona cechy oryginalności.

Następnie wchodzi Zbigniew — i muzyka zmienia charakter. Partya Zbigniewa mieni się odcieniami bólu, oburzenia, szyderstwa, namiętności zmysłowej, długo hamowanej, wreszcie staje się wyrazem przekleństwa. Jest ona psychologicznie usprawiedliwiona i muzycznie doskonale wyzyskana. Natomiast partya Amelii w duecie tym grzeszy namiętnością niewłaściwą akcentów i pospolitością wyrazu w frazesie, powtarzającym się niezmiennie (w małej septymie) trzy czy cztery razy. Amelia przecie ma być wzorem idealnym spokoju.

W drugim obrazie aktu trzeciego odbywa się scena uwolnienia Mazepy. Po chwili też Mazepa opowiada, jak stał się przygodnie sprawcą nieszczęścia, lecz opowiadaniu jego zbywa na dramatyczności nastroju. Frazesy rwą się ustawicznie, co dałoby się usprawiedliwić osłabieniem fizycznem Mazepy, lecz orkiestra nie dodaje nic do charakterystyki chwili. Dopiero scena wyzwania na pojedynek wyilustrowana jest dosadnie. Wojewoda, najlepiej zresztą ze wszystkich postaci utrzymany w charakterze, wybucha tu gniewem

i pieni się ze złości, a Zbigniew rozpływa się w melancholii. To przemówienie Zbigniewa — szczęściem, że nie arya — jest tak serdeczne, iż niepodobna łzy wzruszenia powstrzymać w oku. Szkoda tylko, iż obaj zapaśnicy, Zbigniew i Mazepa, miast udać się odrazu do ogrodu, gdzie ma się odbyć sąd Boży, występują naprzód sceny i łączą swe głosy z głosami pozostałymi oktetu. Lecz co tam akcya dramatu, co tam wynikliwość psychologiczna, gdy oktet, podparty harmonią chóru i uwypuklony światłocieniem instrumentacyi, jest szczerym tworem sztuki muzycznej! Tak: ten wylew płynny głosów solowych, to brzmienie potężne chóru, to stopniowanie barwy i siły dźwięków orkiestrowych aż do krzyku trąb, aż do pomruku fagotów i kontrabasów, aż do gromu bębnów, zespolone w całość organiczną a dźwięczną — to muzyka. Wprawdzie oktet ten nic nie wyraża, bo i w nastroju jest raczej liryczny, niż dramatyczny, niemniej jednak, acz zgoła niepotrzebny, wywiera wrażenie duże — wzrusza potęgą brzmienia.

Scena następna, błogosławieństwo zapaśników na drogę śmierci nie ma siły odpowiedniej. Dopiero z chwilą, gdy wśród zebranych, po strzale, rozchodzi się wieść, iż Zbigniew został na placu, orkiestra ruchem przyśpieszonym figuracyi, falowaniem wzburzonem rytmu, charakterystyką dosadną akcentów uzmysławia dramat. Na scenę wnoszą ciało Zbigniewa na marach. Amelia klęka przy trupie- „Czego chce ta gadzina" — krzyczy Wojewoda, zaślepiony w swej zazdrości i, umaczawszy chustkę w krwi Zbigniewa, rzuca ją w twarz Amelii. Scena trwa krótko, a mimo to muzyka dochodzi tu kresu dramatyczności. Przyczynia się do tego rytmika nerwowa słów Wojewody na tle instrumentacyi jaskrawej.

Na początku aktu czwartego chór mnichów śpiewa psalm (CXXIX) de Profundis, ułożony pięknie na cztery głosy męskie. Scena przedstawia zbrojownię Wojewody: na środku stoi trumna ze zwłokami Zbigniewa. Wojewoda wydaje rozkaz, aby w danej chwili przywiązano Mazepę do „najdzikszego *tabuna*", jakkolwiek „tabun" oznacza stado koni, nie zaś konia pojedyńczego. Orkiestra wybornie naśladuje tętent konia przy poświście wichrów stepowych. Rytm jest tak plastyczny, a instrumentacya tak malownicza, iż oko wyobraźni mimowoli wybiega poza scenę i widzi tę jazdę szaloną wśród stepu bezbrzeżnego. Potem następuje scena wynurzeń Amelii, pięknie uzmysłowiona melodyą tkliwą i harmonią pogodną. Duet Mazepy z Amelią, może znów niedość wyindywidualizowany w różnicy charakterów, wzrusza szczerością liryzmu. Wnet potem Amelia, otruta, pada przy zwłokach Zbigniewa, a Wojewoda,

oszalały w namiętności i zaciekły w uporze, wydaje Mazepę na śmierć niechybną. Muzyka tu znakomicie rytmem, poszarpanym na strzępy, i krzykliwością instrumentacyi wyraża pragnienie zemsty. Szkoda tylko, iż rozkaz w słowie Wojewody — „wychodź” — nie ma siły dostatecznej. I potem rozpoczyna się znów ta jazda szalona w orkiestrze. Figura trójkowa kontrabasów naśladuje tętent konia, pędzącego w przecwał, smyczki skrzypiec uzmysławiają świst wiatru, a waltornie w jęku żałosnym przypominają piosnkę miłosną Mazepy z pierwszego aktu. I koń pędzi a pędzi, i wiatr świszczy po stepie, i głos Mazepy brzmi echem żałosnem, aż wreszcie wszystko ginie gdzieś w dali, rozwiewa się w przestworzu. W rytmie, w budowie, w instrumentacyi tego ustępu czuć reminiscencyę z „Proroka” Meyerbeer'a. Lecz motyw Mazepy, wpleciony kontrapunktycznie w harmonię dysonującą orkiestry, dodaje mu siły i odcienia oryginalności.

W chwilę potem wojsko przy odgłosie trąb i huku armat wpada na scenę. Zapóźno! Mazepy już niema, a Wojewoda, podpaliwszy uprzednio zamek, przebija się mieczem i pada trupem przy zwłokach syna. Orkiestra grzmotem hucznym akordów minorowych dopełnia grozy. Jeszcze kilka uderzeń suchych w kotły, bębny i werble — i po wszystkiem. Zasłona spada.

Tak się kończy tragedya, wyilustrowana muzyką, może niezbyt indywidualną, może niezbyt charakterystyczną, może nie zawsze silnie i barwnie, ale bądź jak bądź—obrazowo. Zapewne: dramat muzyczny nie rozwija się tu konsekwentnie wraz z akcyą, jak to się dzieje w operach Wagnera i u kompozytorów dzisiejszych. Arye, duety, tercety, oktety — słowem formy samoistne a skończone same w sobie i dla siebie — zajmują tu zbyt wiele miejsca i, jak z jednej strony powstrzymują akcyę, tak z drugiej znów odbijają nastrojem czysto muzycznym a często niewłaściwym od charakteru tragedyi. Niemniej jednak, nawet poza polonezem, który jest w swoim rodzaju arcydziełem muzyki archaicznej, opera Münchheimera obfituje w ustępy piękne, bądź interesujące muzycznie poza psychologią, bądź olśniewające wykończeniem technicznem, bądź rozrzewniające uczuciem, może nie głębokiem, ale szczerem, bądź też wzruszające, jak pod koniec tragedyi grozą dramatyczną nastroju. Operze jednak zbywa na jednolitości jakiejś, która zresztą powstać może tylko wtedy, gdy kompozytor, rozwijając swój pomysł poetyczny i zarazem muzyczny, grupuje ustępy i szczegóły pojedyńcze około jakiejś jednej myśli, nie zaś przechodzi bez żadnych zastrzeżeń od efektu do efektu. Tej myśli przewodniej

brak tu zupełnie. To nie bryła krzepka kruszcu zwartego jakiejkolwiek nazwy, lecz zlepieniec z odłamów skał różnych bez nazwy — i dlatego „Mazepa" Münchheimera, mimo, iż obfituje w ustępy muzycznie piękne, nie wywiera wrażenia silnego.

Dla ścisłości kronikarskiej dodać należy, iż wykonanie w całości, nie mówiąc już o dekoracyach wspaniałych i strojach malowniczych, acz nazbyt jaskrawych, przynosi zaszczyt zarówno solistom, jak i całemu zespołowi sił naszej opery, kierowanych ręką p. Chodakowskiego na scenie, a p. Młynarskiego w orkiestrze. Panna Kruszelnicka w roli Amelii stworzyła typ niewiasty polskiej. Jakkolwiek głos jej, czysto dramatyczny, nie nadawał się do partyi, opartej na przedźwięku lirycznym uczucia, to jednak p. Kruszelnicka zdołała plastyką deklamacyi wywrzeć duże wrażenie. Pani D'Orio odtworzyła postać Kasztelanowej. Jej *arietta* w akcie pierwszym nie była pozbawiona wyrazu płochości i zalotności, lecz koloratura — charakterystyka główna płochości i zalotności — w śpiewie przepadła. Pan Grąbczewski w roli Zbigniewa, nawskroś czułostkowej, miał chwile szczęśliwe, zwłaszcza w scenie więziennej, gdy głos jego mienił się odcieniami uczuć różnorodnych. Pan Didur doskonale oddał barwą głosu niepokój, dzikość, zawziętość i mściwość Wojewody; lecz, jak zawsze zresztą, był niepomiarkowany w akcentach i w ruchach. Pan Sienkiewicz, którego głos nie nadaje się już do żadnej partyi, serenadę za sceną odśpiewał dość dźwięcznie; na scenie jednak nie podołał zadaniu trudnemu. A „Mazepa" Münchheimera bez tenora znakomitego powodzenia mieć nie może.

Antoni Sygietyński.



NOWOCZESNE FORMY DROBNEGO HANDLU.

Przy najpiękniejszych ulicach milionowych środowisk ludzkich Paryża, Londynu i Wiednia zwracają uwagę przechodnia przepyszne wielopiętrowe gmachy, które wspaniałością zdają się nawet pałace królewskie przewyższać. Ściany, których przeznaczeniem jest zwykle chronić wnętrze domu przed okiem ciekawych, złożone z ogromnych płyt szklanych, spojonych bogato rzeźbionemi belkami, wabić starają się tutaj i zniewalać do zapuszczenia oka w głąb gmachu. A wewnątrz — ogromne hale, wśród których biegną olbrzymie stoły, zarzucone rozmaitymi przedmiotami, tłum ludzi oglądających, kupujących, kobiet i dziewcząt, których wzrok od trzymanego w ręku cacka lub gałganka do stu innych pożądliwie biegnie, i gromadka sprzedających uprzejmych i zwinnych, z oczu gości odgadujących życzenia. Są to „wielkie magazyny nowości", które z Paryża, gdzie powstały w czasach szalonego zbytku drugiego cesarstwa, rozpowszechniły się powoli we wszystkich stolicach Europy i nawet za oceanem wśród wrażliwej na reklamę i skłonnej do zakładania wielkich przedsiębiorstw ludności amerykańskiej znane już są od całego szeregu lat. Przeważnie są to obracające milionowym kapitałem towarzystwa akcyjne, jak np. pa-

ryskie „Au bon marché", „Louvre", lub londyńskie „Civil Service Supply Association." Odbiorców dostarcza tutaj liczna po wielkich miastach warstwa zamożnej inteligencyi i mieszczaństwa, z pośród której pochodzą kobiety, lubiące zbytek i stroje, trawiące godziny całe na przerzucaniu w sklepie stosów jedwabiów i koronek, zanim drobnostkę jakąś nabędą. Robotnice, służące rzadko spotkasz tutaj. Ich potrzebę zbytku i stroju zaspakajają tanie bazary, gdzie liche towary w równie wyzywający sposób nęcą oko, formą i barwą zbliżone często do najdroższych wyrobów, a ceną przecież i dla uboższych przystępne. Bazar — to spadkobierca dawniejszych jarmarków o towarach, nie liczących się z indywidualnym gustem, ale zato tanich i różnorodnych. Często nawet dla przywabienia zmuszonej z groszem liczyć się publiczności na wszystkie towary naznaczona jest tam jedna cena (tak zwane 10-cio lub 50-cio groszowe towary). Rzeczy droższe sprzedawane są w takim wypadku ze stratą nawet, a przy zwiększonym tą przynętą obrocie odchodzi znaczniejsza ilość tańszych przedmiotów, przy których wyznaczona cena znacznie istotną wartość przewyższa. A dalej nieco, kroków tylko parę od środka miasta widzimy małe, schludne sklepiki o symetrycznie w gwiazdy poukładanych kawałkach mydła obok domków z czekoladek i świec stearynowych na wystawie, ogromnych stosach barwnych perkalików i płócien przy drzwiach wchodowych, w których głowę dobrze pochylić trzeba, by kapeluszem o porozwieszane od góry łyżki i szczotki nie zawadzić. Im bliżej dzielnic robotniczych, tem nędzniej sklepiki te wyglądają, a na krańcach miasta są to już często brudne, odrapane kramy, które towaru najwyżej za kilkanaście złotych zawierają.

Magazyny, bazary, sklepiki — oto nasi pośrednicy między wytwórcą a spożywcą. Tutaj zakupujemy przedmioty dla własnego użytku lub spożycia, a chociaż nieraz skrzętna gosposia dobrze jeszcze ręki przyłożyć musi, zanim zakupiony towar pożądaną przez nią postać przybierze, przecież nie spienięży go więcej i nie wyda dla zysku do obcej ręki. Są to wszystko formy drobnego handlu — różnią się zaś między sobą zarówno wysokością kapitału obrotowego, jak i sposobem prowadzenia interesu. Sklepikarz o małym kapitale i niewielkim kredycie zakupuje towary w składach u kupców, którzy między nim a właściwym wytwórcą pośredniczą. Właściciel lub kierownik wielkiego magazynu, rozporządzający częstokroć milionami, nabywa towar wprost u źródła, dokąd wysokość zakupna umożliwia mu przystęp. Często nawet wielkie magazyny, zwłaszcza zaś magazyny obuwia i okryć, sprzedają wyłącznie wyroby pewnych fabryk lub też własne, wykończone we własnych

pracowniach lub przez stale zatrudnionych majstrów (chałupników) *).

Powstanie swoje zawdzięczają one głównie potrzebom wielkiego przemysłu, który, zarzucając rynki stosami towarów, musiał wytworzyć dla nich odpowiednie formy zbytu. Kramy, sklepiki, które odbierały rzemieślnikom i rękodzielnikom ich towar, nie mogły kierować dłużej zbytem wśród szybko wzrastającej w miastach ludności. Jarmarki i targi, na których parę razy do roku kupiec wystawiał na sprzedaż rosyjskie futro, gdańskie wódki lub złotem przetykane materye ze wschodu, mogły mieć doniosłe znaczenie gospodarcze w czasach, gdy wytwórczość domowa zaspakajała wszystkie prawie potrzeby zamożniejszych nawet rodzin; wobec ogromnego podziału pracy, który zamienił pracę dla bezpośredniego zaspokojenia własnych potrzeb na pracę zarobkową, i wobec postępu kultury, który rozpowszechnił pragnienie wygody i piękna między uboższemi nawet warstwami ludności, wśród nowożytnych społeczeństw rola ich zmalała do zera.

Międzynarodowy handel wieków dawnych i średnich, którego głównem zadaniem było dostarczanie bogatym przedmiotów zbytku, pięknych tkanin, korzeni, ustąpił na plan drugi wobec ogromnego znaczenia handlu miejscowego, dostarczającego zbitym na stosunkowo niewielkiej przestrzeni tysiącom pożywienia i odzieży. Zboże i wełna, nie złoto i purpura oto teraz najważniejsze przedmioty zagranicznego handlu, które potem tysiącznymi kanałami i kanalikami rozchodzą się między masy.

Najubożsi, którym środki na zaspokojenie najniezbędniejszych tylko potrzeb życiowych starczają, biegną po nie do najbliższego sklepiku. Dla kobiety, która przed pójściem na zarobek izbę sprzątnąć i strawy dla siebie i swoich przygotować musi, możność zakupienia bez straty czasu posiada ogromną wagę. Przynętą dla niej jest nie reklama lub ładna wystawa. Biegnie do najbliższego kupca, byle szybko a tanio, byle tylko tak drobną ilość zechciał odmierzyć lub zważyć, a w potrzebie kredytu nie odmówił.

Na tych właśnie odbiorcach polega istnienie owych najskromniejszych i najuboższych magazynów o obrocie dziennym, nie przenoszącym paru złotych, a mającym przecież zapewnić utrzymanie licznej nieraz rodziny. Dlatego też mimo skarg ustawicznych na nieuczciwość drobnych kupców, brak czystości i stosunkową wyso-

---

*) Macaja v. Grossmagasine und Kleinhandel, 1891, Leipzig.

kość cen, przez nich żądanych, statystyka wykazuje nie koncentracyę, lecz, przeciwnie, rozpraszanie się handlu na coraz to większą ilość osób. I tak w Niemczech przypadało w roku 1882 na 100,000 mieszkańców 1364 kupców, w 1895 zaś 1502. Ciekawszych jeszcze danych dostarcza statystyka poszczególnych miast niemieckich, jak np. Billingen (w Badeńskiem), gdzie w roku 1866 przypadał jeden sklep na 357 mieszkańców, w roku 1898 jeden już na 182 mieszk.

Wiele przyczyn składa się na to, że obok wielkich, w nowoczesnym stylu urządzonych magazynów i bazarów małe, niepozorne sklepiki dłużej utrzymać się mogą. Ławo jest bowiem sklepikarzowi znać dobrze drobne koło swoich odbiorców, mieszkających zwykle w pobliżu i przychodzących do niego co dnia może. Wie, komu i ile ma zaufać, kiedy i gdzie o swój dług się upomnieć. Towary nie mają u niego stałej ceny, może więc łatwo nieznaczną zwyżką wynagrodzić sobie ryzyko kredytu, nie tracąc opinii usłużnego i dobrego człowieka.

Wielkie przedsiębiorstwa na zupełnie innych zbudowane są zasadach. Ludzi, zwabionych reklamą z najodleglejszych nieraz krańców miasta, nikt tu nie zna, i czasu na zawieranie z nimi znajomości niema. Mnóstwo tu obcych przejezdnych, a chociaż zawsze tłumno, przecież na obraz tłumu coraz to inni ludzie się składają. Ogłoszenia po pismach, rozsyłane w celach reklamy cenniki i próbki ściągają mnóstwo zamówień z prowincyi i z zagranicy. W tych warunkach zapłata już z natury rzeczy nastąpić musi za gotówkę. Każdy kawałek posiada tutaj równą dla wszystkich, uwidocznioną na osobnych karteczkach cenę, a za towar nieodpowiedni pieniądze bywają bez trudności zwracane. Wzbudzić zaufanie jak najszerszej publiczności, ściągnąć ją piękną wystawą, plakatami, wyprzedażą resztek lub mniej modnych przedmiotów — oto zadanie wielkich przedsiębiorstw. Głównym przedmiotem handlu są tutaj rzeczy, których zadaniem jest odpowiedzieć najbardziej nawet indywidualnemu gustowi. Skład zaopatrzony jest zwykle w setki przedmiotów, które mimo, że służą temu samemu celowi, różnią się przecież między sobą ceną, wykonaniem i formą. Ale im większy wybór, tem więcej znajdzie się z końcem sezonu w sklepie niesprzedanego towaru, który potem tylko zniżoną ceną przynęcić może odbiorców. Okoliczność ta podnosi znacznie ryzyko prowadzenia tego rodzaju przedsiębiorstw. Podejmuje się go chętnie szukający zysku wielki kapitał, unika zaś człowiek, który przy pomocy zaoszczędzonych paru groszy znaleźć chce utrzymanie dla siebie i rodziny.

Obawa ryzyka i połączona z nim tak często strata, sprawia, że stowarzyszenia i związki, które w najnowszych czasach odgrywają tak poważną rolę w drobnym handlu (wiedeński „Erster Wiener Consumverein liczy przeszło 30,000 członków"), ograniczają się tylko do pewnych, nie podlegających zmianom mody przedmiotów. Celem stowarzyszenia jest tu zwykle zaoszczędzenie na korzyść swych członków owej zwyżki, którą drobny kupiec za swe pośrednictwo dolicza do ceny towarów.

Składy zaopatrzone bywają w wszystkie przedmioty, stanowiące codzienny zakup gospodyń: mąkę i kasze, towary kolonialne i nabiał. Stąd też nazwa „stowarzyszeń spożywczych" (konsumów). Wszystko tu odważone, przygotowane w pakietach, gdyż mała zwykle liczba usługujących nie byłaby inaczej w stanie podołać żądaniom odbiorców, zjawiających się zwykle tłumnie o jednej porze w składzie. Oszczędność powołuje instytucye te do życia, i oszczędność jest tutaj zasadą kierowniczą. Im tańsza cena zakupna w stosunku do przyjętej ceny danego towaru, im mniejsze wydatki na utrzymanie składu, tem większa stosunkowo suma pozostaje z końcem roku do rozdzielenia między członków. Pogoń za zyskiem jest tu zgóry już wykluczona. Wkładki nowo-wstępujących członków stanowią jedyny kapitał obrotowy, a płatny kierownik lub też wybrany przez walne zgromadzenie wydział unikać muszą wszelkich kroków, których niepowodzenie obarczyłoby ich barki odpowiedzialnością za stratę cudzego grosza i narazić mogło byt stowarzyszenia. I tutaj płacenie gotówką jest zawsze wymagane, a nawet konieczne wobec szczupłych zwykle środków pieniężnych, jakimi „konsumy" rozporządzają, dlatego też rozpowszechniają się one szybciej między zamożniejszem mieszczaństwem, mogącem złożyć parę złotych na rzecz stowarzyszenia i wyrzec się z łatwością drobnego kredytu u sklepikarza, niż między ludnością robotniczą, dla której jest on często jedynym ratunkiem w biedzie. Sprzedawanie tylko znaczniejszych ilości, które dla zaoszczędzenia usługi musi być tu przeprowadzone, odstrasza też tych najuboższych odbiorców, którzy, żyjąc z codziennego zarobku, nie mają na czynienie zapasów pieniędzy ani też odpowiednich do ich przechowania pomieszczeń. By budżetu niepotrzebnie wydatkami na utrzymanie filii nie obarczać, starają się te stowarzyszenia otwierać nowe składy tylko w dzielnicach, zamieszkałych przez znaczną liczbę swych odbiorców. Mimo korzyści, jakie stowarzyszenia spożywcze członkom zapewniają, niejeden z tych, którym na szybkiem załatwieniu codziennych potrzeb zależy, musi się i na-

dał do sklepikarza udawać, by na drogę do oddalonego od mieszkania składu zbyt dużo czasu nie tracić.

W ten sposób istnieć mogą, w wielkich zwłaszcza miastach wszystkie formy drobnego handlu obok siebie, magazyny, „konsumy" i sklepiki, zarówno, jak istnieją tam obok siebie przepych i nędza, bogacz i proletaryusz. Ale nowe formy zbytu, przywołane do życia nowoczesną wytwórczością, nie pozostały bez wpływu na ogólne kształtowanie się handlu, a kapitalizm zdołał przeinaczyć i te formy nawet, które za pozostałość starych dobrych czasów zwykliśmy uważać [1]). Właścicieli małych sklepików, którzy kiedyś, zarówno, jak rzemieślnicy mir w mieście i zapewnioną egzystencyę posiadali, zepchnął do rzędu nędzarzy," którym praca od świtu do nocy dać może najlichsze ledwo utrzymanie. Ogólny wzrost bogactw wytworzył ową lepiej płatną warstwę robotników i służących, którzy odłożonym w młodych latach groszem pragną sobie na starość zapewnić niezależność i zakładają owe ubożuchne sklepiki i kramiki, które tak często, jako liczbowy dowód rozwoju drobnego handlu przytaczane bywają, a są właściwie tylko obrazem jego upadku. Powstawanie magazynów, „konsumów" nie pozwala bowiem na wzrost ilości towarów, przy których obrocie pośredniczą, i tylko ich zarobek rożdziela się na coraz to większą ilość osób.

I ugrupowanie towarów w sklepach uległo w ostatnich czasach niejednej zmianie. Dawny handel dzielił towary głównie według ich pochodzenia. Sprowadzane zdaleka płody surowe, szły do handlu towarów kolonialnych, miejscowe zaś do handlu wiktuałów. Handle te zanikają, a na ich miejsce powstają w wielkich miastach t. zw. „handle delikatesów", które obejmują to wszystko, czego wybredne podniebienie wielkomiejskiego smakosza w ciągu dnia domagać się może. Jest tu kawior astrachański, kawa turecka, świeże pieczywo i nabiał. Nie wspólne pochodzenie, ale wspólne przeznaczenie kieruje teraz ręką kupca w ugrupowaniu towarów.

Dawniejsze sklepy obejmowały przeważnie wyroby pewnej tylko gałęzi przemysłu. Główną rolę odgrywały tu wyroby przemysłu tkackiego i jedwabniczego, które już od bardzo dawna stanowiły przedmiot handlu. Oprócz tego znaleźć można było w XVIII wieku jeszcze sklepy z wyrobami metalowymi, sklepy ze szkłem

---

[1]) Werner Sombart. Die Entwickelungtendenzen des modernen Kleinhandels. Schriften des Vereins für Socialpolitik. Band 88.

i porcelaną oraz t. zw. sklepy galanteryjne i norymberskie. Obok tych dawniejszych sklepów powstają teraz nowe, które, mając na oku zaspokojenie pewnego całokształtu potrzeb ludzkich, inny zupełnie w ugrupowaniu towarów podejmują podział. „Magazyn nowości" łączy w sobie wszystkie artykuły, potrzebne do ubrania w salonie, w domu i w podróży, bez względu na materyał, z którego są sporządzone. Jest tam bielizna i strojna suknia, wierzchnie okrycia i kapelusze, a nawet kufry i woreczki podróżne. Produkcya fabryczna na wielką skalę, która, nie poprzestając na dostarczaniu rzemieślnikowi półfabrykatów, ogarnia powoli i wyrób przedmiotów, służących do bezpośredniego użytku, umożebniła dopiero ten rozwój. Tak zw. „konfekcya damska i męska", ta najnowsza zdobycz wielkiego przemysłu wywołała zarówno ważne zmiany w stosunkach handlowych, jak wytwórczych.

Obok sklepów z wyrobami metalowymi, ze szkłem i porcelaną powstają teraz wielkie składy „urządzeń kuchennych", które obejmują przedmioty rozmaitego pochodzenia i gatunku, ale mające się kiedyś znaleźć w jednych ręku i spełniać to samo zadanie.

Ale oprócz tego dążenia do koncentracyi rozwój miast wielkich wywołał w drobnym handlu i wprost przeciwną dążność do pewnego wyosobnienia towarów, które pierwej albo wcale przedmiotu handlu nie stanowiły, albo też tonęły wśród innych.

I tak powstają teraz osobne sklepy z masłem, nabiałem, składy owoców i jarzyn, gdyż gęsto zaludnione ulice wielkich miast zapewniają im dostateczną ilość odbiorców.

Rozwój stosunków gospodarczych urozmaicił formy zbytu, powiększył obrót handlowy, ale wytworzył także i tak groźną dla stanu kupieckiego wogóle dążność do uproszczenia handlu, *do zmniejszenia* ilości rąk, przez które towar w obiegu swoim przechodzi. Sklepikarz stara się z ominięciem wielkich składów zakupywać wprost u fabrykanta lub u importera. Rzemieślnik, szukający ratunku przed groźnem mu współzawodnictwem przemysłu fabrycznego, zakłada stowarzyszenia celem wspólnego zakupu towarów w wielkim składzie z ominięciem handlarza i korzystania ze zniżki, jaka odbiorcom większej ilości towarów zwykle bywa przyznawaną. Fabryki kapeluszy, parasoli starają się nawiązać stosunki wprost z prywatnymi odbiorcami i przywabić ich do swoich składów nadzieją zakupu po „cenach fabrycznych", z którymi kupiec, mający towar dopiero z drugiej ręki, współzawodniczyć nie może. Chęć powiększenia własnych zysków przez zupełne wykluczenie kogoś innego z życia gospodarczego, przez uczynienie go zbędnym, budzi się zarówno między handlowcami, jak i między odbiorcami, którzy zakładaniem

stowarzyszeń spożywczych starają się z ominięciem sklepikarzy i kramików nawiązać stosunki wprost z wytwórcami lub właścicielami wielkich składów.

Dawny handel, który uchodził za spokojne, pewny kawałek chleba dające zajęcie, zaczyna się rozpadać i przeinaczać. Mało zasobny w towary targ dawniejszy, robota na obstalunek zapewniały kupcom zbyt towaru bez pracy i mozołu. Teraz wszakże rozwinął kapitalizm społeczne siły wytwórcze do tego stopnia, że zbyt tej masy towarów, która rok rocznie nanowo rynki zalewa, stał się zawiłem zagadnieniem gospodarczem. Znaleźć na te towawy odbiorców, spieniężyć je, i to spieniężyć z zyskiem połączone jest z takiemi trudnościami, że do przezwyciężenia ich dużych zdolności i umiejętności potrzeba. Częstokroć odbiorcę dopiero odszukać i przynęcić trzeba gazetą, którą zwykł codzień rano brać do ręki, plakatem, któryby dziwaczną formą przykuł jego spojrzenie, lub wystawą, która budzi pożądliwość i zaznajamia z obcemi dotychczas potrzebami.

Taniość towaru niepoślednią też odgrywa rolę w ułatwieniu zbytu. Zadowolnić się drobnym zyskiem, ale sprzedawać za tysiące i setki tysięcy — oto hasło, jakie rozwój produkcyi dla handlu postawił. Wielkie magazyny, bazary oto formy, w które nowoczesny kapitał handlowy przybierać się musi, by kroku ogólnemu postępowi dotrzymać i na polu walki o zdobycz-zarobek nie zostać pobitym. Tam zatem, gdzie znajduje odpowiednie do wtargnięcia warunki, działa szybko i z raz zajętej pozycyi nic go już wyprzeć nie może. Kramarz, sklepikarz, choć dla nich miejsca jeszcze tak dużo, zadowolnić się przecież muszą temi pozycyami, które się zbyt źle opłacają, by wielki kapitał zechciał po nie sięgnąć.

Warstwy małomieszczańskie, zagrożone w swym bycie, starają się powstrzymać groźny dla nich rozwój bądź to wpływaniem na opinię publiczną, bądź to — na ustawodawstwo. Coraz to głośniejsze słychać skargi na demoralizacyę, którą szerzy widok zbytkownych wystaw sklepowych, rosnące zamiłowanie do zbytku i rychły zanik „zdrowego, szanującego tradycyę" stanu kupieckiego.

W ich to obronie podniesiono w Austryi i w Anglii żądanie wysokiego opodatkowania t. zw. konsumów, które, zmiejszając wysokość wypłacanej rocznie dywidendy, przeciwdziałałoby może ich rozwojowi. W Austryi obłożono rzeczywiście w ostatnich czasach ze względów polityczno-socyalnych „konsumy" o pewnej wysokości

obrotu rocznego podatkiem zarobkowym, chociaż mu, jako stowarzyszenia niezarobkujące, właściwie nie podlegają.

W Francyi walka przeciw wielkim magazynom rozpoczęła się prawie równocześnie z ich powstaniem. Rok rocznie wnoszone bywały do izby petycye, ale dopiero w r. 1889 udało się obrońcom interesów małomieszczańskich przełamać opór większości i przeprowadzić wymierzoną przeciw wielkim magazynom reformę podatkową. Dotychczasowa taksa podatkowa w wysokości 20 fr. od każdego subjekta została zwiększona w dwójnasób, jeśli ilość zatrudnionych osób dochodzi do 200, w trójnasób, jeśli 1000 osób przewyższa. Ale już po dwu latach nastąpiła rewizya tej ogromnie, zwłaszcza dla największych przedsiębiorstw uciążliwej ustawy. Zwyżkę, która nastąpić miała, jeśli liczba zatrudnionych przenosi 1000, zniesiono, natomiast podatek proporcyonalny z czynszu podniesiono z $^1/_{10}$ do $^1/_8$ rocznego czynszu. Rewizya ta, zwiększając podatek, ciążący na mniejszych magazynach, przyniosła przecież ulgę dwu największym [1]).

W sejmie pruskim, gdzie konserwatywna większość oddawna już domagała się ustawowej obrony „*des kleinen Mannes*" przedłożonym został w marcu b. r. urzędowy projekt ustawy o opodatkowaniu wielkich magazynów. Projekt ten rozróżnia cztery grupy towarów, jako to: żywność i napój (grupa pierwsza), odzież i stroje (druga), meble i sprzęty domowe (trzecia), przedmioty zbytku, maszyny, książki i t. d. (czwarta). Każde przedsiębiorstwo, którego obrót roczny przenosi 500,000 marek płacić ma „podatek magazynowy", jeżeli się zajmuje sprzedarzą przedmiotów, należących do więcej, niż jednej grupy. Projekt ten skierowany jest głównie przeciw znanej firmie Wertheima (w prasie ochrzczono go też mianem „lex Wertheim"), jako jedynej narazie w Prusach odpowiadającej wysokością obrotu i zaopatrzeniem składu przewidzianym w projekcie warunkom.

Skład sejmu pruskiego każe się spodziewać, że projekt, narazie odesłany do komisyi, stanie się wkrótce ustawą, ale stosunki

---

[1])

	Na podstawie podatku z r. 1889 płacić miały	Po rewizyi z r. 1891 płacić miały
Le Bon Marché	424,000	392,000
Le Louvre	433,000	410,000
Le Printemps	117,000	138,000
Le Belle Jardinière	94,000	110,000
Le Samaritaine	62,000	70,000

francuskie wykazały już, że walka przeciw wielkim magazynom nie jest w stanie przeciwdziałać ich świetnemu rozwojowi. Wielkie firmy paryskie ściągają nie tylko coraz to więcej miejscowych odbiorców, ale i zamiejscowi, przynęceni taniemi cenami i ogromnym wyborem, coraz to chętnej zwracają się do nich po większe i mniejsze zakupy.

Ogromny rozwój codziennej prasy, która ogłoszenia magazynów po świecie roznosi, taniość i szybkość nowoczesnych środków komunikacyjnych, które z najodleglejszych krańców miasta sprowadzają magazynom odbiorców i pozwalają rozsyłać towary na znaczną nawet odległość, wszystko to ułatwia byt wielkich przedsiębiorstw i czyni je, dla niektórych zwłaszcza towarów najodpowiedniejszą formą handlu. Swobodny ich rozwój leży zarówno w interesie produkcyi, jak i w interesie szerokich warstw kupującej publiczności, i dlatego też mimo chwilowych przeszkód i utrudnień coraz to częściej przy najwspanialszych ulicach miast wielkich oko nasze spotyka złocony napis „Wielki Magazyn Nowości".

Helena Gumplowicz-Landau.



Z żałobnej karty.

† Herman Benni.

(Urywek z mowy pogrzebowej, wypowiedzianej przez Stanisława Mieczyńskiego).

...Dziwne są życia ludzkie, a jednem z takich jest niezawodnie żywot ś. p. Hermana Benniego. Wyposażony od przyrody zdolnościami niepospolitemi już w latach młodzieńczych umiłował naukę, a pracą w latach dalszych zdobył ogromny zasób wiedzy rozległej i wielostronnej. Obok studyów teologicznych poświęcał się gorliwie językoznawstwu i filozofii. Gorący wielbiciel i gruntowny znawca starożytności klasycznej, przyswajał sobie z zapałem wyniki nauki nowoczesnej w różnych jej rozgałęzieniach. Umysł wzniosły i prawy, nie mogąc się sprzeniewierzać zasadom wyrobionym, porzucił zawód pierwotny, aby pracować na niwie naukowej. Tu wszelako losy zawistne mu nie sprzyjały dzięki okolicznościom różnorodnym. Usiłowania pracy szerszej nie były uwieńczone rezultatem pomyślnym. Zamierzone objęcie katedry filozofii przy otwarciu Szkoły Głównej nie doszło do skutku. Redagowanie „Kuryera Warszawskiego" w warunkach zresztą osobliwszych było tylko chwilowe, a krótkotrwałe również stanowisko redaktora „Ateneum" nie dało zmarłemu możności rozwinięcia uzdolnień i pożytecznej działalności publicznej. Przypadły mu więc w udziale trudy na polu skromniej-

szem — pedagogicznem. Podnieść tu przedewszystkiem wypada owocodajne prowadzenie założonej przezeń szkoły wzorowej, którą po kilku latach zamknął wbrew własnej woli. Zadanie swe w tej dziedzinie pojmował szeroko, a spełniał je, krocząc szlakami najwybitniejszych pedagogów. Celem mu było nie formalistyczne, ale gruntowne, rzetelne, światłe kształcenie umysłów, zaszczepianie i rozwijanie uczuć szlachetnych, urabianie charakterów dzielnych. Takt niezwykły i umiejętność w postępowaniu i obcowaniu z uczniami, znajomość głęboka dusz młodocianych, wyrozumiałość na ich błędy, umiar w naganie i pobłażliwości, pieczołowitość iście ojcowska oto do osiągnięcia celu idealnego środki, którymi zjednywał sobie miłość młodzieży, a wprawiał w podziw swych współpracowników. Tego rodzaju pracą nie ozdobił swych skroni wawrzynem, nie zaklął imienia swego w księdze dziejów, lecz pozostawił niezatarte ślady w sercach i pamięci wychowańców. Ale bo też ś. p. Herman Benni górował indywidualnością ponad miarę powszednią. Szerokie ogarniając horyzonty, nie zasklepiał się nigdy w rutynie i formułkach, umysłem jasnym wytykał tory proste, rozumne i prawe, którym przyświecał ideał doskonałości etycznej, może niedościgłej, ale upragnionej.

Charakter bez skazy, głębia uczuć prawdziwie ludzkich, niezależność zdania, niezłomność przekonań, szczerość w słowach i czynach, skromność z gołębią prostotą, przyjaźń niekłamana a serdeczna, ochoczość bezinteresowna w udzielania rady i pomocy naukowej uczniom, kolegom i przyjaciołom, pogoda i błogi spokój ducha w doli i niedoli, wiara niezachwiana w przyszłość lepszą, optymizm podniosły mimo doświadczeń przykrych — oto obraz duszy nieodżałowanego nieboszczyka. Takim znał go każdy, kto z nim przestawał bliżej. Całe „ja" ś. p. Benniego da się ująć w jednem słowie: cnota. Cnota była w wędrówce doczesnej jego gwiazdą przewodnią, cnota utrzymywała go w równowadze na drodze żywota, różami bynajmniej nie usłanej, cnotą podbijał serca przyjaciół, cnota był to skarb jego nieoszacowany...

† Albert Wilczyński,

zmarł d. 27 kwietnia we Lwowie, przeżywszy lat 71. Urodzony w Pradze warszawskiej, d. 16 kwietnia 1829 r., nauki szkolne pobierał w gimnazyum w Kielcach. W 1851 r. objął urzędowanie w Komisyi Sprawiedliwości Królestwa Polskiego i jednocześnie rozpoczął zawód

literacki niezrównanymi pogodnym a szczerym humorem „Kłopotami starego komendanta”. Za tym pierwszym — poszły inne utwory, które wkrótce zjednały autorowi sympatyę społeczeństwa i popularność znakomitego humorysty. Ożeniwszy się z panną Biernacką, siostrą utalentowanego satyryka Rodocia-Biernackiego, usunął się z areny publicznej i osiadł na roli w Siedleckiem, złamawszy pióro na czas długi. Dopiero w r. 1871, przesiedliwszy się do Galicyi, dał się namówić Wilczyński do współpracownictwa w „Gazecie Lwowskiej”, po raz drugi wstępnym bojem zdobywając tryumfy w szrankach literackich. W dziesięć lat potem, od r. 1880, zamilkł zupełnie. Spuścizna literacka ś. p. Alberta Wilczyńskiego wynosi około 30 tomów utworów beletrystycznych. Autora Kłopotów starego komendanta, jak je zwykle podpisywał, pomny na powodzenie pierwszej swej powieści, której w krótkim czasie rozeszły się trzy wydania.

† Michał Wołowski,

urodzony w Mławie w r. 1851, zmarł w Warszawie dnia 18 z. m Gimnazyum ukończył w Łomży, studya zaś wyższe pobierał w Warszawie w Szkole Głównej i w Uniwersytecie, potem zaś w Krakowie i Monachium. Wcześnie rozpoczął zawód literacki szeregiem artykułów w dziennikach warszawskich, pisał również utwory beletrystyczne, z których niektóre, miały wielką poczytność i odznaczały się niemałemi zaletami literackiemi. Właściwem jednak polem działalności ś. p. Wołowskiego był dramat, teoretycznie i praktycznie. Teoretycznie — jako autor „Naszych aniołów”, „Chamskiej duszy”, „Ostatniego grosza”, a zwłaszcza wybornego „Towarzysza pancernego”, na motywach pamiętników Paska uwypuklającego życie nasze rodzinne i towarzyskie z połowy XVII w., zdobył sobie zaszczytne miejsce wśród współczesnych autorów dramatycznych; praktycznie — jako dyrektor pierwszego stałego teatru polskiego w Łodzi, położył niepospolite zasługi. W ruchu dziennikarskim ś. p. Wołowski brał również udział niemały, redagując przez czas jakiś „Głos”, później zaś „Kuryer Codzienny”.

† Władysław Łuszczkiewicz,

urodzony w r. 1828 w Krakowie, kształcił się w mieście swem rodzinnem w dawnej szkole sztuk pięknych, potem zaś w Paryżu. Po po-

wrocie do kraju został powołany na stanowisko profesora Szkoły Sztuk Pięknych w Krakowie i przez lat 40 niezmordowanie poświęcał się pracy pedagogicznej; a że praca ta była ze wszech miar owocną, dowodzi tego choćby ten fakt, iż z pod kierownictwa artystycznego ś. p. Łuszczkiewicza wyszli tacy mistrzowie pędzla polskiego, jak Matejko i Grottger.

Prócz pracy nauczycielskiej ś. p. Łuszczkiewicz oddawał się z zamiłowaniem badaniom na polu historyi sztuki i wydobył na jaw wiele nieznanych a cennych zabytków, wiele pozostawił przyczynków, które dla przyszłego historyka sztuki naszej będą miały wartość nieocenioną.

Te właśnie prace literackie zjednały mu zaszczytny tytui członka Akademii Umiejętności; w wydawnictwach też Komisył Historyi Sztuki tejże Akademii ś. p. Łuszczkiewicz pomieszczał swoje monografie, studya i przyczynki. Po śmierci jego w szeregu nielicznych badaczy, oddających się jego ukochanym studyom, pozostaje luka niezapełniona.

† Władysław Wisłocki.

W ostatniej chwili doszła nas smutna wiadomość o zgonie ś. p. Władysława Wisłockiego, niestrudzonego pracownika na niewdzięcznem polu bibliografii polskiej, którego wraz z Karolem Estrejcherem wymienialiśmy zawsze, jako jedynych przedstawicieli tej żmudnej gałęzi wiedzy. Prócz wydawnictwa „Przewodnika Bibliograficznego", który nieboszszyk redagował od lat 20 (od roku 1878), pozostawił on szereg cennych prac i przyczynków, jako to: wyczerpująca krytyka 1-go zeszytu Bibliografii Estrejchera oraz szereg prac oryginalnych, wśród których wyróżnia się rzecz „O nauce języka polskiego w szkołach polskich przed Kopczyńskim", dalej „Poczet chronologiczny prac drukowanych i rękopiśmiennych Grzegorza Piramowicza", studyum o „Legendzie o św. Aleksym", wreszcie „Kodeks pilznieński ortylów magdeburskich", „Katalog rękopismów biblioteki uniwersytetu Jagiellońskiego" i wiele innych. Zmarły spełniał obowiązki kustosza Biblioteki Jagiellońskiej, piastował godność członka Akademii Umiejętności oraz kilku innych instytucyi naukowych.

Cześć ich pamięci! *h*

Wydawca: *Wł. Spasowicz*
Redaktor: *Ignacy Chrzanowski.*